W NUMERZE DODATEK KRAJOZNAWCZY CZĘŚĆ 2

OPOZYCJA SZUKA ZBAWCÓW – OD PALIKOTA PO DULKIEWICZ

SCHETYNA WYDAŁ KSIĄŻKĘ. ZAPOWIADA POWRÓT III RP W NAJGORSZYM WYDANIU

ILE PROCENT GŁOSÓW MUSI ZDOBYĆ PiS, BY MÓC DALEJ RZĄDZIĆ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 33 (351) 2019
19–25 sierpnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

STRACH WŚRÓD POLSKICH CELEBRYTÓW

WYCHODZĄ NA JAW PEDOFILSKIE SKANDALE. POWSTAJE KOMISJA DO BADANIA TYCH ZBRODNI. CZY ZOSTANIE PRZERWANA ZMOWA MILCZENIA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl cfb

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **ZBRODNICZY SOJUSZ**
  Wrzesień 1939 r. Niemcy i Sowieci mordują Polskę
- **ZAMACH NA HITLERA**
  Co by było gdyby zamach się udał i Hitler zginął w licu '44?
- **ANIOŁY Z DYWIZJONU 307**
  Niesamowita historia Dywizjonu „Lwowskich Puchaczy"

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Klucz do zwycięstwa

Kto wygra jesienne wybory, bez wątpienia najważniejszą bitwę polityczną o kształt Polski od 1989 r.? Warto zapamiętać odpowiedź udzieloną w ubiegłotygodniowym wywiadzie dla „Sieci" przez prof. Norberta Maliszewskiego, jednego z najlepszych analityków w Polsce. Otóż o zwycięstwie lub przegranej zdecyduje mobilizacja. „Prawo i Sprawiedliwość, jeśli chce wygrać samodzielne rządy, musi każdego dnia zabiegać właśnie o mobilizację wyborców. Tu największym zagrożeniem jest przekonanie, iż sukces jest gwarantowany, że już wygraliśmy, że to się już rozstrzygnęło. A to nieprawda. Decyduje dzień wyborów i wtedy ludzie muszą nie tylko daną partię popierać w deklaracjach, lecz i pójść do wyborów. To było kluczem do zwycięstwa PiS 26 maja". A także, dodaje profesor, przyczyną bolesnej przegranej w stolicy w wyborach samorządowych. Wtedy z kolei dużo bardziej zmobilizowali się przeciwnicy prawicy. Wniosek z całego wywiadu jest jasny: kampania wyborcza niewielu przekona do zmiany zdania, na kogo chcą głosować. Liczyć się będzie to, kogo uda się namówić, by ruszył się z domu i poszedł do lokalu wyborczego.

Wbrew opinii wielu komentatorów uważam, że choć wygrana PiS jest bardzo prawdopodobna, to kontynuacja rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego wcale nie jest pewna. Nic tu nie jest, kolokwialnie mówiąc, posprzątane. Obóz propolski jest dziś usypiany przez rozpad Koalicji Europejskiej i wrażenie skonfliktowania trzech wyłonionych z niej bloków: platformerskiego, peeselowskiego i lewicowo-postkomunistycznego. Pewne przedwyborcze napięcia rzeczywiście tam występują, ale wspólny mianownik niechęci (czasem nienawiści) do PiS nie został ani nie zostanie zniesiony. Nie ma też w mojej ocenie żadnych szans, by np. takie PSL przedłożyło realne interesy polskiej wsi ponad własny egoizm i wybrało jesienią koalicję z PiS. W tej sprawie trzeba słuchać raczej Marka Sawickiego, atakującego ostro PiS, a nie Eugeniusza Kłopotka, zresztą wypchniętego z list.

Kluczem do przyszłości kraju pozostaje zatem osobiste zaangażowanie każdego obywatela przejętego Polską. To w pewnym sensie bardzo optymistyczne, bo dowodzi, że demokracja działa. To my wszyscy zdecydujemy, jak potoczą się sprawy. Czy wywiesimy plakat, zmobilizujemy bliskich, przekonamy znajomych? Spokojnie, z miłością bliźniego warto zabiegać o dobro i prawdę. Oś podziału jest jasna. Zmiany w Polsce widać gołym okiem, choć nie wszystko poszło doskonale i wiele trzeba jeszcze zrobić.

Zwycięstwo opozycji będzie natomiast powrotem III RP w najgorszym wydaniu, z masową wyprzedażą majątku narodowego, z planem tęczowej reedukacji Polaków. I nie są to żadne przypuszczenia, ale precyzyjny plan, jasno wyłożony przez samego Grzegorza Schetynę w jego wydanej właśnie książce (więcej o sprawie czytaj na s. 41).

Michał Karnowski

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

SIECI spis treści

49--66 Dodatek krajoznawczy *Najnowsze pomniki historii*

67 Z polityki do show-biznesu i odwrotnie *Łukasz Adamski*

100 Odwróceni od natury *Przemysław Barszcz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MATKOBABKA SUROGATKA**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **NASZE SIERPNIOWE TERMINY**
Jan Pietrzak

15 **PRZEDWYBORCZY PEJZAŻ**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ROZKWIT STYLU II RP**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **KONIEC Z OLEJKIEM**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

22 **PEDOFILE ZE ŚWIECZNIKA**
Marek Pyza

KRAJ

28 **PRZETARG NA ZBAWCÓW**
Stanisław Janecki

31 **METODA D'HONDTA. JAK TO DZIAŁA**
Konrad Kołodziejski

34 **OPORNY LUD I POPULIŚCI**
Jan Rokita

36 **Z KRZYSZTOFEM SZCZERSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

41 **JAK LIBERAŁOWIE AFERAŁOWIE CHCĄ DOJŚĆ DO WŁADZY**
Jakub Maciejewski

44 **KONFEDERACJA W ROZSYPCE**
Marcin Fijołek

46 **Z WANDĄ BUK**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

67 **Z POLITYKI DO SHOW-BIZNESU I ODWROTNIE**
Łukasz Adamski

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **CO DZIŚ MYŚLI ZAGRANICA O NIEMIECKO-SOWIECKIEJ INWAZJI NA POLSKĘ**
Maria Szonert-Binienda

78 **B JAK BŁĄD YOUTUBE'A**
Hanna Karp

80 **Z GEN. ANDRZEJEM PAWLIKOWSKIM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

HISTORIA

83 **Z DR. PIOTREM SZOPĄ**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

86 **MONGOLSKI ŁĄCZNIK**
Marek Budzisz

89 **CZY BAĆ SIĘ AFRYKI?**
Tadeusz Brzozowski

GOSPODARKA

92 **NIE RÓBMY POLITYKI, BUDUJMY FABRYKI LEKÓW**
Janusz Szewczak

NATURA DLA LUDZI

100 **ODWRÓCENI OD NATURY**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

104 **MOJE SZLAKI: MAŁGORZATA OLIWIA SOBCZAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **PRZECIW DWÓM WROGOM**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **LISY FARBOWANE WIELOKROTNIE**
Aleksander Nalaskowski

109 **JAK GŁOSUJE KOŃ**
Wiktor Świetlik

110 **CZAS NA PROGRAM RATUNKOWY**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **PRALNIE MÓZGÓW W NATARCIU**
Ryszard Makowski

113 **TO JA POKRZYWA...**
Leszek Długosz

114 **NIEPOKÓJ OJCÓW WOLNOŚCI?**
Andrzej Zybertowicz

36/0719/F

eprasa.pl cfbace2a2b

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88
samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**

Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator : Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

***Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.**

eprasa.pl cfbace2a2b

Sygnalista nadaje

W sprawie dymisji marszałka Kuchcińskiego jedno pytanie wciąż pozostaje bez odpowiedzi: kto doniósł opozycji i mediom o lotniczych obyczajach drugiej osoby w państwie? O obyczajach legalnych, ale społecznie nośnych i łatwopalnych? Są dwie wersje. Jedna głosi, że źródłem informacji były pewne kręgi z wojska, a druga, że jednak wszystko wyszło z SOP. W tym drugim scenariuszu był to ponoć rewanż paru osób za dość obcesowe i surowe traktowanie oficerów ochrony. Tak oto kolejny raz potwierdza się prawda, że i trzeba, i warto być uprzejmym dla każdego, zawsze i wszędzie, nawet jeśli jest się na szczycie.

Opozycja rozochocona obaleniem marszałka Sejmu wzięła na celownik marszałka Senatu, tym razem pod pretekstem wynajmowania willi w rządowym kompleksie. Dość dokładnie rozpisano scenariusz polityczno-medialny, który miał wynieść polityczny kryzys na jeszcze wyższy poziom. Ale tym razem proch okazał się mokry. Nie tylko dlatego, że w sumie sprawa była po prostu dęta. Ważniejsze było co innego: ***Karczewski*** nigdy się nie izolował, nigdy się nie wynosił. I teraz ta inwestycja okazała się kluczowa.

Nową marszałek Sejmu zapytano, czy zdejmie kotarę, którą jej poprzednik oddzielił tzw. korytarz marszałkowski. Z odpowiedzi wynika, że tak. „Chciałam ją odsłonić, ale tam w tej chwili jest remont i dlatego, ze względu na kurz, panowie (którzy wykonują remont) mówią: »Niech to będzie jeszcze zamknięte«. Ale ze względu na kurz, nie na państwa obecność" – tłumaczyła Elżbieta Witek. Warto, bo to niby sprawa drobna, ale bardzo symboliczna.

Dlaczego? Po pierwsze, pod względem estetycznym te kotary wyglądają koszmarnie. Do niczego nie pasują, psują spójność przestrzeni, sprawiają też wrażenie wiecznie pogniecionych i niedopranych. A po drugie, każdemu, kto je mija (a mijają je codziennie setki osób), kotary podsuwają myśl, że ta władza chce się izolować, zamykać, oddzielać, wynosić. Relacja zysków do kosztów wyjątkowo niekorzystna.

Afera z lotami nie zmniejszyła poparcia dla PiS, dobijającego w części badań do 45–46 proc. Który to już raz nadzieje mainstreamowych dziennikarzy i opozycyjnych polityków na przełom skończyły się depresją? A przed nimi jeszcze wiele bolesnych rozczarowań. Bo PiS nie tylko dobrze gra z kontry, lecz przede wszystkim naprawdę poprawiło życie milionom Polaków, i z tego bierze się jego moc. Krok po kroku opada mgła i III RP zaczyna być widziana tak, jak na to zasługuje: jako żenujące półpaństwo bez wyobraźni, bez odwagi i bez serca.

Teoretycznie opozycja wciąż ma pewną szansę na większość w Sejmie, bo liczba zmarnowanych głosów może być w tych wyborach wyjątkowo niska. Ale nawet liderzy opozycji niespecjalnie w to wierzą i grają już w inną grę. ***Schetyna*** jest teraz zafascynowany strategią Kaczyńskiego z czasów opozycji i próbuje ją skopiować. A więc najpierw ściągnięcie lejców własnej formacji, zwiększenie wewnętrznej dyscypliny,

Zdaniem Pawła Wrońskiego z „GW" „zapewne byli wśród obrońców [Polski w 1920 r.] także Polacy LGBT, których obecnie biskup krakowski Marek Jędraszewski porównuje do »czerwonej zarazy«". Na pewno byli, ale nie chcieli naszych dzieci. A dziś chcą. W tej wojnie nie chodzi o ludzi LGBT, ale o nas i nasze rodziny.

epraca.pl cfbace2a2b

a potem rozszerzenie się, ale już na własnych warunkach. Niech próbuje. Jeśli rzeczywiście zdoła spacyfikować politycznie salon III RP, i my wyślemy kwiaty.

Zdaniem Jakuba Bierzyńskiego, świetnie prosperującego szefa domu mediowego, a jednocześnie zaangażowanego działacza opozycji (dyktatura, prawda?), Schetyna jednak przegrywa grę o całą pulę, bo wybory nie wyeliminują z Sejmu ani PSL, ani lewicy, która jednak się dogadała w sprawie wspólnego startu, czego ponoć lider PO nie zakładał w swoim scenariuszu. Podsuwa więc myśl: „Jeśli nie możesz konkurenta zwyciężyć, lepiej się z nim dogadaj [w sprawie list do Senatu]". Problem w tym, że wizja zdobycia większości w Senacie przez opozycję to jednak gruszki na wierzbie. To się nigdy nie udało ani nie uda się tym razem.

Podsumowując wybory do PE, Bierzyński stwierdza: „Największym wygranym był SLD, bo zgarnął pulę mandatów nieproporcjonalnie dużą do swego znaczenia i poparcia, a co ważniejsze, postkomunistyczni działacze przeszli swego rodzaju oczyszczenie, startując obok dawnych przeciwników z solidarnościowego ruchu oporu". Słowa warte odnotowania, bo pewnie za tydzień czy dwa znów ktoś zaatakuje PiS antykomunizmem.

Wciąż straszą więzieniem. Siebie nawzajem. „Arogancja PiS w kolejnej kadencji będzie tak wielka, że wszyscy będziemy siedzieli w więzieniu. Pan w celi koło mnie, ja w celi koło pana, Grzesiek Schetyna będzie w następnej" – mówił w Tok FM Włodzimierz Czarzasty do Piotra Kraśki. Człowiek, który ma aspiracje nazywania rzeczy po imieniu („Żeście komunistów pokonali? Wyście się z nami, k...wa, przy »okrągłym stole« i 4 czerwca 1989 r. do-ga-da-li"), powinien jednak wiedzieć, kiedy w zębach zgrzyta piasek.

Im bliżej do wyborów, tym mniej słyszymy o ***Tusku***. Zniknął, zamilkł, zapadł się pod ziemię. Czasem coś skrobnie, ale też bez większego przekonania. Cóż, on także stracił wiarę w szybkie pokonanie pisowskiej ekipy. Załamanie jest poważne, bo przewodniczący Rady Europejskiej z poręki Niemiec uważa, że nie da się wygrać ani w październiku, w wyborach parlamentarnych, ani w maju, w wyborach prezydenckich. To ważny moment, bo Tusk był pewien, że drugi rząd PiS czeka ten sam los co pierwszy, z lat 2005–2007.

Z Konfederacją pożegnała się Kaja Godek. „Konfederacja miała być ideowa i odważna. Tymczasem panowie stracili fason. I to w czasie, gdy wyrazistość i jasne stanowisko w sprawie wojny kulturowej jest tak bardzo potrzebne" – ogłosiła, przedstawiając dość długą listę zarzutów (kiepskie miejsce na listach, ukrywanie list wyborczych, marginalizowanie środowisk pro-life). Panowie nie grają już chyba o 5 proc., ale o klucze do sejfu z dotacją po zdobyciu 3 proc. i dlatego przeganiają wszystkich nie ze swojej paczki.

Co ciekawe, Godek twierdzi, że próbowano ją przekonać, aby podczas kampanii wyborczej nie poruszała tematów związanych z aborcją i LGBT. Skrytykowała również podejście Konfederacji do pro-life. „W statucie partii nie ma słowa o obronie życia, a w ramowym programie konkrety znalazły się dopiero w bodaj piątej wersji, gdy wprost tego zażądałam. Reszta milczała" – twierdzi działaczka pro-life.

Mamy nowość. Do tej pory pluto na Polskę z okazji różnych rocznic, ale jednak nie 15 sierpnia. Tabu złamał Jan Hartman („profesor"). „W sprawie wojny z bolszewicką Rosją w 1920 r. to tylko chciałem nieśmiało przypomnieć, że to Polacy napadli na Rosję, a nie odwrotnie. Mieliśmy niezbyt mądry obyczaj rajdów na Wschód, a potem się oburzaliśmy, że zabory, że inwazje. Trza w domu siedzieć" – ogłosił. Nigdy dość powtarzania: oni naprawdę nie chcą Polski.

Weseli, szczęśliwi, uśmiechnięci, życzliwi światu, kochający ludzkość, chcący jedynie odrobiny tolerancji działacze LGBT imitowali podrzynanie gardła kukle z wizerunkiem abp. Marka Jędraszewskiego. „Jest akcja, to jest reakcja. Geje i lesbijki nie mogą milczeć i iść jak stado baranów na rzeź" – tłumaczył na gorąco właściciel klubu, gdzie rzecz się odbywała. Oni są jak muzułmanie: dasz palec, to po chwili zabiorą ci wszystko. Absolutnie wszystko.

Najsmutniejszym, a także najbardziej obrzydliwym akordem nagonki na metropolitę krakowskiego była publikacja „Rzeczpospolitej", w której biskupa niezłomnego zaatakowano naprawdę grubymi kijami. „Zamiast być narzędziem pokoju, które – jak modlił się św. Franciszek – sieje miłość tam, gdzie »panuje nienawiść«, stał się narzędziem, za pomocą którego usiłuje się siać podział i nienawiść. A przecież z nauczaniem Kościoła niewiele ma to wspólnego i nie takie są rola i zadanie biskupa" – czytamy w tekście, którego sens jest prosty: nic tak nie boli jak niezłomność innych. Bo jedni wynoszą krzyże na polecenie władzy (czy takie są rola i zadanie biskupa?), a inni nazywają rzeczy po imieniu.

Fot. Andrzej Skowarczyński (2), Fratria

eprasa.pl cfbace2a2b

Matkobabka surogatka

A może jednak nie? Może ta kampania wyborcza jest już tak kabaretowa, że wcale nie Kosiniak-Kukiz (dawn. Kamysz) będzie w niej najśmieszniejszy? W końcu pan Paweł udowodnił już na starcie nowej koalicji, że coś tam jednak z uprawy roli „ogarnia". Choćby samozaoranie. Z kolei pan Władek odkrył referenda. Ciekawe, bo kiedy przez bite cztery lata był ministrem pracy i polityki społecznej w rządzie, który dla Kukiza stanowił wtedy emanację „systemu", nie znajdowały one uznania pana Władka ani w kwestii posyłania sześciolatków do szkół, ani skoku władzy na OFE zamiast na mafię VAT-owską, ani podwyższenia wieku emerytalnego. A teraz będzie biegał po wioskach z gitarą elektryczną i wzywał do zbierania podpisów. To może niech pierwsze referendum rozwiąże kwestię podstawową: „Czy jest pan/pani za tym, by ludzi z plasteliny pozbawiać praw wyborczych?".

KRZYSZTOF FEUSETTE

Ale może jeszcze śmieszniejsi są tenorzy lewicy przez duże „L", jak „Lenin" czy „LGBT"? Adrian Zandberg, który ma tchnąć w nowe ciało „ideowość", Robert Biedroń, który ma dać..., spokojnie, tylko „wygląd" – albo Włodzimierz Czarzasty wnoszący, jak chce „Gazeta Wyborcza", swoje wielkie „cwaniactwo"? To pochylmy się, z pewną taką nieśmiałością, nad panami. Ideowość Zandberga każe mu walczyć w tych wyborach o głosy dla... pani Senyszyn i innych członków grupy „skorumpowanych aparatczyków", jak nazywał niedawno SLD. Wygląd Biedronia pozostaje kwestią gustu, chociaż faktem jest, że wciąż brak mu tej odwagi, która pozwala jego kolegom z parad nierówności pod sufitem pląsać z gołym tyłkiem i w sadomasce psa bez rodowodu, a pewnie i bez badań lekarskich.

I trzeci muszkieter – Czarzasty, cwaniak, że hej. Tyle że Piekarska, Napieralski, Wenderlich, Nowacka i Zieloni startują z list PO. A Socjaldemokracja tworzy konkurencyjną koalicję. Chyba że „Wyborczej" chodziło o „cwaniactwo" nie przed-, ale powyborcze. Konkretnie o moment, gdy przyjdzie do dzielenia subwencji. Wtedy, rzeczywiście, Biedroń ma darmowe waciki w Brukseli, Zandberg będzie musiał jakoś swoją „ideowość" udowodnić, więc i na kasę powinien się wypiąć, a Czarzasty weźmie wszystko. Tak, dla jaj, bo „chłopaki pozwolili".

I jak zmierzyć, kto śmieszniejszy? Koalicja Polska czy lewicowa koalicja zwana Partią? Uwaga: już nie „Partią matką". Bo według kapłanów nowego, wspaniałego świata bez szans na przetrwanie – matka może być dziś jednocześnie babcią albo żoną (o tym, że może być także ojcem, wspominać nie trzeba w kraju, który miał na Wiejskiej posłankę Grodzką). Portale LGBT, także w Polsce, kilka miesięcy temu szeroko i radośnie promowały kolejną, sympatyczną historyjkę z życia mniejszości seksualnych. Oto 32-letni pan Matthew w amerykańskim stanie Nebraska wraz ze swoim „mężem" panem Elliotem zapragnęli mieć dziecko metodą „na Rabieja". Wtedy, jak dobra wróżka zjawiła się matka pana Matthew i kilkanaście miesięcy później urodziła panom dziecko. Było trochę kłopotów, bo kobieta liczy sobie raptem 61 wiosen, więc do zapłodnienia trzeba było użyć komórek jajowych... siostry jej „zięcia" (czyli „męża" syna). Ale najważniejsze, że dziecko urodziło się zdrowe, co dowodzi, iż w tym przypadku bardzo daleko padło jabłko od jabłoni.

A u nas LGBT jeździ z paradami po całej Polsce, tworząc obwoźny cyrk. Czy nie po to właśnie, by jego członkowie nie musieli afiszować się z własnym wariactwem u siebie? Bo jednak trochę wstyd? I wcale nie – być gejem czy lesbijką. Ale już nienawidzącym Kościoła i Polski półdzikim stworzeniem, dla którego życie zaczyna się i kończy na „rzyci" – to może być lekki obciach nawet w środowisku młodych, wykształconych, z wielkich miast. Chyba że wykształconych przez Hartmana, Sadurskiego, Płatek, Środę czy kogoś podobnego, każącego normalnym ludziom kochać rewolucję LGBT, zmierzającą do krzywdzenia dzieci poprzez zakłócenie ich rozwoju fizycznego i psychicznego (co często jest udziałem samych „rewolucjonistów", wystarczy poczytać wspomnienia Biedronia), a docelowo – otwierającą Polskę na legalizację wszelkich dewiacji. Wystarczyło, by ceniony (wcześniej) aktor Redbad Klynstra zapytał publicznie, czy w Polsce także, jak to było w Holandii, ruch LGBT powiązany jest ze środowiskiem pedofilów, a już wyrzucono go z serialu. Identyczny los spotkał innego aktora Jarosława Jakimowicza – za kilka słów poparcia dla Zofii Klepackiej, której Borys Szyc chciał odebrać medal olimpijski. A gdy Joanna Szczepkowska wspomniała przed laty o „homoseksualnym lobby" w polskim teatrze, natychmiast i ona dostała się pod tęczowe obcasy. Dziś woli się już nie narażać. Jeszcze ją znowu zlinczują, jak Jakuba Baryłę, 15-latka z Płocka, który stanął niedawno naprzeciwko pochodu z „Matką Tęczochowską" (jak LGBT-ony nazywają Matkę Boską z tęczą zamiast aureoli) – trzymając w ręce krzyż? Dobrze, że stanął i dobrze, że policja „pomogła" mu zejść z ulicy, zanim go na niej nie dorwały objazdowe „waginy wyklęte". Te same, które pod politycznym patronatem Aleksandry Dulkiewicz drwiły w Gdańsku z procesji Bożego Ciała.

Jak widać, zabawniejsi są jednak ci z Koalicji Polskiej. Ci z czerwono-tęczowej są głównie straszni. I czas najwyższy, by dali sobie spokój z pluciem na Matkę Boską. W końcu mają nareszcie swoje ikony: Postępową Matkobabkę Surogatkę oraz Nowoczesną Siostrę Męża Jej Syna, które dały radę i uszczęśliwiły w Nebrasce dwóch gejów. Ostatecznie – czy to nie jest przykład swoistego, lewicowego „cudu"?

eprasa.pl cfbace2a2b

Fundacja LOTOS wesprze budowę pomnika w Szpęgawsku

Angażująca się w wiele ważnych społecznie inicjatyw Fundacja LOTOS tym razem wesprze budowę pomnika upamiętniającego ofiary zbrodni niemieckiej w Lesie Szpęgawskim. Monument w postaci kamiennego lasu poświęcony zostanie pamięci zamordowanych podczas II wojny światowej mieszkańców Pomorza

W Lesie Szpęgawskim na przełomie 1939 i 1940 r. Niemcy zamordowali ok. 7 tys. mieszkańców Pomorza. Na 80. rocznicę zbrodni ma tu powstać symboliczny kamienny las składający się ze 150 słupów, które przedstawiają drzewa przechodzące w ścięte pnie. Na nich wygrawerowane zostaną znane nazwiska zamordowanych osób w kolejności alfabetycznej. Ścięte drzewa symbolizują utracone życie. Monument, który będzie odsłonięty 29 września, ma się przyczynić do upowszechnienia wiedzy historycznej na temat zbrodni szpęgawskiej w polskim społeczeństwie.

Jego budowę wsparła Fundacja LOTOS. Umowę w tej sprawie w siedzibie firmy podpisali Magdalena Forc-Cherek, wójt gminy Starogard Gdański, oraz Adam Kasprzyk, prezes fundacji. W wydarzeniu wzięli udział także Jarosław Wittstock, wiceprezes Zarządu Grupy LOTOS, Kazimierz Smoliński, poseł z Pomorza, oraz przedstawiciele Urzędu Gminy Starogard Gdański: Elżbieta Sadowska, skarbnik gminy, i Maria Michel, naczelnik Wydziału Inwestycyjno-Technicznego.

– To bardzo ważny projekt, ale też naznaczony ogromnym smutkiem. Cieszę się, że to zadanie spotyka się ze zrozumieniem i pozytywnym odzewem. Po raz pierwszy, po 80 latach, rodziny nie będą musiały szukać nazwisk swoich bliskich w literaturze. Będą miały je na cmentarzu, będą mogły przynieść tu kwiaty i zapalić znicze. W Lesie Szpęgawskim zamordowano naszych przodków, patriotów. Dzięki nim możemy żyć w wolnym kraju. Dziękuję Fundacji LOTOS za tak pozytywną reakcję. Już teraz zapraszam wszystkich 29 września na obchody 80. rocznicy zbrodni szpęgawskiej i odsłonięcie pomnika – powiedziała Magdalena Forc-Cherek, wójt gminy Starogard Gdański.

– Wspominanie ważnych historycznych wydarzeń i należyte upamiętnianie bohaterów oraz poległych ofiar to nasz obowiązek. Często nie doceniamy poświęcenia ludzi, którzy bez wahania oddawali życie za naszą ojczyznę. A przecież gdyby nie oni, dziś nie żylibyśmy w wolnym kraju. Dlatego właśnie Fundacja LOTOS wspiera inicjatywy pielęgnujące patriotyzm oraz pamięć historyczną. Poprzez takie działania chcemy okazać wdzięczność i wyrazić dumę z tego, że jesteśmy Polakami – wskazywał Jarosław Wittstock, wiceprezes Zarządu Grupy LOTOS.

Umowę podpisali Magdalena Forc-Cherek, wójt Gminy Starogard Gdański, oraz Adam Kasprzyk, prezes Fundacji LOTOS

Fot. materiały Grupy LOTOS | 61/05/19/F

Las Szpęgawski po wybuchu II wojny światowej nie bez powodu został wybrany przez niemieckich okupantów jako miejsce masowych egzekucji. Odludne położenie oraz bliskość Starogardu i Tczewa spowodowały, że przeprowadzono tam wiele masowych egzekucji. Zamordowano m.in. wielu działaczy społecznych i politycznych z Pomorza. W 1944 r. naziści sprowadzili więźniów, by zatrzeć ślady. Dziś miejsce zbrodni upamiętniają jedynie skromny pomnik z czasów PRL i kamienne płyty postawione w miejscach, gdzie po wojnie odkryto zbiorowe mogiły ofiar. Nowy monument pozwoli w należyty sposób zachować w pamięci osoby, które oddały życie za Polskę.

Misją Fundacji LOTOS jest działalność społeczna wnosząca pozytywny wkład w rozwój otoczenia społecznego i przyrodniczego. Fundacja wspiera inicjatywy, które przynoszą korzyści dla lokalnych społeczności. Koncentruje się przede wszystkim na trzech kluczowych obszarach: ekologii i ochronie środowiska, ze szczególnym uwzględnieniem Morza Bałtyckiego, bezpieczeństwie w ruchu drogowym oraz wyrównywaniu różnic społecznych z nakierowaniem na dzieci i młodzież, m.in. poprzez inwestycje w naukę, edukację i oświatę.

eprasa.pl cfbace2a2b

Parking
BUS
A B C D
Uniwer ytet
UA
0115T
UA
0123T

Pierwsza taka defilada

Przeniesienie w tym roku głównych obchodów Święta Wojska Polskiego i rocznicy Bitwy Warszawskiej do Katowic przyniosło pięć jednoznacznych oznak silnego państwa.

1. Przede wszystkim władze Rzeczypospolitej pokazały, że Cud nad Wisłą i instytucja Wojska Polskiego to dobro narodu, a nie tylko głównej państwowej metropolii. Bitwę z sierpnia 1920 r. nazywamy „warszawską", ale przecież było to starcie o całość Rzeczypospolitej.
2. Oddano hołd Ślązakom, przypominając w 100. rocznicę I powstania śląskiego polskość zachodnich ziem, a relacje medialne na ogólnopolską skalę pokazały, że to nie Ruch Autonomii Śląska czy mniejszość niemiecka są najważniejszymi depozytariuszami pamięci i tradycji tej ziemi, ale właśnie Rzeczpospolita Polska.
3. Co roku jedynie warszawiacy mogli się cieszyć swobodą bezkosztowego oglądania uroczystości z udziałem władz RP, a teraz tę szansę dostali mieszkańcy południowo-zachodniej Polski. Po udanej i cieszącej się popularnością defiladzie prezydent i premier mają możliwość corocznego przenoszenia uroczystości, by inne części kraju były także uhonorowane wojskowym pokazem.
4. Szef rządu i głowa państwa mówili jednym głosem. W grę nie wchodzi już demonstracja powagi partii rządzącej, ale z powodzeniem budowany autorytet władz Rzeczypospolitej.
5. Wojskowa defilada tradycyjnie spełniła zadanie budowania narodowej dumy, wszak ulice stolicy Górnego Śląska przemierzyło 2,5 tys. żołnierzy wraz ze 180 pojazdami, m.in. czołgami, transporterami Rosomak, samobieżnymi moździerzami Rak, armatohaubicami Krab, samobieżnymi wyrzutniami rakiet Langusta i wieloma innymi.

Władza prawdziwie suwerenna, stawiająca sobie ambitne zadania, nie może się ograniczać tylko do powtarzania rutynowych działań i uroczystości. Obchody 15 sierpnia w Katowicach to powiew świeżego powietrza i sygnał, że defilada wojskowa może mieć naprawdę państwowotwórczą rolę.

Jakub Maciejewski

Fot. Marzena Bugała-Azarko / Polska Press

Fot. Antonio Nardelli/Shutterstock.com

Salvini chce nowych wyborów

W marcu 2018 r. wybory parlamentarne we Włoszech wyniosły do władzy przedziwną koalicję. Stworzyły ją dwie partie występujące przeciw dotychczasowemu mainstreamowi: populistyczno-liberalny Ruch Pięciu Gwiazd (M5S) na czele z Luigim di Maio (32,66 proc.) oraz prawicowa Liga Północna (17,37 proc.) pod wodzą Matteo Salviniego. Obaj liderzy zostali wicepremierami, zaś stanowisko szefa rządu objął bezpartyjny prawnik wysunięty przez M5S – Giuseppe Conte.

Od początku między sojusznikami mocno iskrzyło, jednak ostatnio doszło wręcz do otwartego konfliktu. Czarę goryczy z obu stron przelało niedawne głosowanie w sprawie budowy szybkiej kolei TAV mającej połączyć Turyn z Lyonem. „Ligowcy" byli za, „gwiazdorzy" zaś przeciw. W tej sytuacji Salvini ogłosił, że koalicja jest fikcją. Droga do przedterminowych wyborów została otwarta.

Do nowego rozdania najbardziej dąży Liga, która cieszy się dziś poparciem ok. 40 proc. obywateli. Najbardziej popularnym politykiem w Italii jest jej lider, który jako szef MSW zasłynął z twardego sprzeciwu wobec nielegalnej imigracji. Włochom podoba się też jego walka z unijnymi elitami o suwerenność ekonomiczną państwa. Jako potencjalny sojusznik do rządzenia wyrasta dlań partia Bracia Włoscy pod wodzą Giorgii Meloni.

Salvini chce wykorzystać słabość konkurencji. Poparcie dla koalicyjnego partnera (M5S) spadło bowiem z 32 do 14 proc. Centrolewicowa Partia Demokratyczna przeżywa wewnętrzny rozłam między stronnikami Matteo Renziego i Nicoli Zingarettiego. Podobnie jest z Forza Italia podzieloną na zwolenników i przeciwników przywództwa Silvio Berlusconiego. Komentatorzy uważają, że szyki Lidze może pomieszać jedynie premier Conte, który przymierza się do stworzenia własnego ugrupowania i jest skłonny wejść w sojusz z centrolewicą. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wybory mogą zostać wyznaczone na 13 października. Jeśli tak się stanie, będzie to dla Unii ważny dzień, ponieważ da odpowiedź, kto będzie rządził w Polsce i we Włoszech.

Grzegorz Górny

Sądny dzień na poligonie

Rosja

Jeden z niezależnych rosyjskich komentatorów wojskowych napisał, że katastrofa, do której doszło 8 sierpnia na poligonie pod Siewierodwińskiem (obwód archangielski), świadczy o tym, że rosyjska armia zagraża nie tylko potencjalnym przeciwnikom, lecz również, a może przede wszystkim, obywatelom Federacji Rosyjskiej.

Dopiero po kilku dniach, i to z przedruków artykułów z prasy amerykańskiej, Rosjanie mogli się dowiedzieć, co się wydarzyło na centralnym poligonie morskim. Pierwsze komunikaty lokalnej administracji wspominały o awarii na jednym z okrętów i niewielkim, krótkotrwałym podniesieniu poziomu promieniowania. Niedługo potem z oficjalnego komunikatu ministerstwa obrony wynikało, że „żadnego wzrostu promieniowania nie odnotowano", a w wypadku na poligonie zginęły dwie osoby, zaś pięć zostało rannych. Przedstawiciele rosyjskiej armii poinformowali też, że incydent miał związek z nowym modelem silnika rakietowego, a przedsięwzięte środki bezpieczeństwa (zamknięcie na miesiąc Zatoki Dźwińskiej) związane są z faktem przedostania się do wody tradycyjnego paliwa rakietowego. Uspokajające informacje o niewielkim wzroście promieniowania nie zadowoliły okolicznych mieszkańców, którzy, jak informowały lokalne media, zaczęli masowo kupować tabletki zawierające jod.

Po trzech dniach głos zabrali przedstawiciele korporacji Rosatom, którzy ujawnili, że katastrofa, z której powodu zginęło pięciu naukowców (łączna liczba ofiar śmiertelnych wzrosła w ten sposób do siedmiu), nastąpiła w trakcie prób nowego silnika rakietowego „mającego radioizotopowe elementy napędu". Dodano też, że próby odbywały się na platformie morskiej, części rakiety spadły do wody, co może wyjaśniać obecność w rejonie – dostrzeżoną przez media zachodnie – specjalnego statku, którego zadaniem jest zbieranie odpadów radioaktywnych.

Amerykańskie media, powołując się na źródła wywiadowcze, poinformowały, że katastrofa na rosyjskim poligonie była kolejną, trzecią, nieudaną próbą rakiety nazywanej przez Rosjan Buriewiestnik, zaś w terminologii NATO określanej mianem Skyfall. O istnieniu nowej rakiety, niemającej ograniczenia zasięgu, która może lecieć na niewielkiej wysokości i manewrować, mówił wiosną 2017 r. Władimir Putin w wystąpieniu przed Zgromadzeniem Federalnym. Ta jedna z kilku „broni sądnego dnia", jak opisywane przez Putina nowe wynalazki ochrzciła prasa, ma zmienić układ sił w świecie.

Komentując incydent, prezydent Donald Trump napisał, że Stany Zjednoczone wiele się nauczyły, obserwując eksplozję rosyjskiej rakiety, i dodał, że Ameryka dysponuje podobną technologią, ale znacznie bardziej zaawansowaną.

Marek Budzisz

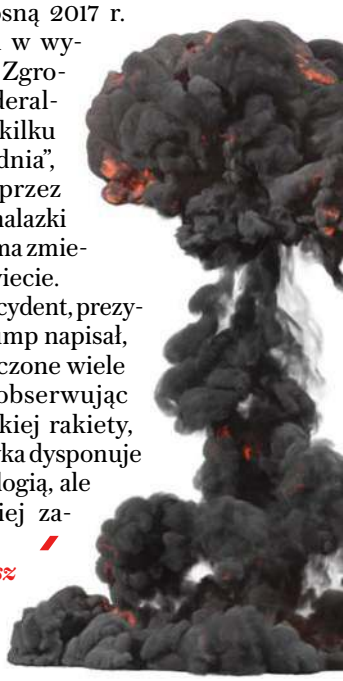

eprasa.pl cfbace2a2b

Tajemnicze samobójstwo

USA

Jeżeli ktokolwiek z wielkiego świata mógł obnażyć zmowę milczenia wokół pedofilii w wielkim biznesie, był to Jeffrey Epstein. Niestety, nowojorski milioner został znaleziony martwy w celi w więzieniu Metropolitan Correctional Center w Nowym Jorku. Kilka dni wcześniej Epstein miał próbować popełnić samobójstwo (znaleziono go półprzytomnego ze śladami na szyi). Media podawały, że prawdopodobnie sfingował próbę samobójczą, aby zostać przeniesiony do innego więzienia. Tym bardziej więc powinien być baczniej obserwowany przez służby więzienne.

66-letniemu finansiście groziło do 45 lat więzienia w związku z zarzutami o wykorzystywanie nieletnich i stręczycielstwo. Sprawa była tak poważna, że sędzia nie zgodził się na 100 mln dol. kaucji. Problemy Epsteina zaczęły się już 12 lat temu, gdy oskarżono go o namawianie nieletnich do prostytucji. Zawarł ugodę pozasądową i spędził w więzieniu tylko 13 miesięcy. To właśnie wtedy pierwszy raz świat usłyszał o „wyspie orgii", na którą Epstein miał zapraszać możnych tego świata.

Finansista blisko znał się z eksprezydentem USA Billem Clintonem. Dekadę temu na jego laptopie odkryto prywatny kontakt mailowy do Clintona i wiele jego numerów telefonów. Clinton zerwał znajomość z Epsteinem po jego pierwszym aresztowaniu. Jednym z bliskich znajomych Epsteina był też Donald Trump. Było to jednak w czasach, gdy Trump i Clintonowie mieli dobre relacje. Na YouTubie można znaleźć stare nagranie, w którym Trump pytany o Billa Clintona mówi, że jest to „miły gość", ale „będzie miał wiele problemów przez słynną wyspę Jeffreya Epsteina. Wiele problemów."

W czasie obecnego śledztwa zaczęły wypływać na jaw dokumenty potwierdzające, że na jego karaibskiej wyspie przebywali tacy ludzie jak m.in. były demokratyczny senator z Maine George Mitchell, były sekretarz energii w administracji Clintona Bill Richardson oraz książę Andrzej. Książę pojawia się też w sprawie brytyjskiej celebrytki Ghislaine Maxwell oskarżonej o pozyskiwanie nieletnich dziewcząt dla Epsteina. Jedną z kobiet oskarżających brytyjskiego arystokratę jest Virginia Roberts Giuffre. Zeznała, że została trzykrotnie zmuszana do seksu z księciem Andrzejem w latach 1999–2001 – w Londynie, Nowym Jorku i na Karaibach.

Nazwiska przewijające się wokół Epsteina pokazują, jak wielu wpływowym grupom musiało zależeć na jego śmierci. A dociekliwość liberalnych mediów, tak nieustępliwych w przypadku pedofilii w Kościele katolickim, gdzieś się nagle ulotniła.

Łukasz Adamski

Niewidoczny mur

Niemcy

1 września w dwóch krajach związkowych Niemiec – Brandenburgii oraz Saksonii – odbędą się wybory. Wszystko wskazuje na to, że w obu landach zwycięży prawicowa i antysystemowa Alternatywa dla Niemiec (AfD). Według sondażu instytutu Emnid zrealizowanego dla gazety „Bild am Sonntag" w Niemczech wschodnich najwyższym poparciem wyborców (24 proc.) cieszy się właśnie AfD, przed CDU (22 proc.), Die Linke (16 proc.), SPD (12 proc.), Zielonymi (11 proc.) oraz FDP (7 proc.).

Zupełnie inaczej wygląda na zachodzie. Tam wciąż prowadzi CDU (27 proc.), przed Zielonymi (22 proc.) i SPD (14 proc.). AfD gromadzi zaledwie 12 proc. poparcia. Skąd ta różnica? – zastanawiają się eksperci. Dlaczego AfD jest na wschodzie Niemiec tak popularna? Odpowiedź jest prosta: zjednoczenie Niemiec nie do końca się powiodło. Tak jak w tym żarcie o bananie, który się skrzywił, bo przez 40 lat omijał NRD: wschodnie Niemcy ominął zarówno ciasny gorset antytotalitarnego dyskursu, jak i ruch 1968 r. oraz wynikające z niego „postmaterialistyczne" wartości jak ochrona klimatu, które na zachodzie napędzają wyborców Zielonym. Doświadczenie komunizmu nauczyło Niemców na wschodzie także nieufności wobec władz i niechęci do bycia pouczanym. To tu zrodził się największy sprzeciw wobec polityki migracyjnej kanclerz Angeli Merkel i „kłamliwemu" informowaniu o jego skutkach przez mainstreamowe media.

Dawna NRD jest też regionem „złamanych życiorysów". Są autostrady, są wysprzątane ulice i wyremontowane miasta, ale znaczna część gospodarki znajduje się na zachodzie. Zarobki na wschodzie są wciąż o wiele niższe (w 2018 r. przeciętna pensja brutto wynosiła 2 790 euro, a na zachodzie 3 340 euro). Miasta pustoszeją. A 2 bln euro transferów socjalnych nie zdołały zasypać różnic między Niemcami A i Niemcami B.

Do tego dochodzi pogarda ze strony politycznych i medialnych elit. Były prezydent Joachim Gauck nazwał wschodnie Niemcy w 2015 r. „ponurymi Niemcami" (Dunkeldeutschland), gdzie panują ksenofobia i rasizm. Pojawiły się nawet sugestie, by cofnąć zjednoczenie. Poczucie wyobcowania wschodnich Niemców pogłębiło to, że choć w ostatnich wyborach do Bundestagu głosowali masowo na AfD i Die Linke (następczyni SED), to w Berlinie dalej rządzi koalicja CDU i SPD, partii, z którymi wielu z nich się nie utożsamia. Ale to, że AfD zwycięży w Saksonii i Brandenburgii nie oznacza oczywiście, że będzie tam rządziło. Dwadzieścia kilka procent nie wystarczy, a żadna z pozostałych partii nie wjedzie z AfD w koalicję.

Aleksandra Rybińska

Fot. Henryk Dilze/Shutterstock.com

eprasa.pl cfbace2a2b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nasze sierpniowe terminy

Jan Pietrzak

Powiedzmy sobie szczerze, sierpień w ogóle nie jest miesiącem wakacyjnym. Trzeba nasz kalendarz zreformować. Na wakacje powinny być przeznaczone czerwiec z lipcem. A sierpień powinien być miesiącem narodowych rekolekcji. Są po temu niepodważalne powody. Pierwszego – Powstanie Warszawskie. Szóstego – wymarsz Kompanii Kadrowej z Oleandrów. Piętnastego – Bitwa Warszawska. Trzydziestego w Szczecinie i trzydziestego pierwszego w Gdańsku – Porozumienia Sierpniowe, czyli powstanie Solidarności. Za każdą z czterech dat kryją się skomplikowane procesy społeczne, niesamowite emocje i nadzieje pokoleń. Pot, krew i łzy...

Bez Powstania Warszawskiego Stalin, by się nie wahał i zrobił u nas 17. republikę sowiecką. W każdym powiecie „obława augustowska", bezpośrednie rządy NKWD i ludowe sądy, w których rozprawy przebiegały tak: „Ile macie lat? – Dwadzieścia. – I wystarczy, więcej nie będzie! Następnego dawać!".

Bez czynu legionowego z początkiem I wojny światowej, bez rozbudzenia aktywności we wszystkich zaborach i społecznych warstwach, pozycja przetargowa polskiej delegacji podczas konferencji paryskiej byłaby dużo słabsza. Ignacy Paderewski nie przekonałby prezydenta Wilsona do 13. punktu. Bez powstrzymania czerwonej zarazy pod Radzyminem i Ossowem, bez Cudu nad Wisłą, nie udałoby się wychować kolejnego pokolenia niezłomnych żołnierzy, gotowych oddać życie za ojczyznę w następnej wojnie.

Wojna trwała długo, pięć lat z niemieckim faszyzmem, czterdzieści pięć lat z sowieckim komunizmem. Pokolenie Solidarności, choć przemielone przez peerelowską szkołę, pamiętało jednak, że bez Boga, honoru, ojczyzny Polacy wyginą, i po raz kolejny odzyskało narodową suwerenność. W dużej mierze dzięki wstawiennictwu świętego Jana Pawła II, który uprosił Ducha Świętego, by odmienił oblicze naszej ziemi.

Te uproszczone rozważania trochę odbiegają od podręcznikowej poprawności. Profesorowe na wydziałach marksizmu-socjalizmu-seksizmu wykpią moją wiedzę historyczną. Jednak fakty są oczywiste, jak śpiewam w sierpniowej piosence, nienadawanej w radiu: „Sierpień płynął Wisłą przez pola i lasy, walczyli o przyszłość praojcowie nasi..."

Nie gonię po Plantach

Z aktorem Marianem Dziędzielem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co się panu ostatnio udało? Tak na bank?

Marian Dziędziel: Ha. Mam nadzieję, że film, który wszedł właśnie do kin. Pierwotny tytuł brzmiał „Napad", ale jak ma się udać, to najlepiej, żeby było właśnie „na bank".

Trzech bohaterów, panów w sile wieku, postanawia sobie zafundować przygodę? Z napięciem i akcją?

Przygoda jak przygoda. Po prostu mają potrzeby [śmiech].

Mam wrażenie, że dobrze się pan czuje w komediowych rolach.

W teatrze częściej grywałem w komediach niż w dramacie. Sam się temu dziwiłem. Z tym że w teatrze komedię trudniej się gra, a w filmie... trudno powiedzieć. Nie wiadomo, co reżyser zrobi z rolą w montażu.

Spotykamy się w środku lata w kinie. A poza tym, co u pana zawodowo słychać?

A dziękuję. Wszystko dobrze [uśmiech].

W jakich produkcjach zobaczymy pana jesienią?

Jest ciąg dalszy „Dziewczyn ze Lwowa".

I jest bohater niczym Marlon Brando, tyle że z warszawskiej Pragi?

Jeśli tak o tym mówią, to fajnie. Miło to usłyszeć na stare lata.

Był pan we Lwowie?

Zostałem zaproszony na festiwal polskich filmów fabularnych. Poważna impreza. A Lwów bardzo mi się spodobał. Piękne miasto.

Jakie ma pan plany urlopowe, jak pan najchętniej odpoczywa?

Jak uda mi się wygospodarować w wakacje parę dni, to jadę nabrać energii. Mam takie swoje miejsce. Na Podhalu. A potem wracam do domu. Do Krakowa. Gdy siedzę w ogrodzie, też odpoczywam. Nie gonię po Plantach. Nie chodzę po restauracjach. Wolę spokój w domu albo w górach.

Fot. Gałązka/KPA

eprasa.pl cfbace2a2b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przedwyborczy pejzaż

Polacy mogą powoli zacząć rozumieć, że różnice to tylko pic, bo ma być jak w zachodniej Europie, gdzie stronnictwa różnią się nazwami i twarzami liderów, ale robią to samo, bo przecież chodzi o – jak powiedział klasyk – „władzę dla nas i naszych kolegów"

Rozbicie opozycji na trzy bloki wyborcze, które przez zwolenników PiS uznane zostało za jej klęskę, jest z perspektywy walki o odsunięcie tej partii od władzy posunięciem sensownym, co, oczywiście, nie znaczy, że gwarantującym sukces. Koalicja całej opozycji została przetestowana w wyborach do PE i nie zdała egzaminu. Dużo łatwiej dało się ją wtedy tłumaczyć. Można było uzasadniać tym, że w PE mniej znaczą programowe różnice między oficjalnie tak różniącymi się partiami jak PO, SLD czy PSL, a bardziej stosunek do spraw zagranicznych, który fundamentalnie przeciwstawia je PiS. Wszystkie one chciałyby płynąć w głównym nurcie, który wyznacza Berlin, zwłaszcza tęsknią za tym ich poszczególni działacze liczący na dodatkowe korzyści i posady, oczywiście nie na miarę stanowiska Donalda Tuska, ale i tak nie do pogardzenia. Interesiki poszczególnych posłów łatwo sprzedać ciągle jeszcze zakompleksionym rodakom jako honor Polski, bo przecież blask synekury Tuska oświetla nas wszystkich, tak jak kiedyś godność przewodniczącego całego parlamentu, którą sprawował Jerzy Buzek. To że tak łatwo zapomnieliśmy o tym fakcie, pokazuje, jak był on znaczący.

Skoro jednak okazało się, że większość Polaków nie kupiła tego uzasadnienia, to jak wytłumaczyć im, że tak na pozór odmienne ugrupowania tworzą jedną listę do parlamentu krajowego? Uprawomocnić taką decyzję mógłby stan elementarnego zagrożenia ze strony rządzących, którzy uderzają w normy cywilizacyjne i fundamenty demokracji. Taką opowieść snuje opozycja i stopiony z nią opiniotwórczy segment III RP, którego częścią jest większość mediów. To za jego sprawą spora część Polaków wierzy, że służbowe loty marszałka Sejmu to największa afera w historii naszego państwa albo że bokser-przestępca, który popełnił samobójstwo w więzieniu, zamordowany został przez PiS. Mało kto z konsumentów totalnych mediów jest w stanie rozpoznać manipulację polegającą na utożsamianiu domniemań i insynuacji z faktami, na których następnie budowane są zawrotne konstrukcje.

Nie jest to jednak większość. A tej trudno wyjaśnić dlaczego, bez względu na tak odmienne hasła, tak na pozór różne ugrupowania występują pod jednym szyldem. Polacy mogą powoli zacząć rozumieć, że różnice to tylko pic, bo ma być jak w zachodniej Europie, gdzie stronnictwa różnią się nazwami i twarzami liderów, ale robią to samo, bo przecież chodzi o – jak powiedział klasyk – „władzę dla nas i naszych kolegów". Nie będę cytował, jak zostali określeni inni. I to jest najbardziej syntetyczna definicja liberalnej demokracji. A kiedy obywatele zaczną się w tym orientować, to notowania partii establishmentu, do których doszlusował ostatnio Paweł Kukiz, mogą zacząć topnieć jeszcze bardziej.

Kiedy partie idą w różnych blokach „programowych", obywatel może zacznie wierzyć, że ma większy wybór niż między PiS a antypisem i poszukiwać takiej, która bardziej mu odpowiada. Napisałem programy w cudzysłowie, gdyż tak naprawdę ich nie widać poza lewicą, która chciałaby małżeństw i dzieci dla homoseksualistów oraz eliminacji Kościoła z życia publicznego. Tego ostatniego chciałaby także PO, choć publicznie nie zadeklaruje, bo zawsze woli być równocześnie za oraz przeciw; ważne są dla niej wyłącznie apanaże związane z władzą, chociaż już nie rządzenie, i dlatego wadzi jej wspierany przez Kościół porządek wartości.

Pod tym względem wszystkie ugrupowania systemu są podobne, jedynie Biedroń i jego partner osobiście zaangażowani są w homoseksualne roszczenia, co wpisać można do zbioru interesów, które ma im załatwić władza. Nieco inna jest grupka grubo ciosanych ideologicznie towarzyszy wokół Adriana Zandberga, ale, zdaje się, godzą to dobrze z Leninowskim oportunizmem. Kukiz, któremu wcześniej zdawało się, że cudowna formuła o nazwie jednomandatowe okręgi wyborcze rozwiąże wszelkie problemy polityczne, ale w każdym razie dostrzegał oligarchię III RP, teraz się z nią przeprosił.

Wszystkie te ugrupowania i tak w parlamencie będą w stanie stworzyć koalicję, która ma szansę odebrać władzę PiS. To, że w tym stanie rzeczy mogą mieć kłopoty ze stworzeniem zdolnego do działania rządu, ignorują, albowiem, jak wspominałem, nie interesuje ich rządzenie, którym i tak w większej mierze podzielić się chcą z nieformalnymi siłami III RP: wielkim biznesem, silnymi korporacjami, przede wszystkim korporacją prawniczą, prywatnymi mediami itd.

I znowu będzie, jak było.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cfbace2a2b

OGNIEM NA WPROST

Mefistofeles się kłania

Publicysta Paweł Jędrzejewski w tekście opublikowanym na Forum Żydów Polskich przypomina poważne kłopoty Woody'ego Allena z dystrybucją jego ostatniego filmu pt. „W deszczowy dzień w Nowym Jorku". Wszystko przez histerię i polit-poprawny amok związany z powstaniem ruchu #MeToo. Przed laty reżyser został pomówiony przez byłą konkubinę, aktorkę Mię Farrow, o molestowanie seksualne ich adoptowanej córki. Choć żaden sąd nie dopatrzył się cienia winy, Allen został skutecznie napiętnowany przez środowisko Hollywood. Do tego stopnia, że zablokowano mu premierę wspomnianego filmu, a aktorzy, którzy w nim zagrali, masowo piszą oświadczenia. Zapierają się rękoma i nogami, że nigdy już u reżysera nie zagrają i jeszcze, niczym w czasach stalinowskich, gremialnie składają samokrytyki. Co ciekawe, jedynym cywilizowanym krajem, w którym można obejrzeć „W deszczowy dzień w Nowym Jorku" jest... Polska. Jędrzejewski w swoim tekście „Niezły Polish-Jewish joke!" przypomina, że Allen jest Żydem, dodając: „Film reżysera ma skandalicznie absurdalny szlaban w USA, a pokazywany jest bez kłopotów w – według Hollywoodu – »antysemickiej« Polsce. A przecież w Stanach kinem rządzi rzekomo »tolerancyjna, postępowa« hollywoodzka lewica, a Polska to »katolicki zamordyzm«". Woody, co się będziesz użerał z tymi idiotami. Szkoda zdrowia. Bierz taryfę i zajeżdżaj. Do Warszawy!

Ks. Łukasz Kachnowicz z archidiecezji lubelskiej robi wszystko, żeby stać się duszpasterzem środowisk LGBT. W czerwcu kapłan opublikował na Facebooku hasło o „byciu sobą". Wyjaśnił, że przeszedł na urlop i nie będzie wykonywał czynności kapłańskich. Jednak zamiast wypoczywać w czasie wolnym od zajęć, z pasją oddaje się świeckiej ideologii LGBT. Widać go na każdej „pedaliadzie" w ciemnych okularkach, w różowej oprawce, a nocami tłucze w klawiaturę. Powstałą radosną twórczość lokuje na FB w ilościach takich, jakby miał influencerskie ambicje. Jego zachowania nie zdzierżył metropolita lubelski abp Stanisław Budzik i po głębokiej refleksji podjął wobec ks. Kachnowicza kroki prawne: „upomnienie kanoniczne, wzywające do pokuty, wyznaczające czas na powrót do diecezji. Następnym krokiem będzie nałożenie kary suspensy". Ale ks. Kachnowicz, widać, nie za bardzo tym się przejmuje, bo nadal tweetuje: „Zbieram mnóstwo energii i wiarę, że »jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie«. #Jestem LGBT". Kłania się duchownemu, ku przestrodze, wieszcz Mickiewicz: „A, Kachnowicz... witam, bracie!/ To mówiąc bieży obcesem:/ Cóż to, czyliż mię nie znacie?/ Jestem Mefistofelesem".

Przez to LGBT zaniedbywany jest temat „z życia uchodźców". A tam ciągle gorąco. I tak strona BR24, należąca do bawarskiego publicznego nadawcy, zamieściła niedawno raport, który cytował bulwersujące informacje z witryny Islamskiego Centrum w Monachium (IZM). W przypadku dużych problemów w małżeństwie lub gdy partnerka jest niezdecydowana, IZM przywołuje Koran. „Mąż musi postępować według trzech kroków: najpierw reprymenda, w drugim oddzielenie małżeńskiego łoża, a na końcu bicie". Ciekawa jest reakcja prokuratury monachijskiej, która stwierdziła, że takie stawianie sprawy na stronie nie jest przestępstwem. Jeszcze lepsi od prokuratury okazali się poproszeni o komentarz do tych zaleceń bawarscy politycy. Zszokowani w ogóle nie mieli o tym pojęcia. Radny lewicowej SPD Cumail Naz nazwał zasady IZM za sprzeczne z wartościami niemieckiego społeczeństwa. Relacje pomiędzy reprezentacją społeczeństwa w tamtejszym Landtagu a sprowadzanymi masowo przybyszami z Południa przypominają słowa piosenki „Znamy się tylko z widzenia, a jedno o drugim nic nie wie". Jednym słowem – integracja na potęgę.

Jak donosi portal Defence24, w instytucie Neuroscience w University of Oregon naukowcy testują jeden z bardziej dziwacznych pomysłów walki z fake newsami. Zespół badawczy pracuje nad możliwością szkolenia myszy w taki sposób, aby rozumiały nieprawidłowości w przekazywanych informacjach. Eksperci podkreślają, że zwierzęta mogą wykonywać te zadania z niezwykłą dokładnością. Naukowcy wyszkolili myszy tak, aby rozumiały konkretne wyrażenia i dźwięki w trakcie dłuższych wypowiedzi. Zwierzęta mają odróżnić jedno słowo od drugiego. Biorący udział w eksperymencie naukowiec Jonathan Saunders wyjaśnia: „Ponieważ myszy mogą się tego nauczyć [...] uważamy, że powinno być możliwe wytrenowanie ich w taki sposób, aby wykrywały fikcyjną mowę". Problem polega jednak na tym, że kłopotem są nie tyle fake newsy, ile wierzący w nie odbiorcy informacji.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cfbace2a2b

Rozkwit stylu II RP

Marta Kaczyńska-Zielińska

Polska architektura po odzyskaniu niepodległości zajmowała szczególne miejsce w kształtowaniu odrodzonej państwowości. Nowo budowane gmachy i budynki miały harmonizować różnice przez ponad wiek rozproszonego przez zaborców społeczeństwa, wspierać integralność kulturową, poczucie jedności i patriotyczne postawy.

W Katowicach powstał wieżowiec, wybudowano monumentalny gmach Sejmu Śląskiego, przybyło dziesiątki modernistycznych kamienic. Jednym z najnowocześniejszych w Europie miał się stać ukończony w 1939 r., ale zburzony przez Niemców w czasie wojny, budynek Muzeum Śląskiego. Ciekawostką jest istniejąca do dziś siedziba Sądu Rejonowego w Gdyni, której wybudowanie zajęło w latach 30. ubiegłego wieku zaledwie dziewięć miesięcy. Tyle samo trwały prace przy kolei na Kasprowy Wierch, która została otwarta w 1936 r. W tym miejscu warto przypomnieć, że za czasów rządów PO Polskie Koleje Linowe, w tym wspomniana kolejka, zostały sprzedane zagranicznemu funduszowi, a rząd PiS odzyskał je w polskie władanie.

Stawiane w międzywojennej Polsce budynki użyteczności publicznej cechowały proste, modernistyczne kształty, nie brakowało jednak nawiązań do klasycyzmu, jak również brył przypominających szlacheckie dworki. Ślady stylu tych ostatnich można było z łatwością dostrzec w nowo budowanych dworcach kolejowych, klasyczne kolumny wspierają do dziś fasadę siedziby banku PKO w Krakowie, a ascetyczny styl charakteryzuje budynek Muzeum Narodowego w Warszawie czy też siedzibę ówczesnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dziś Ministerstwa Edukacji Narodowej. Ostatni z wymienionych kryje niezwykle cenne wyposażenie. Wnętrza ministerstwa zostały bowiem urządzone w stylu art déco według projektu Wojciecha Jastrzębowskiego. Ściany gabinetów pozostają pokryte boazerią i tkaninami, meble mają charakterystyczne proste kształty, a korytarze są wykończone błękitną imitacją marmuru.

W Polsce w latach 20. działały m.in. takie nowatorskie grupy artystyczne, jak Blok, Praesens, a.r. Polski pawilon na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu 1925 r. został entuzjastycznie przyjęty, ukazując oryginalność sztuki kraju, który po 123 latach odzyskał niepodległość. Spośród 307 wystawców polskich aż 172 otrzymało nagrody i wyróżnienia. Od czasu sukcesu we Francji wiązano duże oczekiwania z polską odmianą stylu art déco. Po paryskiej wystawie powołano w Warszawie Spółdzielnię Artystów „Ład", której celem było upowszechnienie osiągnięć, jakie przyczyniły się do tak spektakularnego wejścia na arenę międzynarodową polskiej sztuki stosowanej.

W okresie międzywojennym, charakteryzującym się geometryczną prostotą, elegancją form i powściągliwością w zamieszczaniu ornamentów, polscy projektanci nawiązywali w swojej twórczości do oryginalności stylu wywodzącego się ze sztuki ludowej. Czerpano inspirację z dzieł górali i Łemków. Dominowały geometryczne formy, najwyższej jakości tkaniny, kontrastowe zestawienia barw w abstrakcyjnych wizjach i przedstawieniach figuralnych. Stylistyka art déco kształtowała się także pod wpływem takich nurtów, jak kubizm, futuryzm i funkcjonalizm. Wedle międzywojennych kanonów piękna tworzono w przeróżnych dziedzinach sztuki. Był to niewątpliwie wspaniały czas dla polskiego rzemiosła. Polskie szkła, platery, kilimy, ceramika czy metaloplastyka cieszyły się na świecie dobrą renomą. Kubistyczne meble wykonane z polskiego drewna, zaprojektowane przez Wojciecha Jastrzębowskiego (zdobywcę grand prix na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Nowoczesnego Przemysłu w Paryżu w 1925 r.), nazywanego ojcem polskiego designu Józefa Czajkowskiego (autor Pawilonu Polskiego na wystawie paryskiej) czy tkaniny Zofii Stryjeńskiej (autorka dekoracji pawilonu polskiego) należą do najbardziej poszukiwanych w antykwarycznych zbiorach, a wystawione na aukcjach zazwyczaj osiągają astronomiczne ceny.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

40/0719/F

eprasa.pl cfbace2a2b

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Niespodzianka

Według ostatniego sondażu przeprowadzonego przez pracownię Kantar dla „Faktów" wybory wygrałaby Zjednoczona Prawica z poparciem 44 proc. Tuż za nią jest Koalicja Obywatelska z 27-procentowym poparciem. To jak tam idzie ta przyśpiewka kodziarzy pod TVP? „Będzie zabawa, będzie się działo, kiedy od władzy odsuniemy PiS". Warto by jeszcze dodać: „Z tym że nie na pewno".

4 zł

– taką granicę przekroczył frank szwajcarski we wtorek (13 sierpnia) tuż przed godz. 15. To najwyższy poziom od marca 2017 r.

42 tys. zł

– tyle decyzją Sądu Okręgowego w Olsztynie musi zwrócić swojej klientce Santander Bank Polska. Olsztyński sąd uznał prawomocnie za uzasadnione roszczenie Eweliny K. wobec banku w sprawie dotyczącej kredytu indeksowanego kursem franka szwajcarskiego.

33 mln zł

– taką karę nałożył prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów na UPC Polska za stosowanie niedozwolonych klauzul w umowach.

Tolerancja

Jakiś czas temu aktor Redbad Klynstra-Komarnicki zapytał na Twitterze, czy w Polsce pedofile są częścią LGBT+, czy nie? Po tym pytaniu został uznany za homofoba, stracił pracę w serialu, a współpracę z nim zerwała agencja aktorska. To mówicie, że o tolerancję tu chodzi?

Silne wsparcie

Czescy sataniści wsparli środowisko LGBT. „Praski marsz o prawa mniejszości seksualnych nie na długo przed swoją kolejną edycją zyskał nowych, zaskakujących zwolenników. Czescy sataniści zorganizowali akcję wspierającą środowisko LGBT i, idąc z duchem liberalizmu, ogłosili równość dla wszystkich" – informuje Sputniknews.com. Szatan musi być zachwycony.

eprasa.pl cfbace2a2b

Wolność słowa

Nauczyciel z Bydgoszczy Krystian Frelichowski, który wsparł akcję „Gazety Polskiej" „Strefa wolna od ideologii LGBT", ma problemy. Na stronie szkoły, w której zatrudniony jest Frelichowski, opublikowano oświadczenie szefa tej placówki. „Jakiekolwiek sygnały o przejawianiu tego typu poglądów [...] będą skutkowały koniecznością zakończenia możliwości pracy z dziećmi i młodzieżą" – ostrzega dyrektor szkoły. Czyli jedne poglądy są dozwolone, a inne nie? Faktycznie mamy w Polsce problem z wolnością słowa.

> Miałam sen. PKW publikuje listy opozycji do Sejmu, a tam i na jedynkach, i na listach jest parytet płci i »suwak«; kobiety otrzymały 50 proc. miejsc gwarantujących mandat; w 50 proc. kluczowych okręgów senackich startują kobiety" – napisała na Twitterze Sylwia Spurek, eurodeputowana partii Wiosna. To jednak są tylko dwie płcie?

Fot. Andrzej Wiktor (2), DARIUSZ BLOCH/POLSKA PRESS, Fratria, Shutterstock, Internet

Zadowolona

Grunt to samozadowolenie. Angela Merkel wciąż chwali swoją politykę migracyjną. „Muszę żyć ze świadomością, że istnieją kontrowersje wokół polityki migracyjnej. Mimo to będę zawsze mówić, że była to właściwa decyzja, by w ramach humanitarnego wyjątku [...] pomóc" – oświadczyła kanclerz Niemiec podczas spotkania w swoim okręgu wyborczym w Stralsundzie z czytelnikami dziennika „Ostsee-Zeitung". Tylko po co wymuszać takie same decyzje na innych?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Skóra

Chcesz pokazać, że jesteś nowoczesny i tolerancyjny? Zrób sobie „tatuaż przeciw homofobii" za jedyne 250 zł. „Wszyscy zaangażowani w imprezę tatuatorzy będą dziarać tęczowe wzory, nie biorąc za swoją pracę ani złotówki" – poinformowała Kampania przeciw Homofobii. W internecie pojawiły się dziesiątki zdjęć z „wydziaranymi" obrazkami. Są oczywiście tęcze w różnych odmianach, ale też intymne części ciała (męskie i kobiece), nagie przytulające się (lub uprawiające seks) jednopłciowe pary oraz liczne jednorożce.

Dominik Zdort

Ciekawe zresztą, dlaczego akurat to mityczne zwierzę środowisko queer wybrało sobie za symbol. Ponoć chodzi o to, że jednorożca przedstawiano kiedyś jako „pochwyconego, zabijanego, z obręczą na szyi" – tak jak prześladowani są seksualni odmieńcy. Ale może po prostu dlatego, że dawniej uważano to stworzenie za odstępstwo od normy, za swego rodzaju mutanta z genetyczną skazą.

Wróćmy do tatuaży. Jak wiadomo, zakazuje ich Biblia, w Dacji tatuowano niewolników, a w starożytnym Rzymie skazańców. Niektóre plemiona tatuowały swoich wodzów, ale w naszej kulturze tatuaż raczej kojarzył się z subkulturami przestępczymi. Dziś to już tylko mało estetyczna moda – latem, gdy panie i panowie chętnie odkrywają ramiona, widać, że zjawisko stało się powszechne, choć zazwyczaj nie ma podtekstu ideologicznego.

Apelowałbym jednak w każdym przypadku o ostrożność – niektórzy tatuują sobie serduszka z imionami ukochanych, a potem wiążą się z innymi i trzeba używać lasera, szlifować skórę albo wywabiać napis kwasem mlekowym, co nie jest bezbolesne. Warto też przestrzec homoseksualistów, bo nie można wykluczyć, że kiedyś wrócą do normalnej orientacji i zostaną z żenującą „dziarą".

Akcja KPH ma oczywiście na celu dofinansowanie tej radykalnej organizacji (jakby nie starczało pieniędzy z Zachodu), ale przede wszystkim skłonienie wyznawców do publicznego demonstrowania poglądów i orientacji. Przecież nie każda lesbijka może na co dzień chodzić do pracy z tęczowym sztandarem, nie każdy gej pójdzie na uczelnię półnagi z twarzą wyzywająco wymalowaną szminką. A z niewielkim tatuażem – choćby ukrytym pod koszulką – można.

Z drugiej strony: cóż to byłaby za afera, gdyby jakaś inna radykalna, choć legalna, organizacja, na przykład ONR, zorganizowała w polskich miastach akcję tatuowania symbolu falangi lub mieczyków Chrobrego...

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

RZECZY POSPOLITE

Koniec z olejkiem

Tomasz Łysiak

W trakcie urlopowego pluskania się w Morzu Tyrreńskim doznałem uszczerbku na morale ekologicznym, co niniejszym państwu zdokumentuję. Otóż, jak to zwykle, zostawiłem na plaży swój parawan w kolorach tęczy i odziany w kąpielówki w takimże kolorze, kolczyki oraz tatuaże równości wybrałem się do kąpieli. Jakież było moje zdumienie, gdy po kilku metrach płynięcia stylem LGBT (grzbietowym) zorientowałem się, iż wpływam w mazut lub też wyciek oleju z parowca. Prychnąłem jak wieloryb, którego ratuję na co dzień, zjadając plastikowe słomki, by te nie trafiły do oceanu, i się rozejrzałem ponad delikatną falą. Ujrzałem przed sobą dwie grube Rosjanki, które płynęły w stronę boi. „Boja przyciąga boje" – trzecie prawo aqua-dynamiki. To za owymi paniami ciągnął się pas olejku do opalania, który w pierwszym odruchu wziąłem za mazut. Zadławiłem się filtrem „sto pietdiesiat i niemnożka jeścio", odplułem i odpłynąwszy w stronę roweru wodnego, którym pedałował w stronę muskularnego ratownika mój kolega z parad równości, krzyknąłem, by rzucił mi koło ratunkowe, gdyż albowiem się zadławię. Uratował mnie.

Gdyśmy już dopłynęli do wybrzeża i runęli na kamyki tyrreńskie, wulkaniczne, to, dysząc, odzyskałem oddech i umysł trzeźwy. Postanowiłem tedy, by rozpocząć nową kampanię ekologiczną.

Słomki i torby to pryszcz. Pragnę obecnie walczyć z wchodzeniem do wody w olejku do opalania. I stąd apeluję – nie smarować się, nie wklepywać, nie packać po czerwonych plecach. Bo np. taki krab albo murena, albo rozgwiazda żyją sobie słodko w słonej wodzie, aż tu nagle jak na ich rybie łby nie wpadną te olejki do opalania, spływające z grubych cielsk radzieckich wielorybów wakacyjnych. Krab się dławi. Murena czka. Rozgwiazda widzi wszystkie gwiazdy. Ratujmy je!

A jeśli ktoś nie wie, kto za tym wszystkim stoi, że te olejki chodzą w sklepach i się ludzie nimi oklepują i wsmarowują, to podpowiadam: restauratorzy. Straszne świnie z nich: specjalnie podpuszczają głupi tłum, by ten się smarował, wpuszczał kremy i olejki do morskiej wody. Po co? No jakże – przecież potem krewetka albo kalmar już ma w sobie olejek. I się go ciska ot tak na patelnię, nie dodając tłuszczu. A potrawa od razu jest z filtrem słonecznym. Koniec z olejkiem! Dobra?

Nasza filozofia pomocy jest skuteczniejsza

Polski model pomocy humanitarnej budzi zainteresowanie na forum ONZ. Pomoc „na miejscu" będzie wypierała koncepcję relokacji uchodźców w Europie. Tymczasem już 19 sierpnia obchodzimy Międzynarodowy Dzień Pomocy Humanitarnej, a 22 sierpnia Międzynarodowy Dzień Upamiętniający Ofiary Aktów Przemocy ze względu na Religię lub Wyznanie. Minister Michał Woś, który jest odpowiedzialny za polską pomoc humanitarną, był gościem telewizji wPolsce.pl, na antenie której podkreślił wagę nadchodzących dni i relacjonował polskie działania na rzecz potrzebujących.

„Dzień Pomocy Humanitarnej to okazja, by powiedzieć »dziękuję«, tym, którzy codzienną ciężką pracą angażują się w pomoc dla najbardziej potrzebujących. Z kolei 22 sierpnia to nowe święto, ale o niezwykle dużej wadze. Wszystkie raporty wskazują, że najbardziej prześladowaną grupą religijną są właśnie chrześcijanie. To dla nas, Polaków, wyjątkowo bolesne, biorąc pod uwagę nasze ponad 1050-letnie dziedzictwo chrześcijańskie" – mówił Michał Woś.

Michał Woś

Minister pochwalił się także sporym sukcesem Polski na arenie międzynarodowej: „Na wniosek Polski 85 krajów poparło rezolucję, która została podjęta na forum ONZ, by ustanowić Dzień Prześladowanych Mniejszości Religijnych".

Jak Polska wywiązuje się ze swoich zobowiązań na rzecz pomocy humanitarnej? „Polska przeznacza na wsparcie rozwojowe prawie 3 mld zł. Przyjęliśmy formę pomocy potrzebującym »na miejscu«. To element naszego interesu narodowego. Nieszczęściem Europy było to, że w 2015 r. grupa nieodpowiedzialnych polityków gorąco witała falę tzw. uchodźców, czyli ekonomicznych migrantów – mówił minister. „Miesiąc temu uczestniczyłem w ważnym wydarzeniu w Stanach Zjednoczonych organizowanym przez sekretarza stanu, gdzie spośród 115 oficjalnych delegacji rządowych i przedstawicieli organizacji reprezentujących mniejszości religijne oraz organizacje je wspierające to strona polska została poproszona o przedstawienie swojego pomysłu działania i modelu, który przyjęliśmy. Okazało się, że nasza filozofia pomocy jest skuteczniejsza i tańsza".

WB

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cfbace2a2b

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cfbace2a2b

Pedofile ze świecznika

Czy zostanie przerwana zmowa milczenia?

MAREK PYZA

Legenda polskiego jazzu jest pedofilem – ogłasza dziennikarz śledczy Mariusz Zielke. Publikuje relacje ofiar i zapowiada film, który wstrząśnie show-biznesem. Zmowa milczenia, jaka obowiązywała w tej i wielu innych sprawach, ma szansę wreszcie zostać przerwana. Jednocześnie w Sejmie kończą się prace nad ustawą badającą przypadki pedofilii w różnych środowiskach. Na elity pada blady strach. Dlaczego o sprawie nie informują wielkie media, które jeszcze niedawno z taką energią chciały walczyć z tym procederem?

Profil „Co się dzieje z polskim jazzem" na Facebooku. Muzyk Wojciech Konikiewicz zamieszcza tu 12 sierpnia wpis: „Ta sprawa, ciągnąca się od początku lat 90., nie dotyczy wyłącznie środowiska jazzowego, aczkolwiek obciąża wszystkich, w tym kolejne władze PSJ [Polskie Stowarzyszenie Jazzowe – przyp. red.] i kadry warsztatów jazzowych, którzy wiedzieli, a nie reagowali. Nieliczne, acz co pewien czas podejmowane próby zatrzymania tego procederu i uruchomienia organów ścigania natrafiały na zmowę milczenia, tym mocniejszą, że obudowaną siecią zależności finansowych, towarzyskich i innych". Odpowiada mu Waldemar Deska, muzyk, animator kultury, założyciel m.in. Daabu: „Wymienianie szlachetnych w takich okolicznościach będzie przeciwskuteczne. Ale niech Ci będzie: Marek Daniel, Szakal, Szprot... generalnie twórcy

Margonina, a potem Puław... był też list otwarty w tej sprawie... W zasadzie wszyscy to wiedzą, Wojtku...".

„Wszyscy o tym wiedzieli" – ta konstatacja najbardziej rzuca się w tej historii w oczy. Niestety, mało kto próbował reagować. W 2017 r. Stowarzyszenie ZAiKS przyznało Sadowskiemu nawet nagrodę specjalną.

GŁASKANIE I GWAŁTY

Mleko rozlało się 4 sierpnia. Mariusz Zielke na swoich blogach publikuje tekst zaczynający się słowami: „Ta sprawa wstrząśnie show-biznesem. Podczas realizacji muzycznych programów dziecięcych dla dwóch największych stacji telewizyjnych w Polsce przez wiele lat dochodziło do aktów pedofilii i molestowania dziewczynek – twierdzą po latach uczestniczki. Trudno oszacować liczbę ofiar, może być ich bardzo dużo". Szybko okazuje się, że chodzi o Krzysztofa Sadowskiego, jazzmana i producenta programów telewizyjnych, jedną z najważniejszych postaci w polskim środowisku jazzowym ostatnich dekad. Współtworzył programy „Tęczowy Music-Box" i „Co jest grane?". Szefuje Fundacji Tęcza wspierającej dzieci uzdolnione muzycznie. Jak mówi Zielke, Sadowski jest niezwykle wpływowy. Ma znajomości w kręgach politycznych, biznesowych, potrafi ustawiać ludzi, wielu osobom (w tym swoim ofiarom) pomógł zrobić karierę.

Jedna z kobiet decyduje się ujawnić. Inne szybko zgłaszają się do Zielkego (wciąż z zastrzeżeniem anonimowości). Część z nich skłania do tego oświadczenie, które po kilku dniach od wybuchu skandalu opublikował muzyk. Zaprzecza w nim stawianym zarzutom i przekonuje, że wszystkie informacje „oparte są na pomówieniach jednej osoby", która „w ubiegłym roku poprosiła mnie o przekazanie jej dużej kwoty pieniędzy, które miały posłużyć jej w ułożeniu sobie życia". – Nic tu nie jest prawdą – odpowiada Zielke. Ma już relacje ponad 20 ofiar. Z kilkoma spotkał się osobiście, część zgodziła się na nagranie swoich świadectw.

Sadowski nie pisze prawdy również wtedy, gdy twierdzi: „Przed publikacją dotyczących mnie materiałów nikt nie podjął próby kontaktu ze mną w celu dowiedzenia się, jak wygląda cała historia z mojego punktu widzenia". Zielke parokrotnie próbował się do niego dodzwonić. Rozmawiał jedynie z żoną muzyka Lilianą Urbańską. Opowiedział jej o wielu dowodach, które zgromadził w sprawie. Kobieta wszystkiemu zaprzeczyła, twierdząc m.in., że żadne dziecko nie nocowało u nich w domu. Relacje mnóstwa ofiar temu przeczą. Czy Urbańska miała świadomość, jaki koszmar jej mąż funduje swoim podopiecznym? Tego nie wiemy. Na pewno dziś chroni go, powołując się m.in. na jego ciężką chorobę.

11 sierpnia Zielke przedstawił część swoich ustaleń w tekście „Horror dzieci z »Tęczy« – dowody na pedofilię Krzysztofa Sadowskiego". Czytamy w nim: „Przez lata wyszukiwał ofiary wśród najmłodszych, molestował je seksualnie, głaskał, łaskotał, wkładał rękę w majtki, ściskał za kolanko, udo, namawiał do płatnego seksu, w końcu znajdował tak niezdolne do oporu ofiary, że rozpinał rozporek i je gwałcił. Osaczał i utrzymywał nad nimi kontrolę przez wiele lat. Ile prób było nieudanych? Ile dzieci, którym nie podobał się »zły dotyk« uznało, że nic takiego się nie stało?". Wiemy, że są i takie przypadki.

> Mariusz Zielke kręci dokument dekonspirujący polskie lobby pedofilskie, pokazujący, kto i jak chroni tych przestępców. Sprawa jazzmana Krzysztofa Sadowskiego ma być tu tylko punktem wyjścia

Ofiary miały od 10 do 15 lat (poza kobietami do dziennikarza zgłosiło się dwóch mężczyzn – jak często bywa w przypadku pedofilów, płeć molestowanego nie ma znaczenia). „Do seksu zmuszał dziewczyny w dwóch samochodach (niebieskim i czerwonym), w piwnicy, w pokoju z pianinem, w siedzibie Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego przy Chmielnej 20 (dziś siedziba Jazz Jamboree), w swoim mieszkaniu na Wiejskiej z widokiem na Sejm, w pokojach wynajmowanych na warsztaty i wycieczki z młodzieżą, internatach, bursach. Starał się wyszukiwać osamotnione dzieci z biednych lub niepełnych rodzin, ale nie były bezpieczne także te z bardzo wpływowych rodzin przyjaciół Sadowskiego i jego żony. Jedna osoba mogłaby kłamać, dwie–trzy mogłyby się zmówić, ale 21? Nieznających się, pracujących w różnych środowiskach, także bliskich Sadowskiemu osób?".

– Te kobiety do dziś mają wielką traumę. Część czuje wstręt do mężczyzn, nawet do własnych ojców, część zmaga się z depresją. Żyją z tym od dekad – mówi nam Zielke. Zapowiada, że tej sprawy nie odpuści.

Już widać pierwsze tego efekty. W ubiegłym tygodniu Polskie Stowarzyszenie Jazzowe zawiesiło członkostwo Sadowskiego (był on nawet prezesem PSJ w latach 1995–2016) i oświadczyło: „Poważny charakter opublikowanych zarzutów oraz znaczna liczba osób deklarujących się jako ofiary budzi nasz głęboki niepokój. Liczymy na bezzwłoczne i rzetelne zbadanie tej bulwersującej sprawy przez stosowne organy wymiaru sprawiedliwości. Apelujemy do całego środowiska i wszystkich osób mających jakiekolwiek informacje na ten temat o kontakt z właściwymi organami. Wskazany byłby także kontakt z dziennikarzem zajmującym się tą sprawą".

Na razie w sprawie toczy się jedno śledztwo – zawiadomienie złożyła w ubiegłym roku jedna z ofiar. Dziennikarz dowiedział się o tym mimochodem – od żony Sadowskiego. Ma nadzieję, że postępowanie zostanie objęte nadzorem prokuratora generalnego. Wciąż liczy na to, że instytucje państwowe mocniej zaangażują się w sprawę i, wykorzystując ustawowe narzędzia, pomogą odkryć przypadki przestępstw seksualnych, które nie uległy przedawnieniu. Nie jest to łatwe, bo ofiary często decydują się przerwać milczenie dopiero po wielu latach. Jednak aparat państwa dysponuje niewspółmiernie

eprasa.pl cfbace2a2b

skuteczniejszymi środkami od pojedynczego dziennikarza.

Jak się dowiadujemy, dowodami w tej sprawie mają być nie tylko relacje ofiar, lecz również nagrania.

Zielke starannie chroni swoich informatorów – ofiary pedofila. Nie tylko w publikacjach, lecz i prywatnych rozmowach. Często chodzi o ludzi z pierwszych stron gazet albo zajmujących wysokie stanowiska (np. menedżera w amerykańskiej firmie). Dziennikarz nie ujawnia części materiałów również dlatego, by nie zaszkodzić śledztwu. Jak mówi, chciałby się spotkać z prokuratorami, również po to, by wiedzieć, czego unikać w artykułach, jakie doniesienia mogłyby negatywnie wpłynąć na postępowanie przygotowawcze. Dotychczas nie tylko nie było takiego kontaktu, lecz nawet nie otrzymał odpowiedzi na pytania oficjalnie zadane prokuraturze.

Mariusz Zielke, który był gościem telewizji wPolsce.pl, zapowiedział, że w swoim filmie ujawni nazwiska artystów o pedofilskich skłonnościach

MEDIA PRZEOCZYŁY?

Nic dziwnego, że ta sprawa wzbudza potężne zainteresowanie w internecie. Ale tradycyjne media niespecjalnie podejmują temat. Milczą politycy, którzy kilka miesięcy temu z pedofilii uczynili największy problem Polski. Organizowali konferencję za konferencją, ich profile w mediach społecznościowych wypełniała głównie chęć wypalenia gorącym żelazem sprawców krzywd dzieci. Wtedy jednak chodziło o przestępstwa popełniane przez księży. Teraz rzecz dotyka świata kultury, show-biznesu. Istnieje niebezpieczeństwo, że powrócą nieco już zapomniane afery pedofilskie, które zahaczały również o świat wielkiej telewizji czy ikon polskiego kina.

Konrad Piasecki z TVN24 10 sierpnia pisze na Twitterze: „Jeśli okaże się, że w show-biznesie funkcjonował system ukrywania przestępstw, przestępców co najwyżej przenoszono do innego programu, a przy tym dużo prawiono o moralności i nauczano innych, jak żyć – będę pisał wyłącznie o pedofilii w show-biznesie". Sylwester Latkowski (w swoim dorobku ma wiele tekstów o pedofilii, a także dokument „Pedofile" o przestępcach seksualnych z warszawskiego Dworca Centralnego) ripostuje: „Konrad, poważnie? A pamiętasz sprawę Zatoki? Krystka? Dworca? Itd.?". I dalej: „Może będziesz miał odwagę po urlopie o tym zrobić rozmowę. Choć @tvn24 na rozmowę Ci nie pozwoli, i to wiesz. Szefowie Twoi wiedzą, że to polska wersja Epsteina". Jeffrey Epstein to amerykański miliarder, który właśnie 10 sierpnia popełnił samobójstwo (w teoretycznie pilnie strzeżonej celi nowojorskiego więzienia). Miesiąc wcześniej został aresztowany pod zarzutem przestępstw seksualnych (ofiarami były dziesiątki kobiet, w tym nieletnich dziewcząt), handlu ludźmi, stręczycielstwa. Należał do amerykańskiej elity. Przyjaźnił się m.in. z Billem Clintonem i Donaldem Trumpem.

Mijają kolejne dni, a sprawą z „dużych" redakcji zajęła się tylko Wirtualna Polska i Polsat News, w którym Bogdan Rymanowski gościł Mariusza Zielkego. Dlaczego inne strony medialnego mainstreamu milczą? Usprawiedliwić je próbował serwis naTemat.pl. W iście kuriozalny sposób. Żaden z dziennikarzy, którzy wypowiadają się w tekście, nie pozwolił na podanie swojego nazwiska. I tak: w TVN badają sprawę (już drugi tydzień): „Ban na aferę Sadowskiego? Nieprawda, nie ma czegoś takiego, wręcz przeciwnie. [...] Jesteśmy w trakcie sprawdzania jego ustaleń. Musimy mieć 100-proc. pewność, że to, co podamy na antenie i w portalu, jest prawdą". W „Gazecie Wyborczej" temat... przeoczono: „Wszyscy tną koszty, chcą mieć jak najwięcej treści wyprodukowanej jak najmniejszą liczbą rąk. W redakcjach brakuje ludzi na co dzień, a co dopiero w wakacje. Ktoś nie zauważył, ktoś nie docenił rangi tematu, minęło kilkadziesiąt godzin, a potem było już za późno, by robić z tego breaking news". Portal Gazeta.pl twierdzi zaś, że o sprawie pisał, tyle że... w należącym do Agory plotkarskim serwisie Plotek.pl. Najbardziej osobliwie wypadł przedstawiciel tygodnika, którego nawet nazwy nie życzył sobie wymieniać: „Zielke sparał robotę. Zamiast pokazać wszystko od razu jednym mocnym tekstem lub filmem, spalił temat. Ujawnia kawałek po kawałku, tak że przykuwa uwagę ludzi do wycinków problemu, więc potem, gdy zbierze wszystko w całość, ludzie się tym nie zainteresują, bo przecież już kiedyś o tym słyszeli".

Te idiotyczne wyjaśnienia jakoś nie były potrzebne, gdy kilka miesięcy temu wszystkie powyższe redakcje z pedofilii wśród księży zrobiły temat na wiele dni kampanii wyborczej. A przecież wcale nie chodzi dziś o to, by napiętnować jazzmanów. Nikt nie próbuje przekonywać, że każdy człowiek z saksofonem czy przy organach Hammonda jest pedofilem.

Zielke chciał zainteresować sprawą kilka dużych, ogólnopolskich redakcji. Przekazywał informacje, które pozwalały na opisanie tej historii po krótkiej dziennikarskiej pracy śledczej. Żadne z mediów nie podjęło tematu. Przynajmniej na razie. Z naszych informacji wynika, że w jednej z telewizji wynajęto nawet agencję detektywistyczną (nie najlepiej świadczy to o warsztacie jej reporterów), najprawdopodobniej po to, aby z tej sprawy

eprasa.pl cfbace2a2b

wyłowić to, co będzie dla tego medium wygodniejsze niż „tylko" zdemaskowanie pedofila ze świata kultury.

FILM O LOBBY

Mariusz Zielke to poważany dziennikarz śledczy (ma na swoim koncie najważniejsze nagrody branżowe, w tym Grand Press za tekst o giełdowych zmowach). Po 15 latach dziennikarstwa zajął się pisaniem książek. Opublikował ich kilkanaście. Jak sam mówi, to „głównie thrillery z wątkami gospodarczo-finansowo-politycznymi". Teraz kręci dokument dekonspirujący polskie lobby pedofilskie, pokazujący, kto i jak chroni tych przestępców. Sprawa Krzysztofa Sadowskiego ma być tu tylko punktem wyjścia.

W serwisie Zrzutka.pl zbiera pieniądze na tę produkcję. Jeszcze przez trzy tygodnie można pomóc autorowi odsłonić kulisy pedofilii. Nie tylko w Kościele, jak bracia Sekielscy. Oni wiedzieli, że będą mieli gigantyczną promocję w mediach. Zielke działa w o wiele mniej sprzyjających warunkach. Stawia czoła potężnym środowiskom, które będą mogły liczyć na znaczącą osłonę medialną i finansową.

O kim usłyszymy w filmie? Przede wszystkim o przedstawicielach świata kultury – filmowcach, muzykach, ludziach teatru, a także szkolnictwa artystycznego (do skandalicznych wydarzeń dochodziło co najmniej w trzech placówkach). Czy padnie nazwisko jednego z najsłynniejszych polskich reżyserów, o którego pociągu do młodych chłopców plotkuje się od lat? A może innego autorytetu filmowego, już nieżyjącego?

Zielke zapowiada, że chodzi o „wielu artystów", którzy przejawiali bądź przejawiają takie skłonności. – Postaram się wymienić wszystkie nazwiska. Uważam, że to jest tak bulwersujące przestępstwo, tak okrutne działanie sprawców, że nie powinienem mieć żadnych skrupułów przed ich ujawnieniem. Jeśli polskie prawo będzie mi to uniemożliwiać, wyemigruję z kraju i zrobię to z zagranicy. Nie zostawię tego tematu – oświadczył w telewizji wPolsce.pl.

Pedofile ze świecznika to również ludzie biznesu. – Mam doniesienie o bardzo wstrząsającym przypadku jednego z najbogatszych Polaków – mówił Zielke, dodając, że relacje jego informatora pokrywają się z treścią zeznań ofiary biznesmena.

CELEBRYCI PEDOFILE

Być może odżyją starsze sprawy, które nie znalazły należytego finału przed wymiarem sprawiedliwości. Na Pomorzu trwa proces Krystiana W., „Krystka", oskarżonego o 65 przestępstw, z czego 40 seksualnych, których miał dopuścić się wobec 33 młodych kobiet. Osiem z nich było niepełnoletnich, z czego pięć nie skończyło 15. roku życia. Na ławie oskarżonych poza nim zasiada tylko Marcin T., współzałożyciel sopockiej Zatoki Sztuki, nazywanej ongiś „prywatnym domem kultury". Okazało się, że niekiedy kultury było tam mniej, więcej zaś – narkotyków i seksu z bardzo młodymi dziewczynami. Dlatego miasto wymówiło dzierżawę nieruchomości. „Zrobimy wszystko, aby to miejsce ponownie kojarzyło się ze sztuką, a nie z niewyobrażalną krzywdą ludzką, pedofilią! I nie przerazimy się żadnej, nawet najbardziej ustosunkowanej kancelarii prawnej czy tłumu ochroniarzy" – grzmiał prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

> Milczą politycy, którzy kilka miesięcy temu z pedofilii uczynili największy problem Polski. Wtedy jednak chodziło o przestępstwa popełniane przez księży. Teraz rzecz dotyka świata kultury, show-biznesu

Gdy pojawiły się pierwsze doniesienia o dziejącej się tam patologii, lokal szybko zyskał wsparcie u celebrytów. Z hasłem „Tak! dla Zatoki Sztuki" fotografowali się m.in. Jerzy Kryszak, Nergal, zespół Afromental czy aktor Marcin Perchuć.

Michał Majewski i Sylwester Latkowski opisywali we „Wprost" „układ Krystka". Pisali, że jest on w tej sprawie tylko wierzchołkiem góry lodowej. Na imprezach, na które „dostarczał" dziewczyny, spotykali się biznesmeni, prokuratorzy, sędziowie, aktorzy, ludzie znani z mediów. Człowiekiem zapewniającym temu towarzystwu do zabawy narkotyki był trójmiejski gangster, którego nazwisko przewija się w niejawnych materiałach służb specjalnych ze sprawy Amber Gold.

Jeden z informatorów „Wprost" mówił: „Krystek jest jedynie chorym człowiekiem, który próbował realizować swoje fantazje i zboczenia. Potencjał zauważyły w nim inne osoby, takie, które mają odpowiednie zasoby i posłużyły się Krystkiem, aby stworzyć bezpieczny pomost pomiędzy nim samym a dziewczynami. Układ ten nie kończy się na Sopocie. Są w to wszystko uwikłani ludzie z polskiego show-biznesu oraz lokalni przedsiębiorcy".

Gdzie jeszcze szukać pedofilów ze świecznika? W maju tego roku Latkowski na antenie Polskiego Radia 24 mówił: „Policjanci z warszawskiego Śródmieścia od lat wiedzą, że na ich terenie działają pedofile, z których jeden był w III RP ministrem, drugi jest znanym autorem programów telewizyjnych, inny – wiceprezesem dużego banku, kolejny – posłem, jeszcze inny – znanym reżyserem filmowym. Kiedy policjanci przesłuchiwali pedofilów o głośnych nazwiskach, naciskano na nich, by nie sporządzali z tych przesłuchań protokołów. Kiedy opisali te naciski i złożyli raport komendantowi stołecznej policji, od oficera wydziału spraw wewnętrznych otrzymali ustne polecenie, żeby przestali się tą sprawą zajmować, a raport uznali za niebyły. Raport nigdy zresztą do komendanta nie dotarł".

Dziennikarz wspominał też swój tekst (pisany wspólnie z Majewskim) „Burdel Warszawa" o jednej z ważniejszych stołecznych gejowskich agencji towarzyskich. Tak o nim niedawno opowiadał: „Tam natrafiliśmy na wątek, że ta agencja nie zatrudniała tylko pełnoletnich

eprasa.pl cfbace2a2b

chłopców, lecz także nieletnich. Z tej agencji korzystają celebryci, dziennikarze, biznesmeni. W pewnym momencie nawet mieliśmy listę klientów tej agencji. Co się okazało? Tam [w tekście] był jeden akapit poświęcony pewnemu celebrycie. To oczywiście jest jego prywatna sprawa, że jest gejem, biseksem, bo tak naprawdę on się »sprzedaje« na zewnątrz jako miłośnik kobiet. Ale okazało się, że on korzysta z tej agencji. Problem jest taki, że odbywa to się w ten sposób, iż przywożą mu trzech chłopców – specjalnie przygotowanych, bo on ma pewne upodobania – i on wybiera zawsze najmłodszego".

> Mam doniesienie o bardzo wstrząsającym przypadku jednego z najbogatszych Polaków – mówi Zielke, dodając, że relacje jego informatora pokrywają się z treścią zeznań ofiary biznesmena

RUSZA PAŃSTWOWA KOMISJA

Przed kilkoma miesiącami walkę z pedofilią mieli na ustach wszyscy politycy. Zareagował rząd. W lipcu przygotowano ustawę powołującą specjalną komisję badającą przypadki przestępstw seksualnych wobec małoletnich poniżej 15. roku życia. Kilka dni później projekt był już po pierwszym czytaniu w Sejmie. Jeszcze przed wyborami ma zostać przyjęty przez parlament.

W skład tego ciała będzie wchodzić siedem osób (trzy – spośród zgłoszonych m.in. przez Naczelną Radę Adwokacką, Naczelną Izbę Lekarską czy organizacje pozarządowe, które zajmują się prawami dzieci – wyłoni Sejm większością 3/5, a po jednej Senat, prezydent, premier oraz Rzecznik Praw Dziecka). Kadencja potrwa siedem lat. Zastosowano więc tu kilka mechanizmów bezpieczeństwa, by jak najbardziej odpolitycznić to ciało. Nie mogą w nim zasiadać posłowie, senatorowie, posłowie do PE czy pracownicy biur poselskich lub partii politycznych.

Kto będzie mógł się zgłosić do komisji? W zasadzie każdy – zarówno osoby poszkodowane, jak i mające wiedzę o przestępczym zdarzeniu czy przedstawiciele organizacji, w której doszło do nadużyć. Zgłoszenie komisji przypadków wykorzystywania seksualnego nieletnich ma być równoznaczne z zawiadomieniem organów ścigania. Instytucja będzie prowadzić postępowania na podstawie akt prokuratorskich lub sądowych, a także na podstawie przesłuchań ofiar, sprawców lub świadków. Będzie też mogła zasięgać opinii biegłych lub korzystać z innych dokumentów zgromadzonych w sprawie.

Komisja ma się też przyglądać zaniedbaniom w sprawach nadużyć seksualnych organów państwa, a także podmiotów pozarządowych i innych. Pod jej lupą znajdą się organizacje prowadzące działalność edukacyjną, wychowawczą, opiekuńczą, kulturalną, związaną z kulturą fizyczną, wypoczynkiem i leczeniem, a także samorządy zawodowe, kościoły oraz związki wyznaniowe.

Takiej instytucji zdecydowanie wyczekują Polacy. Z przeprowadzonego pod koniec czerwca badania pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl wynika, że aż 69 proc. ankietowanych popiera „powołanie specjalnej komisji śledczej, która zbadałaby problem pedofilii nie tylko w Kościele, ale także w innych środowiskach, w tym artystycznych". Przeciwnych jest 14 proc. Po odjęciu osób niezdecydowanych akceptacja jest jeszcze bardziej wyrazista – stosunek zwolenników do krytyków wynosi 83:17.

Wsparcie społeczne jest. Czas na realne działania państwa. Pojedynczy wojownicy nieoglądający się na to, kto stoi za pedofilami, sami sprawy nie załatwią.

Nie mamy nawet świadomości, jaka jest skala problemu. Dyrygent, ksiądz, pianista... – co jakiś czas wybuchają afery dotyczące jednostkowych przypadków. A liczbę ofiar liczyć można w tysiącach. „Wszyscy o tym wiedzą", ale zdecydowana większość sprawców najbardziej obrzydliwych przestępstw śpi spokojnie. Czują się nietykalni. Mają pieniądze i wpływowych przyjaciół, którzy dbają o to, by zmowa milczenia trwała.

Czy zostanie przerwana? Czy czeka nas wstrząs, o którym „wkrótce będą mówić w CNN, BBC i wszystkich innych najważniejszych telewizjach na świecie", jak przekonuje Mariusz Zielke?

Zbrodniarze chyba mają się czego obawiać. Niezależnie od tego, czy noszą sutanny, czy efektowne ciuchy od najdroższych projektantów.

„Tęczowy Music Box" to program emitowany przez TVP1 na początku lat 90. Według Zielke stał się łowiskiem dzieci dla pedofilów

Autopromocja

eprasa.pl cfbace2a2b

Zawsze w trendzie wzrostowym

Portal **pełen informacji i opinii** *o* **gospodarce**

Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

eprasa.pl cfbace2a2b

Przetarg na zbawców

Poszukiwanie zbawców Polski zaczęło się od Janusza Palikota, a kończy na Aleksandrze Dulkiewicz

STANISŁAW JANECKI

Donalda Tuska zaczęto kreować na zbawcę Polski dopiero wtedy, gdy od 1 grudnia 2014 r. zaczął urzędować w Brukseli jako przewodniczący Rady Europejskiej. Wcześniej bywał wprawdzie „wspaniały", ale ową wspaniałość przyćmiewała funkcja premiera. W polityce III RP zapotrzebowanie na zbawcę zaczęło się kształtować wcale nie na przełomie lat 80. i 90., lecz dopiero od około połowy 2010 r., czyli w trzecim roku rządów Tuska. I wcale nie ówczesny premier był do roli zbawcy wtedy przymierzany. A od 2011 r., szczególnie w kampanii przed wyborami parlamentarnymi (odbyły się 9 października 2011 r.), oczekiwanie na zbawcę stało się trwałym elementem polityki. Co znamienne, dotyczyło to obozu wtedy rządzącego albo sił z nim sympatyzujących. Obecnie rządzący zbawców nie poszukiwali. Stawianie na zbawców jest rozwiązaniem irracjonalnym, wyrazem opierania się na cudownych przypadkach, które jak wygrana w totolotka mają zmienić rzeczywistość. W tym sensie jest to czysta magia. Magiczny sens istnienia zbawcy ma budować aurę i stawiać taką osobę ponad przyziemnościami bieżącego życia i bieżącej polityki. Jak w baśniach wokół postaci zbawcy ma dominować atmosfera cudowności i wyjątkowości.

Poszukiwanie zbawców jest dziecinną wiarą w polityczny konstruktywizm i kreacyjną siłę mediów. I najczęściej wynika z tego, że zawodzi normalna polityczna droga wyłaniania oraz dojrzewania przywódców. W roli zbawców obsadzano już Janusza Palikota, Elżbietę Bieńkowską, Ewę Kopacz, Ryszarda Petru, Rafała Trzaskowskiego, Mateusza Kijowskiego, Andrzeja Rzeplińskiego, Małgorzatę Gersdorf, Rafała Dutkiewicza, Jacka Jaśkowiaka, Pawła Adamowicza, Hannę Zdanowską, Adama Bodnara, a ostatnio Aleksandrę Dulkiewicz. Obsadzano też odrodzonego Donalda Tuska.

SHOW-BIZNES Z DODATKIEM MAGII

Poszukiwanie zbawców jest praktyką przeniesioną z show-biznesu i talent show z dodatkiem magii. Bodaj pierwszym przykładem zbawcy w takim sensie była tuż po II wojnie światowej Eva Perón, amatorska aktorka, a potem żona prezydenta Argentyny Juana Peróna. Eva Perón nie została zbawcą instytucjonalnym, gdyż uniemożliwiono jej objęcie stanowiska wiceprezydenta, co byłoby odskocznią do prezydentury. Taki scenariusz zrealizował natomiast najpierw wiceprezydent, a potem prezydent Filipin (w latach 1998–2001), aktor Joseph Estrada. Obecnie jest burmistrzem Manili, ale rola zbawcy wyraźnie mu zaszkodziła: za korupcję został usunięty z urzędu i skazany na dożywocie. Na szczęście został ułaskawiony przez swoją następczynię, a wcześniej zastępczynię Glorię Macapagal-Arroyo.

Najnowszy przykład zbawcy, który wspiął się na szczyt polityki, to prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, wcześniej komik, aktor, reżyser, producent. Zełenski przeniósł się z rzeczywistości kreowanej w serialu „Sługa narodu" wprost do realnego świata ukraińskiej polityki. Mechanizm kreowania i poszukiwania zbawców nie funkcjonuje w żadnej zachodniej demokracji. Nie wykreował się tak prezydent USA Ronald Reagan, wcześniej aktor. On po prostu najpierw stał się związkowcem, potem politykiem lokalnym (gubernatorem Kalifornii), a na końcu 40. prezydentem Stanów Zjednoczonych.

eprasa.pl cfbace2a2b

W III RP po 2010 r. poszukiwanie zbawców wynikało głównie z tego, że obecna opozycja, a wcześniej opcja rządząca, miała problem z charyzmatycznym, niekwestionowanym liderem. Tusk niby kimś takim był, ale po pierwszej kadencji w roli premiera stracił „magiczną moc". Potem, szczególnie w latach 2016–2018, zwolennicy Tuska odkryli w nim odrodzenie magicznej mocy, lecz w 2019 r. ta moc się wyczerpała. Dlatego pierwsze poszukiwania zbawcy przypadają na wyborczy rok 2011. I pierwszym obsadzanym w tej roli był Janusz Palikot. Potem zastąpiła go Elżbieta Bieńkowska. Wypracowane wtedy schematy, techniki i metody kreowania zbawcy do dziś obowiązują. A obecnie są wręcz desperackie, opozycja bowiem pilnie poszukuje zbawcy, który jednocześnie byłby jej kandydatem na prezydenta RP. O desperacji świadczy to, że kolejni kandydaci na zbawców charakteryzują się coraz krótszym terminem przydatności do użycia. Janusz Palikot funkcjonował w roli zbawcy co najmniej dwa lata, podobnie Elżbieta Bieńkowska. Ryszard Petru był kandydatem na zbawcę około roku, podobnie jak Ewa Kopacz, Rafał Trzaskowski i Mateusz Kijowski. Pozostali pretendenci byli brani pod uwagę jako zbawcy już tylko przez kilka miesięcy, a nawet zaledwie kilka tygodni.

PALIKOT I BIEŃKOWSKA

Przypadki Palikota i Bieńkowskiej są warte bardziej szczegółowego opisania, gdyż pokazują metodę. Palikot miał być nową jakością jako politykujący filozof, myśliciel i mecenas sztuki. Miało go wyróżniać to, że otacza się intelektualistami i artystami, dyskutuje z filozofami, rzuca cytatami z klasyków filozofii i literatury. Na początku 2012 r., gdy Palikot obnosił się z tabliczką trzeciej siły politycznej, media (m.in. „Newsweek", „Wprost" i „Gazeta Wyborcza") – jak sam wtedy recenzował – prezentowały go „à la Chrystus w »Newsweeku«, w »Wyborczej« – Gloria, a we »Wprost« – energia i zwarcie". Publicysta Rafał Kalukin pisał we „Wprost": „Ruch Palikota rośnie. To się wyczuwa już od progu pokoju poselskiego. Ciągły ruch, niespotykane gdzie indziej ożywienie, posłowie nieustannie wchodzą i wychodzą, w biegu zagadując bardzo młodych pracowników biura. Czuje się wigor i entuzjazm". Jarosław Makowski, wtedy prezes Instytutu Obywatelskiego, czyli think tanku Platformy Obywatelskiej, w „Gazecie Wyborczej" perorował: „Palikot jest filozofem, który, jak wszystko na to wskazuje, nie topił w czasie studiów nosa w sałatce po nocnej balandze, ale czytał Platona i Kanta". I zapewne o Platonie i Kancie, a także o ojcach Kościoła myślał i medytował w klasztorze na górze Atos. Albo o tym, dlaczego jeszcze nie ma statusu Leszka Kołakowskiego. Palikot czytał też Witolda Gombrowicza, a gdy został politykiem, próbował się w niego wcielić. Mieszkał w pałacu, otoczony luksusowymi przedmiotami i dziełami sztuki, organizował prywatne koncerty, obiady z myślicielami niczym Stanisław August Poniatowski. Modnie się ubierał, nosił snobistyczne marki odzieżowe oraz obuwnicze i takież zegarki. Mimo tylu zalet i bardzo szerokiego lansu Palikot nie został zbawcą. Został natomiast pospolitym hejterem, którego atrybutami nie były dzieła Platona ani Kanta, lecz sztuczny penis, świński ryj, alkoholowe „małpki" i rynsztokowy język.

Gdy Bieńkowska pojawiła się na okładce 48. numeru „Newsweeka" w 2013 r., miała na sobie królewskie szaty i wspaniałą koronę, napis na okładce przedstawiał ją jako „Elżbietę I". Tomasz Lis, naczelny „Newsweeka", mówił wtedy: „Być może to najpotężniejsza kobieta w polskiej historii". W środku tygodnika Aleksandra Pawlicka rozpływała się: „Dziś jest nazywana jego Matką Boską albo cesarzową. Z Elżbietą Bieńkowską faceci nie mają szans". Cytowano Konrada Niklewicza, zastępcę Bieńkowskiej w resorcie rozwoju regionalnego, wcześniej dziennikarza „Gazety

Fot. PRZEMEK ŚWIDERSKI/POLSKA PRESS/DZIENNIK BAŁTYCKI, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl cfbace2a2b

Wyborczej": „To osoba o żelaznej ręce. Umie egzekwować to, co mówi. W jej ministerstwie jest jak w wojsku, ale nie dlatego, że panuje terror i mobbing. Nie strach kieruje ludźmi, tylko jej autorytet. Podwładni wiedzą, że szefowa podejmuje słuszne i logiczne decyzje, więc chcą je realizować". Była „generałem w spódnicy", ale „świadomą swojej kobiecej atrakcyjności". „Gdy idzie, elektryzuje. Faceci miękną, a kobiety czują respekt" – opowiadał anonimowy polityk PO. W innej opinii była „jedną z tych bab, które się kocha. Władcza, stanowcza, budząca respekt". Gdy została wicepremierem w rządzie Tuska, „ci, nad którymi objęła właśnie dowodzenie, już drżeli na myśl o jej rządach". Wcześniej, w lutym 2012 r., w magazynie „Elle" sama bohaterka tak mówiła o sobie: „Ja jestem osobą bardzo szybką. Nie lubię marnować czasu, dzielić włosa na czworo. Nie podejmuję decyzji tygodniami. Jest akcja, jest reakcja. [...] Mam kobiecą intuicję. Niektórym moim podwładnym mówię: »Ja widzę, o czym myślisz. Niczego nie ukryjesz«. Mam dobrze rozwiniętą inteligencję emocjonalną. Uważam, że inteligentny menedżer bez emocji to dramat". A przy tym tak wspaniała osoba jest zwyczajna: „W zeszłym roku pojechałam na Coldplay i The National. O drugiej w nocy skończył się koncert. O 4.30 wstałam, bo tego samego dnia miałam ważną podróż do Brukseli. Wyciągam męża na festiwale, czasem chodzę na koncerty z Zosią [córką]. Pojechałyśmy do Łodzi na Shakirę. Przetańczyłyśmy cały koncert. Innym razem pojechałam na koncert córki Stinga Coco Sumner. Kocham muzykę, znam się z chłopakami z Myslovitz". Niestety blask, klasa i mądrość Elżbiety I wyparowały gdzieś w brukselskich biurach i dziś już nikt nawet nie myśli, by była ona w stanie zbawić polską politykę i Polskę.

OD KOPACZ DO DULKIEWICZ

Ewa Kopacz jako krótkotrwała zbawczyni miała mieć w sobie matczyną czułość i opiekuńczość, a jednocześnie twardość lekarza z pierwszej linii frontu. Niestety okazała się kimś, kto dużo mówi, mało robi, popełnia gafy i sprowadza politykę do rozmów przy kuchennym zlewozmywaku.

Ryszard Petru miał być nowoczesny, zaradny, obeznany w biznesie, bywały w wielkim świecie, kroczący od sukcesu do sukcesu, a przy tym elegancki. Ale w szczycie kryzysu politycznego, czyli pod koniec grudnia 2016 r., postawił na przyjemności życia z partnerką, wskutek czego błyskawicznie przestał być kandydatem na zbawcę.

> Opozycja pilnie poszukuje zbawcy, który jednocześnie byłby jej kandydatem na prezydenta RP. O desperacji świadczy to, że kolejni kandydaci na zbawców charakteryzują się coraz krótszym terminem przydatności do użycia

Rafał Trzaskowski ma świetne urodzenie, znakomitych i sławnych kolegów, wykształcenie, obycie, młodość, energię, włada językami i jest błyszczący jak produkty z katalogu, ale po sukcesie w wyborach na prezydenta Warszawy uwikłał się w „postępową" ideologię, nie radzi sobie jako menedżer, nie spełnia obietnic, jego zalety wyblakły, a on sam stwarza wrażenie wiecznie zmęczonego.

Mateusz Kijowski miał batutę do dyrygowania tłumami, mandat od opozycyjnego ludu, powierzchowność dandysa i wielkie aspiracje, ale okazał się niesolidnym alimenciarzem, lekkoduchem, najpierw wystawiającym faktury bez pokrycia, a potem utrzymującym się z publicznej żebraniny u resztek wyznawców. I mimo że nawet zaczął się ubierać i mówić jak zbawca, szybko przestał być brany pod uwagę.

Były prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński oraz I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf jako kandydaci na zbawców mieli wnosić powagę profesorów prawa, namysł, umiar i majestat oraz wolę obronienia praworządności. Rzepliński okazał się jednak głównie frustratem i autorem dziwacznych monologów, Gersdorf zaś nie dała rady funkcjonować w roli pierwszej damy zawodów prawniczych.

Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar okazał się obrońcą praw tylko „postępowych" obywateli.

Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, nieżyjący już prezydent Gdańska Paweł Adamowicz, były prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz oraz prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak nie pokazali, że nadają się do czegoś więcej niż kierowanie miastami, a i to z licznymi zastrzeżeniami. I nie stworzyli nawet cienia aury otaczającej niegdyś Bieńkowską i Palikota.

Na scenie dla zbawców pozostała Aleksandra Dulkiewicz. Uwierzyła we własną wyjątkowość, zaufała Tuskowi, że teraz ona. Gdy 14 stycznia 2019 r. niezrównoważony nożownik zabił prezydenta Adamowicza, otworzyły się przed nią drzwi, o których istnieniu nawet nie myślała. W przedterminowych wyborach nie miała groźnego rywala, ale uwierzyła, że poparcie na poziomie 82,22 proc. oddaje rzeczywistość. Potem były pochlebstwa, wielkie nadzieje i wielkie plany, przez co na wiele sposobów łechtana próżność skromnej dotychczas urzędniczki uderzyła jej do głowy. Gdy 4 czerwca w Gdańsku odbywały się uroczystości 30. rocznicy kontraktowych wyborów, Dulkiewicz już była przekonana, że ma status jednej z liderek opozycji. Tym bardziej że Tusk postanowił wylansować ją na kandydatkę na prezydenta RP. Od tego momentu sama Dulkiewicz zdaje się wierzyć, iż jest na najlepszej drodze do zajęcia najwyższego stanowiska w polskiej polityce. Ile to potrwa? Zapewne jeszcze kilka tygodni. A potem zdarzy się to, co się dzieje od czasu lansowania na zbawcę Palikota. Głównie dlatego, że przetargi na zbawcę są czymś całkowicie sztucznym i nieefektywnym. A Polacy to nie Ukraińcy.

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Krzysztof Kaniewski/REPORTER

Metoda D'Hondta. Jak to działa

Jeśli PiS chce myśleć o pewnej i bezpiecznej większości w przyszłym Sejmie, to musi utrzymać obecną kilkunastoprocentową przewagę nad następną w kolejności Koalicją Obywatelską. Jeżeli część wyborców PiS pozostanie bowiem w domu i ta przewaga stopnieje poniżej 10 proc., to przy spodziewanej dużej mobilizacji elektoratu antypisowskiego opozycja ma szansę na przejęcie rządów. Metoda D'Hondta premiuje wprawdzie zwycięzcę, ale jeśli ma on – tak jak PiS – wszystkich przeciwko sobie, to aby pozostać u władzy, jego zwycięstwo musi być bezapelacyjne i zdecydowane

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wszystko wskazuje dziś na to, że jesienna walka o mandaty sejmowe rozegra się pomiędzy trzema formacjami: rządzącym Prawem i Sprawiedliwością, skupioną wokół PO Koalicją Obywatelską oraz blokiem wyborczym lewicy z SLD na czele. Pozostaje jeszcze w grze oscylująca w okolicach progu wyborczego Koalicja Polska tworzona przez PSL i resztki formacji Pawła Kukiza, jednak jej szanse na wejście do kolejnego Sejmu są dzisiaj dość niepewne.

Publikowane w ostatnich dniach sondaże wskazują na bezsprzeczne zwycięstwo PiS. Partia rządząca może liczyć na wynik powyżej 40 proc., druga

eprasa.pl cfbace2a2b

w kolejności KO nie przekracza 30 proc., a notowania bloku lewicy wahają się wokół 10 proc., czasem powyżej, czasem poniżej tej liczby. Wydaje się więc, że siły są dość wyrównane: gdyby zsumować sondażowe rezultaty uzyskane przez KO oraz lewicę, da to wynik niewiele niższy od notowań PiS.

Jednak, rzecz jasna, wyniki sondażowe nie przekładają się bezpośrednio na rezultaty wyborów. Poza oczywistymi przyczynami takimi jak różne metodologie sondaży oraz upływ czasu – od wyborów dzielą nas jeszcze prawie dwa miesiące, w czasie których może się wiele wydarzyć – jest jeszcze jeden czynnik: ostateczny podział mandatów opiera się na metodzie D'Hondta, która nie przekłada się bezpośrednio na procentowe wyniki wyborów. Gdyby tak było, to PiS, które podczas ostatnich wyborów w 2015 r. otrzymało 37,5 proc. głosów, nie zdobyłoby 235 mandatów dających tej partii sejmową większość. Przy podliczaniu mandatów tą metodą bierze się bowiem pod uwagę wiele różnych zmiennych i to ich układ jest kluczowy dla ostatecznych wyników.

PUŁAPKI D'HONDTA

W 2015 r. bardzo ważnym czynnikiem dającym PiS samodzielną większość było rozbicie głosów opozycji na kilka różnych komitetów wyborczych (PO, Nowoczesna, PSL i koalicja wokół SLD) oraz uzyskanie tym samym dużej przewagi PiS (37,5 proc.) nad następną w kolejności PO (24 proc.). Przewagę tę udało się osiągnąć nie tylko dzięki rozbiciu opozycyjnych głosów, lecz również dlatego, że ówczesny blok Zjednoczonej Lewicy, który uzyskał 7,5 proc., nie zdołał przekroczyć wymaganego dla koalicji 8-procentowego progu wyborczego. Głosy oddane na lewicę, które w przypadku jej wejścia do Sejmu mogłyby zasilić blok antypisowski, zostały więc zmarnowane, a „zwolnione" w ten sposób mandaty zasiliły pozostałe partie, wśród nich PiS. Cechą charakterystyczną metody D'Hondta jest bowiem promowanie najsilniejszej partii, a w tym przypadku było to zachowujące bezpieczną przewagę nad rywalami PiS.

Oczywiście na podział mandatów mogą mieć wpływ i inne zmienne, jednak najistotniejsza jest właśnie skala przewagi zwycięskiej partii nad następnym w kolejności rywalem (rywalami). W polskich warunkach ta skala zwykle wzrasta, jeśli rywale zwycięskiej partii są podzieleni. Im tych rywali więcej, tym mniej zgarną z ogólnej puli mandatów, i to nawet wówczas, gdy zdołają łącznie zdobyć podobny procent głosów w wyborach co zwycięska partia. Przykładowo – jeżeli zwycięzca otrzyma 45 proc. głosów, a jego rywale – odpowiednio 25 proc. i 15 proc. (razem 40 proc.), to w szacunkowym przeliczeniu na mandaty będzie to ok. 260 mandatów dla zwycięskiej partii oraz ok. 200 dla rywali (130 plus 70). Gdyby jednak zwycięska partia miała jednego – za to silnego – rywala, który samodzielnie zdobyłby 40 proc., to wówczas rozkład mandatów byłby zupełnie inny: dla zwycięzcy ok. 240 mandatów, dla rywala ok. 220. Na tym przykładzie widać, że gdy rywalizują z sobą tylko dwie silne formacje, to przy tym samym praktycznie wyniku wyborów przewaga zwycięzcy topnieje z 60 do zaledwie 20 mandatów.

Podane wyniki są oczywiście umowne, zakładają bowiem, że głosy we wszystkich okręgach wyborczych rozłożą się równomiernie, co jest raczej mało prawdopodobne, niemniej jednak dobrze ilustrują działanie metody D'Hondta.

CZARNY SCENARIUSZ DLA PIS

Nic więc dziwnego, że opozycja – rozbita dziś na dwa (a nawet trzy, jeśli doliczyć PSL) bloki wyborcze – ma prawo obawiać się wyników najbliższych wyborów. Jednak zdaniem niektórych politologów, w tym prof. Jarosława Flisa z Uniwersytetu Jagiellońskiego, start opozycji w ramach dwóch komitetów wyborczych nie tylko nie osłabia jej szans, ale wręcz może dać jej zwycięstwo nad PiS. W jaki sposób?

Otóż dwa bloki – jeden skupiony wokół PO oraz drugi, wokół SLD – mogą zmobilizować znacznie większą grupę wyborców niż w przypadku, gdyby opozycja szła zjednoczona pod szyldem PO. Większa liczba głosów oddanych na obie listy może dać każdej z nich przyzwoite wyniki, niższe wprawdzie niż te, które uzyska PiS, ale być może wystarczające do tego, aby odebrać rządzącej dziś partii parlamentarną większość w przyszłym Sejmie. Czy to możliwe? Tak, ale pod warunkiem że PiS otrzymałoby w wyborach nie więcej niż 40 proc. głosów, PO i lewica – odpowiednio – 30 proc. i 15 proc. (wyniki mogą być nieco inne, ważne są proporcje), a PSL przekroczyłoby próg wyborczy. Wtedy PiS mogłoby liczyć na – szacunkowo – ok. 225 mandatów, a jego rywale (łącznie z PSL) zyskaliby razem ok. 235 mandatów, co pozwoliłoby im przejąć władzę. W przypadku startu zjednoczonego bloku opozycji taki rezultat byłby trudniejszy do osiągnięcia, o ile w ogóle możliwy. Gdyby bowiem PiS uzyskało w wyborach 40 proc. głosów, opozycja musiałaby zdobyć ich więcej, co wydaje się dziś całkiem nieprawdopodobne.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cfbace2a2b

Wynika z tego, że rozbicie opozycji na dwa bloki, w sprzyjających okolicznościach (duża mobilizacja własnych wyborców i relatywnie wysokie wyniki obu bloków, demobilizacja elektoratu PiS oraz wejście PSL do Sejmu) daje jej paradoksalnie większe szanse zwycięstwa, niż gdyby wystartowała pod jednym szyldem.

Szczególne znaczenie ma tu wspomniana mobilizacja wyborców opozycji. Nie jest żadną tajemnicą, że elektorat antypisowski jest wewnętrznie mocno podzielony. Duża część, którą można szacować na około 10 proc. ogółu głosujących, to wyborcy mocno lewicowi, niechętni PO. Część z nich zapewne nie oddałaby głosu na wspólną listę sklejoną pod auspicjami PO. Zagłosowaliby na rozmaite drobne partie lewicy (w rodzaju Razem) lub zbojkotowaliby wybory. Tak czy inaczej ich głosy nie liczyłyby się przy podziale mandatów. Teraz – gdy powstała osobna lista lewicy – te głosy wpadają do wspólnego antypisowskiego koszyka i potencjalnie mogą odebrać rządzącej prawicy część mandatów. To właśnie dlatego rozbicie opozycji na dwa bloki – platformerski oraz lewicowy – może zmobilizować większą liczbę wyborców antypisowskich oraz zagrozić zwycięstwu PiS. Pytanie tylko, czy tych dodatkowych głosów jest wystarczająco dużo, aby wpłynęły na wyniki wyborów? Część analityków – o czym będzie mowa dalej – ma co do tego poważne wątpliwości.

Dlatego tak duże znaczenie ma postawa niezdecydowanych wyborców. Próbą wpłynięcia na ich zachowania można zapewne tłumaczyć coraz ostrzejszą kampanię propagandową prowadzoną przez opozycję. Takie jej elementy jak np. promocja LGBT mają zmobilizować radykalny elektorat lewicowy, z kolei różne akcje dyfamacyjne w stosunku do PiS, choćby nawet mocno naciągane jak zapowiadany film Patryka Vegi, służą zniechęceniu potencjalnych wyborców prawicy. Chodzi zwłaszcza o tych wyborców, którzy głosują na PiS nie z powodów światopoglądowych, lecz wskutek doraźnej kalkulacji. Stratedzy opozycji liczą, że dzięki ich kampanii uda się urwać parę procent głosów obozowi rządowemu – co w sprzyjających okolicznościach może się okazać wystarczające, aby zmniejszyć przewagę PiS nad rywalami i pozbawić prawicę bezpiecznej większości w przyszłym Sejmie. Przy czym nie chodzi nawet o przejęcie wyborców PiS, to może się okazać zbyt trudne, wystarczy jednak, aby jakaś ich część pozostała w dniu wyborów w domach.

UTRZYMAĆ DYSTANS

W tej sytuacji głównym zmartwieniem i zadaniem dla PiS powinno być zachowanie dużej, możliwie jak największej przewagi nad opozycją. Aby to osiągnąć, należy utrzymać wysoką mobilizację własnych wyborców. O tym, jakie to ma znaczenie, świadczy choćby przykład wyborów do Parlamentu Europejskiego, w których PiS niemalże rozgromiło opozycję.

Dziś PiS może czuć się stosunkowo bezpiecznie, w kolejnych sondażach przeprowadzonych w drugim tygodniu sierpnia jego przewaga nad rywalami oscylowała w granicach 15 proc., co pozwala myśleć o nadchodzących wyborach z umiarkowanym spokojem. KO nie jest bowiem w stanie przekroczyć magicznego progu 30 proc. poparcia, blok lewicy z trudem osiąga 11 proc., a PSL znajduje się nadal na granicy progu. Nawet jeśli go minimalnie przekroczy i znajdzie się w Sejmie, to mając niespełna 6 proc. głosów, nie osłabi przy takich notowaniach pozostałych partii opozycyjnych wyników rządzącego PiS.

W opinii wielu analityków, np. Marcina Paladego, nadzieje na wyższe notowania antypisu są dziś płonne. Ich zdaniem scenariusz zwycięstwa opozycji zarysowany przez prof. Flisa jest mało prawdopodobny, ponieważ nie jest ona w stanie wygenerować dodatkowego poparcia, takiego, które mogłoby jej dać przewagę w przyszłym Sejmie. Przeciwnie, każde dalsze wzmocnienie lewicy oznaczać będzie jednoczesne osłabienie KO. Inaczej mówiąc, ci którzy dotąd z przymusu głosowali na PO (bo nie mieli innej alternatywy), po prostu przerzucą swoje głosy na lewicę, a ci, którzy w ogóle bojkotowali wybory (bo nie chcieli głosować na PO), są zbyt małą grupą, aby ich głosy oddane teraz na blok lewicy były w stanie istotnie wpłynąć na wyniki wyborów. Dwa bloki opozycji nie zaszkodzą więc – wedle tych opinii – obozowi rządzącemu, po prostu elektorat antypisowski rozłoży swoje głosy na dwa komitety wyborcze i nie zyska nic ekstra.

Jeśli tak się stanie, to wówczas – przy założeniu, że PiS zdoła utrzymać dotychczasową wysoką przewagę nad następną w kolejności KO – opozycja może zapomnieć o jakichkolwiek szansach na pozbawienie PiS władzy.

Przy założeniu, że opozycja nie jest w stanie wygenerować nic ponad 40 proc. poparcia i musi jeszcze rozdzielić uzyskane głosy pomiędzy dwa bloki, w najbardziej prawdopodobnym scenariuszu blok PO uzyska maksymalnie 30 proc., a reszta przypadnie lewicy. Wtedy PiS, aby zachować bezpieczną większość, powinno zdobyć minimum 45 proc. głosów. Nie wystarczy to wprawdzie do uzyskania większości 3/5 (na to nie ma raczej szans), ale pozwoli sformować stabilny rząd.

Kluczowym czynnikiem jest tu jednak szeroki udział elektoratu PiS w wyborach. Jedynie w ten sposób można zapewnić sobie dużą przewagę. Bo jeżeli część wyborców PiS pozostanie w domu i ta przewaga stopnieje poniżej 10 proc., to przy spodziewanej dużej mobilizacji elektoratu antypisowskiego, przedstawiony wcześniej scenariusz wygranej opozycji może się stać bardziej realny. Metoda D'Hondta premiuje wprawdzie zwycięzcę, ale jeśli ma on – tak jak PiS – wszystkich przeciwko sobie, to aby pozostać u władzy, jego zwycięstwo musi być bezapelacyjne i zdecydowane.

> Przy założeniu, że podzielona opozycja nie jest w stanie łącznie wygenerować więcej niż 40 proc. poparcia, PiS, aby zachować bezpieczną większość, powinno zdobyć minimum 45 proc. głosów

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. AP/Associated Press/East News

JAN ROKITA

Oporny lud i populiści

Stara prawda o demokracji głosi, iż lud co prawda nigdy nie jest tak mądry, jak politycy o nim mówią, ale też nie jest aż tak głupi, jak politycy o nim myślą

Ciekawie jest obserwować w obecnej kampanii wyborczej do parlamentu, jak dalece rozjeżdżają się gorączkowe zabiegi polityków i upartyjnionych mediów oraz realne nastroje opinii publicznej.

POLITYCZNA TELENOWELA

Świetnym tego przykładem jest sprawa lotów byłego już marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. Najpierw można było odnieść wrażenie, iż pogodzona już w gruncie rzeczy z perspektywą wyborczej porażki opozycja nagle uwierzyła w odnalezienie cudownego oręża, który pozwoli jej jednak rzutem na taśmę pokonać PiS. Miała nim się stać przewlekła i emocjonująca telenowela z rozliczaniem dzień po dniu każdego kolejnego lotu Kuchcińskiego z Rzeszowa do Warszawy i z powrotem (czyli z domu do Sejmu i znów do domu). Biorąc pod uwagę liczbę owych lotów w ciągu czterech lat, a także liczbę i różnorodność osób, które Kuchciński z sobą zabierał na pokład, taki serial mógłby trwać nawet aż do samego 13 października, czyli dnia wyborów. I każdego dnia czołówki opozycyjnych gazet i wydań telewizyjnych wiadomości mogłyby być poświęcane najświeższym wynikom śledztwa w sprawie kolejnego lotu.

Czy po przylocie do Rzeszowa marszałek pojechał do domu na obiad, czy na rodzinny ślub? A więc popełnił jeszcze jeden czyn w najwyższym stopniu naganny. A może jednak chociaż na drugi dzień wypełnił na Podkarpaciu jakąś „czynność służbową", więc akurat ten jego lot mógłby się jakoś dać obronić. A czy towarzyszący mu na pokładzie poseł PiS wiózł istotnie lekarstwa dla swej chorej żony? A może konsylium wybitnych lekarzy wyda jednak opinię, iż żona mogła poczekać kilka godzin na przyjęcie leku, tak by mąż mógł dowieźć go, podróżując nawet spóźniającym się pendolino?

Emocjonalną atrakcyjność serialu wzmacniać miał jeszcze sam Kuchciński i jego służby prasowe, co do których łatwo było przewidzieć, iż każdego kolejnego dnia będą się pogrążać w coraz to bardziej zawiłe krętactwa, a to z powodu paniki, iż prosta prawda o lataniu okaże się zabójcza zarówno dla samego bohatera, jak i – co gorzej – dla przedwyborczej pozycji jego partii. Telenowela miała się więc upodobnić do „komedii sytuacyjnej" (czyli popularnego sitcomu). I jeśli nawet

eprasa.pl cfbace2a2b

nie udałoby się wzbudzić pryncypialnego oburzenia publiczności na praktyki prominenta PiS, któremu władza uderzyła do głowy, to przynajmniej można by jego i jego partię przed wyborami ośmieszyć. A na ośmieszonych lud przecież nie zwykł głosować.

KACZYŃSKI MÓWI: DOŚĆ

Tak działo się przez mniej więcej dwa tygodnie. I działoby się nadal, gdyby najwyraźniej w końcu zirytowany szef PiS nie postanowił sprawy przeciąć i Kuchcińskiego wyrzucić. Opozycja obwieściła swój trumf, co do pewnego stopnia było szczere, gdyż Kuchciński (skądinąd nie bez powodu) był przez nią w roli marszałka znienawidzony. Ale dla kampanijnych sztabowców z partii opozycyjnych usunięcie Kuchcińskiego nie było wcale wydarzeniem radosnym, gdyż skazani zostali na nerwowe poszukiwanie jakichś nowych afer w obozie władzy.

Co jednak ciekawe, wiele wskazuje na to, że także Jarosław Kaczyński, dymisjonując marszałka, do jakiegoś stopnia uwierzył, iż loty Kuchcińskiego mogą naprawdę zagrozić następnym czterem latom PiS u władzy. Co prawda trudno do końca dociec, na ile jego argumentacja, iż „dymisji chcą ludzie, a PiS słucha ludzi", a także, że „to wyborcy w okręgu krośnieńskim rozliczą w październiku Kuchcińskiego", odzwierciedlała prawdziwe przekonania szefa PiS, a na ile pełniła tylko funkcję wygodnego chwytu propagandowego. W każdym razie zapewne Kaczyński uznał co najmniej, iż tego rodzaju populistyczne odwołanie się do egalitarnych nastrojów mas i poświęcenie wiernego żołnierza, który zgrzeszył tym, iż jako marszałek wiódł życie zbyt wygodne, z pewnością PiS nie utrudni dalszej kampanii, a być może ją nawet ułatwi. I w tym zapewne nie był bez racji.

Dopiero post factum zaczęły się objawiać prawdziwe nastroje ludu. Pierwsze wyniki sondaży opublikował dziennik „Rzeczpospolita" pod znamiennym tytułem: „Loty interesujące, ale nieszkodzące". Aż 72 proc. respondentów uznaje, że Kuchciński swymi lotami nie zaszkodził w żaden sposób perspektywom wyborczym swojej partii, a przeciwne zdanie ma ledwie 18 proc. Jeśli zinterpretować jakoś te liczby, to jasno widać, że nie tylko dotychczasowi zwolennicy PiS nie ulegli zwątpieniu pod wpływem trwającej dwa tygodnie lotniczej telenoweli, lecz także wyraźna większość przeciwników PiS nie uwierzyła w to, iż loty Kuchcińskiego mogą odwrócić albo co najmniej zmodyfikować wyraźny dotąd przedwyborczy trend. Opozycyjne media i sztabowcy zbyt łatwo ulegli zatem iluzji, iż „mają PiS na widelcu", zaś Kaczyński też zaczął z całej siły dmuchać na w gruncie rzeczy zimne, no... w najgorszym razie na letnie.

Rzecz jasna ten sam sondaż potwierdza oczywistość, iż niejawne szczegóły życia ludzi władzy, tak samo jak wnuków królowej Elżbiety, aktorek i gwiazdek disco polo, budzą powszechną ciekawość, ba... mogą stawać się nawet prawdziwą ludową pasją. Ale tym, kto we wtorek, a kto w piątek leciał z Kuchcińskim i na czyj ślub potem pojechał marszałek, ludzie mogli się szczerze pasjonować, tyle tylko że bez związku ze swoimi emocjami wyborczymi. Bo jeśli przez lata uporczywej propagandy ktoś uwierzył, że „rudy Tusk oszukał naród", a na dodatek uważa, że „trwa atak na Polskę i Kościół", to nie zmieni przecież swoich wyborów z tego powodu, że okaże się w końcu niezbicie, iż w piątek Kuchciński leciał jednak do domu na obiad, a nie z żadną ważną misją sejmową, zaś żonie jego partyjnego kolegi wcale by się nie pogorszyło, gdyby lekarstwa dostała kilka godzin później.

ZBIOROWY „PAŃSTWOWIEC"

Stara prawda o demokracji głosi, iż lud co prawda nigdy nie jest tak mądry, jak politycy o nim mówią, ale też nie jest aż tak głupi, jak politycy o nim myślą. Po pierwsze, ci, którzy chodzą głosować, znacznie poważniej traktują swoje partyjne przywiązania, niż sugerują socjologowie czy partyjni doradcy. A zwłaszcza dziś, gdy konflikt władza–opozycja nabrał silnych cech ideologicznych, kulturowych, a nawet religijnych przepływy pomiędzy dwoma wielkimi społecznymi (nie partyjnymi) blokami mogą być tylko bardzo nieznaczne.

Kiepskim społecznym słuchem wykazuje się (bardzo przyzwoity skądinąd) Paweł Kukiz, gdy dowodzi ostatnio, iż to złowieszcza proporcjonalna ordynacja wyborcza umożliwi po tym wszystkim Kuchcińskiemu nadal zostanie posłem. I że gdyby w Polsce były JOW-y (czyli ordynacja większościowa), to „skompromitowany marszałek w życiu nie zostałby wybrany". Realia są tymczasem dokładnie odwrotne. W okręgu krośnieńsko-przemyskim (znanym mi skądinąd bardzo dobrze) powszechne jest przekonanie, że Kuchcińskiego, który zasłużył się w taki albo inny sposób tutaj co drugiej gminie, spotkała krzywda. I gdyby tu były JOW-y, to jak po maśle wygrałby on zapewne w każdym z nich, i to być może w pierwszej turze.

Po drugie zaś (i to pewnie w diagnozie polskiego ludu jest ważniejsze), zwykli ludzi wcale nie są aż tak przeżarci egalitarnym populizmem, aby zazdrościli prezydentowi, premierowi albo marszałkowi Sejmu tego, że mieszkają w pałacu albo mają w razie potrzeby na swój użytek przygotowany do lotu w dzień i w nocy wojskowy samolot. Co innego odwieczna plebejska przyjemność dowiedzenia się czegoś skrytego o sprawkach ludzi na szczytach władzy (najprzyjemniej, jeśli są tam jeszcze jakieś szczegóły sprośne), a co innego zawiść, że dygnitarz sprawujący wedle państwowej precedencji drugi urząd w Polsce wraca z Sejmu do domu wojskowym samolotem. Przy okazji życzliwie biorąc jeszcze tych, którym akurat jest po drodze (bo u licha, dlaczegóż miałby przymusowo lecieć sam?).

To tylko sztabowcom partyjnym i walczącym na śmierć i życie w kampanii dziennikarzom przychodzi do głowy, że taką zawiść są w stanie masowo pobudzić. Lud ma pod tym względem znacznie silniejszy, instynktowny respekt dla najważniejszych instytucji państwa. I paradoksalnie lud może się okazywać czasem zbiorowym „państwowcem" w znacznie większym stopniu niźli polityczna elita.

Tak, to prawda, że populistyczni politycy i media, zwłaszcza w Polsce (choć nie tylko w Polsce), stali się specjalistami od wzbudzania u ludzi złości, zawiści i innych negatywnych emocji. To jednak, co optymistyczne, to fakt, że nie zawsze im się to udaje, gdyż lud okazuje się oporny. Tak właśnie jak w przypadku sprawy lotów Kuchcińskiego.

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Andrzej Skwarczyński

Chcemy się wtrącać – dla dobra Unii

Moje kandydowanie do Komisji Europejskiej zostało przez niektórych przywitane pełnym oburzenia stwierdzeniem, że miałem i mam w kilku sprawach europejskich własne zdanie. To ma być teraz w Europie polityczną zbrodnią?

Michał Karnowski rozmawia z profesorem Krzysztofem Szczerskim, szefem gabinetu prezydenta, polskim kandydatem na członka Komisji Europejskiej

Czym dla polskiej prawicy, w tym dla pana jako ważnego reprezentanta tego obozu, jest Unia Europejska? Strukturą, z którą się siłujemy, czy wielką szansą, którą chcemy współtworzyć? Czy jej flaga, wieszana tak często obok polskiej, jest oznaką politycznej opresji, pewnego spętania państwowości polskiej czy znakiem dumnej i wolnej wspólnoty?

Krzysztof Szczerski: Bez wątpienia obecność w Unii Europejskiej, w grupie państw tworzących tę organizację międzynarodową, jest dla Polski geopolitycznie korzystna. To dla nas środowisko politycznego bezpieczeństwa, podobnie jak NATO, bo definiuje nas jako część współczesnego Zachodu, do którego zawsze należeliśmy. Dla Polski jest to oczywistość, choć niekoniecznie dla wszystkich członków europejskiej rodziny jest ona tak czytelna. Z tej przynależności, ugruntowanej w historii i geopolityce, wynika polskie poczucie odpowiedzialności za Unię i jej przyszłość. W Europie zawsze występowały bowiem i występują różnice interesów, zawsze będą w niej napięcia i rywalizacja o przywództwo. Jeśli jednak czynniki te nie są moderowane, konsekwencje dla całego kontynentu i dla Polski są bardzo niedobre. Jest to zatem dla Polski wybór fundamentalny – chcemy europejskiej jedności opartej na zasadach równości i wolności, a niepokoją nas przejawy podziałów i wykluczenia. To wszystko nie oznacza jednak podejścia bezkrytycznego. Odwrotnie: właśnie dlatego, że się o Unię Europejską troszczymy, że rozumiemy jej znaczenie dla przyszłości naszego kraju i całej Europy, bywamy krytyczni, proponujemy zmiany, czasami się spieramy.

Czyli tu właśnie, w dostrzeganiu konieczności reform Unii, jest główna różnica w podejściu do Unii między obecnym obozem rządzącym a opo-

eprasa.pl cfbace2a2b

zycją, która każdy podsunięty jej czek podpisze?

Na pewno opozycja uważa, że nasze miejsce podczas debaty nie jest przy mikrofonie. Często mam wrażenie, że jej przedstawiciele przysłuchują się tym dyskusjom, ale są skrępowani poczuciem, że nie wypada się wtrącać do rozmowy, bo to prawo mają tylko ważniejsi i mocniejsi. My tych kompleksów nie mamy. Chcemy się wtrącać, zabieramy głos, nie boimy się sporu – właśnie ze względu na odpowiedzialność za wspólną Europę. Odrzucamy żądanie, byśmy jako element wciąż biedniejszej Europy Środkowej pozostawali wycofani. Nie – mamy i obowiązek, i prawo brać udział w tych rozmowach. Utwierdza nas w tym wiele sytuacji, kiedy czas pokazał, że to myśmy mieli rację, że nasze propozycje lepiej by służyły Unii Europejskiej.

Na przykład?

Na przykład w dyskusjach wokół sposobów zareagowania na kryzys imigracyjny. To, że nie posłuchano Grupy Wyszehradzkiej w latach 2015–2016, stało się potem źródłem problemów, a czasem i dramatów dla wielu ludzi.

W jakim sensie?

Deklaracjami publicznymi otwarto drogę dla tysięcy ludzi szukających lepszego bytu, którzy ryzykują życie i oddają swój majątek nielegalnym grupom oferującym nadzieję, której Europa nie może spełnić. Do tego wystąpił ostry kryzys społeczny w samej Europie, turbulencje wewnętrzne w wielu państwach członkowskich. Przed tym wszystkim Polska, Węgry, Czechy i Słowacja przestrzegały, wskazując, że trzeba się skupić na szukaniu sposobów pomocy krajom, z których migracja występuje, i ochronie granic przed nielegalnymi praktykami. Cieszę się, że po trzech latach nasze ówczesne stanowisko jest wreszcie podzielane przez większość państw Unii. Ale Europa straciła na tym, że Polski nie słuchała a priori, i traci na tym, gdy Polska i inne kraje milczą. Być może wiele spraw poszłoby inaczej w Unii, gdyby nasi poprzednicy częściej zdobywali się na odwagę wypracowania i powiedzenia własnego zdania, pójścia pod prąd, gdy potrzeba. Rozwój rodzi się w merytorycznych sporach, bo wtedy jest szansa na porównanie alternatywnych propozycji. Unikanie sporu jest synonimem stagnacji...

Pytanie o polityczną cenę. Opozycja wskazuje na stanowiska i mówi: nasza linia uległości i pokory, którą nazywają „pozostawaniem w głównym nurcie europejskim", lepiej się opłaca, bo to my dostaliśmy stanowiska szefa Parlamentu Europejskiego i szefa Rady Europejskiej, a wy macie kłopot z przepchnięciem szefów komisji w PE.

> Ursula von der Leyen wie, kim jestem, jak myślę, i ma wiedzę, jakiej teki w Komisji Europejskiej Polska by oczekiwała. Chodzi o jedną z istotnych tek dotyczących regulacji i podziału środków unijnych

Oczywiście, że wszystko ma swoją cenę. Ale czy naprawdę można poważnej politycznej formacji na serio postawić zarzut, że ma własne zdanie? Że stara się troszczyć o wspólną organizację polityczną? Że nie boi się wskazywać, gdy coś idzie nie tak? Straszenie tym, że za własne zdanie jesteśmy karceni, odradzałbym. Bo jakie to daje świadectwo Unii? Jako naukowiec zajmujący się m.in. badaniem myśli politycznej szczególnie jestem takim podejściem zbulwersowany, bo przyjęcie go oznaczałoby akceptację martwoty politycznej, a w konsekwencji niezdolność do skutecznego działania. Jak można wypracować dobre rozwiązania naprawdę trudnych problemów, nie pozwalając na przedstawienie wszystkim nurtom politycznym swoich stanowisk? Zakładając, że jest jeden tylko właściwy sposób podejścia do Unii i jej problemów? I jak to się ma do zasad demokracji?

Czy jest tak w Unii dzisiaj? Za dużo pytasz, za często masz własne zdanie – dostajesz po uszach? Jak premier Beata Szydło?

Właśnie o to chodzi. Przecież nawet moje kandydowanie do Komisji Europejskiej zostało przez niektórych przywitane pełnym oburzenia stwierdzeniem, że miałem i mam w kilku sprawach europejskich własne zdanie. To ma być teraz w Europie polityczną zbrodnią? Cenię różne opinie, nie uważam, by ich prezentowanie wykluczało kogokolwiek z bycia Europejczykiem. To jest właśnie paradoks, że dzisiaj jedynymi, którzy z Europy wykluczają, są właśnie ci, którzy sami tak głośno mówią o Europie inkluzywnej, włączającej, otwartej, którzy mówią, że kochają renesans.

Z ich perspektywy ta wolność ma granice. Gdy przyjrzy się tamtej stronie, widać strach przed populistycznymi siłami, które wynurzają się z czeluści kontynentu, by zniszczyć „wartości europejskie".

Ale spójrzmy na fakty – żadna z nowych formacji wybranych do Parlamentu Europejskiego, nawet najbardziej eurosceptycznych, nie złamała w tej kadencji żadnych zasad, nawet tych dyktowanych nie przez prawo, ale obyczaj. Przekonamy się w procedurze kształtowania składu personalnego Komisji, co zwycięży: jedność i wspólna przyszłość czy interesy partyjne i logika wykluczania.

Ale już przy akceptacji przez Parlament Europejski Ursuli von der Leyen jako przewodniczącej Komisji Europejskiej głosy posłów wybranych z list Prawa i Sprawiedliwości (funkcjonujących w PE w ramach frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów) okazały się decydujące. Zarówno von der Leyen, jak i kanclerz Angela Merkel musiały o nie zabiegać. Wcześniej był ostry bój z kluczowym udziałem Polski i zablokowanie kandydatury Fransa Timmermansa. A zatem Polska i rządzący nią obóz są

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Andrzej Skwarczyński

jednak w grze o przyszłość Unii dużo mocniej, niż niektórzy by sobie życzyli. Może lewica po prostu odreagowuje? I na panu też może odreagować?

Właśnie. Jedną z formacji, która najlepiej zdała swoisty test z działania proeuropejskiego, było Prawo i Sprawiedliwość. Mam tu oczywiście na myśli głosowanie nad przedstawioną przez Radę Europejską kandydaturą nowej przewodniczącej Komisji. Bez głosów poparcia PiS kandydatura ta byłaby odrzucona, a to oznaczałoby poważny kryzys w Europie i utratę kolejnych procentów społecznego zaufania do instytucji unijnych. Co nas za to spotyka w odpowiedzi ze strony tych, którzy tworzą główny nurt, a przy głosowaniu nad przewodniczącą zagrozili nieudzieleniem jej wotum zaufania ? Wszystko można, gdy nie ma się dobrej woli. Ale zachęcam do szukania nie konfliktu, ale dobra Unii. Mamy unikatową szansę stworzenia Komisji Europejskiej o bardzo szerokim zapleczu politycznym, a przez to silniejszej, skuteczniejszej, jednoczącej Unię. Poparcie KE przez koalicję od zielonych do konserwatystów byłoby wielkim osiągnięciem całego Parlamentu Europejskiego, pokazywałoby determinację Europy do pójścia naprzód, zmierzenia się z wyzwaniami mimo różnic. W wymiarze politycznym byłoby też sygnałem wskazującym, że nikt – poza skrajnościami – nie jest z Unii wykluczany. Mam nadzieję, że tym razem duża i silna grupa polityczna, jaką są Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, nie będzie traktowana inaczej i uzyska należne jej prawa, które wynikają z udzielonego mandatu społecznego. Tak mówią europejskie wartości i powinien działać demokratyczny system prawny.

Niestety, można sobie wyobrazić coś przeciwnego

Z punktu wiedzenia dobra europejskiego, byłby to duży błąd. Wybór jest dość jasny: Komisja silna, spełniająca europejskie ambicje, mająca mandat najważniejszych sił w PE, albo podziały i osłabienie Unii. Można oczywiście znowu wypchnąć tych, którzy nam się nie podobają, a potem się dziwić, że obywatele Europy odczuwają deficyt demokracji, widzą za mały związek między kształtem Unii a tym jak głosują. Mam nadzieję, że wybrany zostanie wariant niekonfrontacyjny. Tym bardziej że w logice politycznej poparcie polskich posłów z grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów dla Ursuli von der Leyen powinno mieć swoje konsekwencje.

Chyba że pęknięcie cywilizacyjne jest tak głębokie, że poczucie wspólnoty politycznej zostało rozerwane? Możliwe, że część establishmentu europejskiego tak mocno przeżywa swoje lewicowe idee, niekiedy odrzucające wszelkie dziedzictwo chrześcijańskie, że nie chce mieć nic wspólnego z odwołującymi się do tradycyjnego postrzegania europejskości „troglodytami". Może oni nie chcą się z nami dogadać, ale nas reedukować? Może jesteśmy już z innych światów?

Te różnice i napięcia, bez względu na to, jak je opiszemy, oczywiście istnieją. Model życia społecznego na Zachodzie różni się od modelu życia w Polsce, która jest jednym z ostatnich miejsc w Europie, gdzie na przykład rytm niedzieli w większości miejscowości wyznacza dzwon kościelny. Widzę to każdej niedzieli także w moim Krakowie. Tego na Zachodzie już nie ma. Kościoły tam oczywiście istnieją, ludzie do nich chodzą, ale nie tworzy to już rytmu społecznego, a tradycyjne wartości i zachowania nie są tkanką spajającą życie społeczne.

eprasa.pl cfbace2a2b

Zostały zastąpione innym katalogiem. I ja rozumiem, że ktoś może woleć inny niż nasz model społeczny, a nawet że nazwie to postępem. Ale nikt nie dał żadnym instytucjom ani żadnej partii w Unii prawa do rozstrzygania, który jest właściwy. One wszystkie mogą się zmieścić w europejskości, jako domenie różnorodności opartej na szacunku.

Chyba że – co czyni lewica – europejskość zdefiniujemy jako lewicowość, a wartości europejskie jako wywodzące się z marksizmu.

Te zapędy, by wszystkie różnice rozstrzygać na rzecz tylko jednej ze stron, by uznawać jeden tylko model życia społecznego za właściwy, szkodzą Europie. I są niedemokratyczne, bo nie liczą się z wolą większości Polaków, którzy mają prawo wybierać, jak chcą żyć. Przecież Polacy ze swoim modelem, podzielanym przez większość naszego społeczeństwa, nikomu nie szkodzą, nikomu nie odbierają prawa do głoszenia swoich poglądów, bezpiecznego funkcjonowania w społeczeństwie.

Sądzi pan, że komisja Ursuli von der Leyen, jak już powstanie, daje szansę na skupienie na prawdziwych wyzwaniach stojących przed Europą, związanych z konkurencyjnością gospodarki, bezpieczeństwem, problemami migracyjnymi? Czy też zostanie zdominowana przez ideologiczne cele?

Myślę, że przewodnicząca Ursula von der Leyen jest bardzo przywiązana do swojego manifestu politycznego, który wygłosiła. On zawiera elementy społeczne, jest wskazana potrzeba równości, ale też jest podkreślona rola rodziny. Jestem przekonany, że chce, by nowa Komisja Europejska była właśnie taka.

Dużo mówiła za to o praworządności. A gdy ją o to pytano, to pytano o stosunek do Polski i Węgier, choć to nieco inne przypadki. Jednak o to właśnie chodziło, o to, czy Polska dalej będzie grzmocona. Będzie?

Nie mam nic przeciwko trosce o praworządność w państwach Unii Europejskiej, ale odrzucam wybiórczość w patrzeniu na nią. Reguły muszą być powszechne i równe. Inaczej rodzi to pokusę, by stanowić prawo w przeświadczeniu, że dotyczyć będzie ono innych państw, ale nie mojego. To często sposób uzyskiwania przewagi konkurencyjnej.

Nierówne standardy.

W sprawach życia codziennego zobaczyliśmy to przy sprawie jakości produktów na europejskim rynku, czym zresztą bardzo aktywnie powinna się zająć nowa Komisja. Okazało się, że sytuacja, w której na części rynków mogą być sprzedawane gorsze produkty, była akceptowana. Te nierówne standardy widzimy też w debacie o sądownictwie, kiedy

> Cieszę się, że po trzech latach nasze stanowisko w sprawie imigrantów jest podzielane przez większość państw Unii. Ale Europa straciła na tym, że Polski nie słuchała a priori, i traci na tym, gdy Polska i inne kraje milczą

Polskę oskarża się o zamach na demokrację choć identyczne lub podobne rozwiązania funkcjonują z powodzeniem w innych krajach. Jestem za przeglądem praworządności, ale wyłącznie wtedy, gdy będzie dotyczył on wszystkich krajów i odbywać się będzie w sposób, który pozwoli na porównanie sytuacji między nimi, wskazanie dobrych praktyk i wezwanie do unikania złych.

Uważa pan, że w sprawie praworządności Polska była postawiona pod pręgierzem? Czy dokonywał się u nas zamach na demokrację, czy chcieliśmy zreformować swoje sądownictwo?

Warto zauważyć, że żadna ze skarg dotyczących praworządności w Polsce nie podważała prawomocności procesu legislacyjnego. Nikt nie powiedział, że uchwalono te zmiany niezgodnie z polskim prawem. Wszystkie organy państwa działały w tym procesie zgodnie ze swoimi uprawnieniami. Nikt nie zaskarżył tej reformy do Trybunału Konstytucyjnego, nie tylko co do treści, lecz także przebiegu procesu decyzyjnego. W związku z tym nie można mówić, że zmiany sądownictwa w Polsce naruszają procedury demokratycznego państwa prawa, bo one są wynikiem decyzji demokratycznych organów, a szerzej, wykonaniem woli wyborców. Jeśli w wyniku powszechnego głosowania pojawi się inna demokratyczna większość, to przecież będzie mogła wprowadzić inne reformy.

Mimo potężnej awantury i stałych ataków na reformy sądownictwa wciąż cieszą się one ogromnym poparciem społecznym.

Tak. Ale najważniejszy jest tu fakt, że zakres zmian jest rezultatem procesu demokratycznego, wypełnianego przez wszystkie organy zgodnie z mandatem określonym w prawie. Przypomnę, że było także weto prezydenckie, więc ucierało się to w realnej otwartej debacie politycznej między instytucjami państwa. Czy mamy uznać, że nasze życie demokratyczne i parlamentarne jest de facto warunkowe – może się odbyć, ale ostateczne decyzje zapadają dopiero po weryfikacji przez zewnętrznych arbitrów? Że dopóki oni się nie wypowiedzą, to żadna instytucja w państwie nie może być pewna legalności swojego działania ? Przecież to absurd i nie sądzę, by ktokolwiek w Europie zaakceptował to w stosunku do swojego państwa. Po to istnieje jasny podział kompetencji między Unię i jej organy a państwa członkowskie, byśmy właśnie mieli pewność systemu prawnego, w którym działamy. Bez tego poruszalibyśmy się po ruchomych piaskach.

To się w trakcie tych bojów o sądownictwo objawiło bardzo mocno. Nawet niektórzy sędziowie próbowali przedstawiać się jako sędziowie przede wszystkim europejscy, związani bardziej traktatami unijnymi niż polskim systemem prawnym i konstytucją. A w Gdańsku radcy prawni ślubowali

eprasa.pl cfbace2a2b

niedawno przy hymnie unijnym. „Mazurka Dąbrowskiego" nie odegrano.

To chyba była raczej demonstracja polityczna niż jakiś poważny akt. Niedobra demonstracja, bo uważam, iż nic bardziej nie szkodzi Unii Europejskiej niż przeciwstawianie jej państwom narodowym, w tym próby zastępowania symboliki narodowej europejską. To samo dotyczy władz samorządów terytorialnych, które bardzo sobie szkodzą, prezentując się jako alternatywa wobec organów państwa. Państwo jest wspólne i Unia jest wspólna.

Wracając do Komisji Europejskiej. Rozmawiał pan już z Ursulą von der Leyen?

Tak.

Udana rozmowa? Jak przebiegała?

Spotkaliśmy się w Brukseli. To była dobra rozmowa. Poznaliśmy się kiedyś w czasie prezydenckich wizyt w Niemczech, ale teraz porozmawialiśmy bezpośrednio, dłużej, niż planowano. Pani przewodnicząca wie już zatem, kim jestem, jak myślę, i ma wiedzę, jakiej teki w Komisji Polska by oczekiwała.

I co to jest?

Chodzi o jedną z istotnych tek dotyczących regulacji i podziału środków unijnych. Przedstawiliśmy pewien zakres obszarów leżących w naszym zainteresowaniu, bo nie tylko my zabiegamy o te teki. Warto pamiętać, że nie jest jeszcze jasne, czy obszary odpowiedzialności w Komisji będą podzielone tradycyjnie, jak obecnie, czy też zostanie podjęta próba wprowadzenia jakichś innowacji. Do czego ja osobiście namawiałem, bo wiele spraw się w Komisji przenika, zazębia.

Rozmawialiśmy, w jaki sposób to wszystko poukładać, i dostrzegam u pani przewodniczącej wolę, by to poukładać w sposób łączący, a nie dzielący.

Unia ma szansę skuteczniej podjąć rywalizację globalną? Kontynent piękny, wciąż bogaty, ale gdy spojrzymy na dynamikę wzrostu gospodarczego, innowacyjność, to inni idą do przodu dużo szybciej.

Ma szansę, bo Europa ma ogromny potencjał. Problem polega na tym, że jak przychodzi co do czego, to ci czempioni w różnych dziedzinach nie do końca chcą się z innymi swoimi przewagami podzielić.

Zwycięża egoizm narodowy?

My też mówimy o państwach narodowych jako wielkiej wartości. Ale my mamy na myśli przede wszystkim obszar kultury i bezpieczeństwa. Gdy natomiast mówią o tym najbogatsze państwa, to często mają na myśli przewagi ekonomiczne. To subtelna, ale ważna różnica pomiędzy tożsamością i podmiotowością państw narodowych a egoizmem. Moje wrażenie jest takie, że Europa dlatego nie podejmuje globalnego wyzwania tak, jakby mogła, bo on wygrywa.

Czy ktokolwiek w Europie myśli o zwijaniu państwa narodowego? Unia to nasza pierwsza tożsamość, a polskość to co najwyżej regionalizm? W Polsce często się głosi, że taki jest trend, a my jesteśmy zacofani.

Ideologia szkodzi sztuce i zdrowemu rozsądkowi. Jako polityk europejski cieszę się z tego, że udało nam się na kontynencie osiągnąć rzecz jeszcze 100 lat temu niemożliwą. Narody się lubią, państwa zasadniczo wykluczają wojnę jako metodę rozwiązywania sporów. To jest ogromne osiągnięcie. Po co to jeszcze siłą dogrzewać? Po co wywoływać napięcia przez ideologie głoszące, że państwa narodowe są niepotrzebne? Ludzie w nich żyją i dobrze się w Europie czują. Szanujmy to. Aczkolwiek pojawiały się rzeczywiście w latach 90. na Zachodzie tezy, że rozszerzenie Unii Europejskiej o państwa Europy Środkowo-Wschodniej musi być warunkowane rezygnacją przez nie z realizacji interesów narodowych, bo inaczej Europa Zachodnia straci swoją przewagę.

Ktoś to u nas przyjął?

Tego nie wiemy, ale patrząc wstecz, można postawić tezę, że gdyby w 2005 r. śp. prezydent Lech Kaczyński nie wygrał wyborów prezydenckich, gdyby Prawo i Sprawiedliwość nie przejęło wtedy, w drugim roku członkostwa w Unii, władzy, gdyby nie przywrócono polskiej polityce kategorii polskiej racji stanu, to dzisiaj mogłoby dominować przekonanie, że przywiązanie do państwa narodowego jest jakimś nowym faszyzmem.

To napięcie między interesem narodowym widać mocno także w obszarze naszego bezpieczeństwa. Byłem podczas jednej z dyskusji w międzynarodowym gronie na ten temat bardzo zdziwiony, jak wielkie emocje budzi w Brukseli nasz wysiłek, by zapewnić bezpieczeństwo Polski poprzez zwiększenie obecności amerykańskiej. Pan też to dostrzega?

Tak. Bez wątpienia jednym ze źródeł tego jest antytrumpizm dominujący w Europie, a zwłaszcza w mediach. Gdyby rzeczywiście w świecie realnej polityki dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi zaczęły być w Europie obciążeniem, to zacząłbym się o jej przyszłość obawiać. Na szczęście tak nie jest. W oczach polityków europejskich, którzy naprawdę zajmują się podejmowaniem decyzji, to, co robi w tym obszarze Polska, jest postrzegane jako atut, także dlatego, iż zwiększa całościowe bezpieczeństwo kontynentu.

Stanowisko komisarza unijnego to wielka pozycja, jednak bardzo ograniczona sztywnymi ramami. Wszystko się tam negocjuje, wszystko wynika ze skomplikowanego zakulisowego procesu. Mam wrażenie, że bardziej prawdziwą politykę uprawia się w tym gabinecie, w którym rozmawiamy, w Pałacu Prezydenckim. Jako szef gabinetu prezydenta Andrzeja Dudy ma pan możliwość działania, może pan wpływać na wiele spraw. Nie szkoda tego porzucać?

Przede wszystkim bardzo dziękuję wszystkim osobom, które wspólnie uzgodniły, że to ja będę się ubiegał o to stanowisko. Nie byłoby mojej kandydatury bez zgody prezydenta, premiera oraz poparcia ze strony formacji rządzącej kierowanej przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Dlatego wiem, że jest to rozumiane jako zadanie, w najlepszym tego słowa znaczeniu, polityczne, do którego zostałem wysłany z zaufaniem wszystkich najważniejszych osób w państwie. A jeśli tak, to moją ambicją jest wykonać je profesjonalnie. Oczywiście najpierw muszę przejść przez proces europarlamentarnej akceptacji i na tym się skupię w najbliższych tygodniach.

eprasa.pl cfbace2a2b

Jak liberałowie aferałowie chcą wrócić do władzy

W dojrzałych demokracjach szefowie partii i przywódcy polityczni często publikują książki, aby dać szansę poznać się czytelnikom i bez ograniczeń wyłożyć swój program. Dobrze, że Grzegorz Schetyna wydał „Historię pokolenia", nawet jeśli jest to nieudany manifest polityczny. A może nawet tym bardziej – poznajemy bowiem najgorszy wymiar polskiego liberalizmu

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl cfbace2a2b

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Już sam prowadzący wywiad rzekę nadaje książce specyficzny nastrój – Cezary Michalski ma bowiem ego większe niż jego rozmówca, więc co rusz wbija w opowieść Grzegorza Schetyny swoje własne wątki autobiograficzne i refleksje o Polsce, bardziej zideologizowane niż u lidera Platformy Obywatelskiej. Ale niech będzie – w końcu tytuł książki brzmi „Historia pokolenia", a więc panowie z jednego rocznika mogą opowiadać sobie o zmianach w kraju z własnej perspektywy. A jest to perspektywa niezwykle wymowna – wolna od zrozumienia Polaków, pełna przekonania o własnej wyższości. Grzegorz Schetyna zapowiada powrót III RP – i to w najgorszym stylu, będącym połączeniem arogancji Donalda Tuska i wyprzedaży majątku narodowego rodem z lat 90. Nie wierzycie?

ANTYKOMUNISTA, KTÓREMU JARUZELSKI NIE PRZESZKADZA

Opowieść autobiograficzna zapowiada się dobrze – kresowe korzenie (ojciec ze Lwowa), sentyment do „zawsze wiernego" miasta i nostalgiczne powroty do rodzinnej kamienicy, oto początki wywiadu rzeki. Radykalny antykomunizm i organizacyjna działalność we wrocławskiej Solidarności może zmiękczyć nawet najtwardsze pisowskie serce – ale do czasu. Coś się dzieje w latach 1989–1990, że młody NZS-owiec staje w jednym szeregu z liberałami aferałami, jak się o nich wyrażano, i zaczyna wchodzić w buty tak znanych w naszej historii modernizatorów kolonizatorów.

W opisach transformacji Grzegorz Schetyna nie wspomina o gen. Wojciechu Jaruzelskim, ani słowa o ustępstwach wobec PZPR czy o uwłaszczaniu się nomenklatury. Choć Schetyna wcześniejszą dekadę swojego życia określa jako radykalny antykomunizm, to od czasów „okrągłego stołu" z polityków przeszkadza mu jedynie... Jarosław Kaczyński.

FOBIA CZY CYNIZM?

Jest zrozumiałe, że przeciwnik polityczny, który odebrał formacji Schetyny władzę nad Polską, która umożliwiała wygodny żywot przy ośmiorniczkach, może być znienawidzony. Jarosław Kaczyński jest traktowany nie jako rywal, ale jako wróg, który nie tylko ograł Platformę Obywatelską, lecz także wydobywa zdeptane przez liberałów pojęcia: polskość, godność, tożsamość. Jednak nie da się usprawiedliwić tego, że lider PO przypisuje Jarosławowi Kaczyńskiemu rolę demiurga już od 1990 r. Przecież wówczas po prawej stronie byli Leszek Moczulski, Wiesław Chrzanowski czy Jan Olszewski, a bracia Kaczyńscy przy wpływach Lecha Wałęsy czy jaśnie panów z Unii Demokratycznej byli przecież siłą drastycznie marginalizowaną.

Schetyna co rusz demonizuje Kaczyńskiego, że „nihilista", że finansowany przez rzekomo potężne spółki, że rozważając z Józefem Orłem przydzielenie obozowi Solidarności prasy w Polsce, chciał mieć rząd dusz – a przy tym ani słowa o Adamie Michniku i „Gazecie Wyborczej".

POCHWAŁA WYPRZEDAWANIA POLSKI

Schetyna jest szczery w niektórych kwestiach i za to można go szanować. Obiema rękami podpisuje się pod projektem „prywatyzacji" polskiej gospodarki i wręcz żałuje, że wyprzedano tak mało.

A przecież po 1989 r. w wyniku prywatyzacji zlikwidowano 657 zakładów, w tym 102 należące do kategorii „zakładów przemysłu wysokiej techniki". Likwidacja niezależności gospodarki skutkowała nieznanym w Polsce na taką skalę bezrobociem i obłowieniem się na polskim majątku narodowym PZPR-owskich dyrektorów i zagranicznych koncernów. Nawet Brytyjczyk Bill Browder, dzisiejszy multimilioner, który zaczynał swoją spektakularną karierę biznesową w Polsce, ze zdumieniem obserwując wyprzedaż polskiego majątku narodowego, stwierdził: „Spółka, której wartość na podstawie kursu akcji wynosiła 80 mln dol., w zeszłym roku zarobiła 160 mln dol. Oznaczało to, że polski rząd sprzedawał tę spółkę za połowę jej zeszłorocznego dochodu. Ujmując rzecz prościej, wystarczyło zainwestować w tę spółkę i utrzymać się na rynku przez pół roku, żeby odzyskać swój wkład".

Symbolem tych przemian jest oczywiście Janusz Lewandowski, współautor Programu Powszechnej Prywatyzacji, dwukrotny minister przekształceń własnościowych z ramienia Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Dla Schetyny Lewandowski to potężne oparcie i budowniczy partii liberalnej w Polsce. To on właśnie, zdaniem lidera PO, był faworytem Unii Wolności, to on okazał się wsparciem w kampanii prezydenckiej Andrzeja Olechowskiego, to on od zarania III RP pojawia się w różnych konfiguracjach wokół Geremka czy Tuska. W ten sposób polityk, który w podręcznikach historii będzie miał osobną stronę jako czarny charakter deindustrializacji Polski, do dziś jest typowany na wygodny stołek europarlamentarzysty, będąc wcześniej doradcą rządu Ewy Kopacz.

SIEDMIU AFERAŁÓW SCHETYNY

Jeśli ktoś uważa, że nieprawdziwe jest hasło ukute na początku lat 90. nazywające ludzi KLD i Unii Wolności „liberałami aferałami", to wystarczy przejrzeć nazwiska, które z uznaniem wspomina Schetyna w rozmowie z Michalskim. Jego towarzyszami partyjnych bojów byli od dawnych lat: Mirosław Drzewiecki (afera hazardowa), Michał Boni (w 1992 r. zaprzeczał swojej współpracy z SB, przypomniał sobie o niej w 2007 r.), wspomniany Janusz Lewandowski (rozdawca polskich dóbr narodowych), Zbigniew Chlebowski (także afera hazardowa) czy Paweł Piskorski, którego lista podejrzanych biznesów i podatkowych nadużyć wymagałaby osobnego opisania.

Nawet Michalski przyznaje w rozmowie, że liberałowie byli wspierani przez biznes powiązany z WSI, jak to się działo

eprasa.pl cfbace2a2b

w przypadku m.in. Wiktora Kubiaka (współpracownik Lewandowskiego przy prywatyzacji polskiej fabryki telewizorów Polcolor). Inny bliski współpracownik Schetyny – Zenon Krzysztof Michalak – był później, jak przypomina Michalski, „ścigany listem gończym za bankowe oszustwa". Podobnie Schetyna tłumaczy sponsorów KL-D przynoszących „pieniądze w plastikowych torebkach": „Na pewno tworzący się biznes widział w nas szansę, bo nie byliśmy etatystyczni i wierzyliśmy w wolny rynek. Wokół nas zaczęli się także kręcić biznesmeni, którzy mieli kłopoty z prawem".

Listy wszystkich współpracowników KL-D, „którzy mieli kłopoty z prawem", nigdy nie sporządzono.

PRZYJAŹŃ Z TUSKIEM, CHŁODNY STOSUNEK DO POLSKI

Zanim przyjaźń Schetyny i Tuska stały się chłodną współpracą, dzisiejszy lider Platformy był wpatrzony w Tuska jak w święty obrazek. „Przyjechałem do Warszawy [...] porozmawiać o dalszych losach »Gazety Wrocławskiej«" – wspomina o pierwszym spotkaniu z późniejszym przewodniczącym Rady Europejskiej. Zaczęli rozmawiać, jak wspomina Schetyna: „O wszystkim. Ja Tuska nie znałem. [...] Tymczasem od razu zaczęliśmy rozmawiać z Donaldem, jakbyśmy się znali od lat". Michalski nazywa to „przyjaźnią od pierwszego wejrzenia".

Ważnym wyznaniem są słowa Schetyny, że obaj politycy uznawali się za „okcydentalistów". Zmiękczone potem określenie „proeuropejscy" nie zakryje faktu, że właśnie wola modernizacji społecznej Polaków na modłę europejską jest celem naszych liberałów. Do dziś przebija się to w jakiejś niechęci do Polski tradycyjnej i solidarnej, wyraża się w wielu dziwnych wypowiedziach ludzi Platformy m.in. o tym, że II wojna światowa została spowodowana „słowem Polaka przeciwko innemu narodowi" (wiceprezydent Gdańska), lekceważeniem takiego miejsca pamięci jak Westerplatte, pochwałą wyprzedaży majątku narodowego, przyzwoleniem na ataki na Kościół, drwiną z żałoby po tragedii smoleńskiej.

> Schetyna zapowiada powrót III RP – i to w najgorszym stylu, będącym połączeniem arogancji Tuska i wyprzedaży majątku narodowego rodem z lat 90. Nie wierzycie? Wystarczy przeczytać tę książkę

POMYSŁ SCHETYNY NA PARTIĘ

Książka musiała być kończona w maju – stąd Schetyna powtarza co rusz w wywiadzie, że tylko zjednoczona opozycja może pokonać PiS. Lider PO pokazuje, że w budowaniu partyjnych struktur i rozgrywaniu członków swojego środowiska nie ma sobie równych – wątpliwe, by po przegranych wyborach stracił przywództwo w Platformie.

Nie można jednak zarzucić liberałom braku programu. Choć Schetyna rzadko kiedy artykułuje go publicznie, to rozmowa z Michalskim pozwala go naszkicować. Specyficzne jak na myśl liberalną zamordystyczne instytucje centralne, jednocześnie decentralizacja Polski na niezależne finansowo województwa (kto na tym zarobi?), a poza tym Europa, Europa, Europa – ona się już nami bezpiecznie zajmie.

KSIĄŻKA SCHETYNY, KSIĄŻKA KACZYŃSKIEGO

Trzy lata temu Jarosław Kaczyński wydał książkę „Porozumienie przeciw monowładzy. Z dziejów PC". Trudna, pełna faktów i skomplikowanych gier politycznych opowieść o latach 90. Opisuje, jak z części elit Solidarności i PZPR tworzyły się koterie dzielące się Polską i szykanujące ruchy niepodległościowe. Prezes PiS opisuje nawet, jak ambasador RP w Rzymie potrafił zorganizować ekipie Kaczyńskiego (będącej na oficjalnej delegacji państwowej) nocleg w hotelu używanym przez... dom publiczny.

Konfrontując obie pozycje, mamy z jednej strony pełnokrwistą opowieść o układach III RP, dziejach prawicy idącej od totalnej amatorszczyzny do profesjonalizacji, osobistych nadziejach i zawodach. Schetyna z Michalskim zaproponowali w kontrze bajkę o dobrych liberałach, prowadzących nas na Zachód na plecach ciężko pracującego biznesu lat 90. Dodatkowo Kaczyński opisuje mechanizmy osłabiania Polski, których częścią był np. Tusk, a Schetyna spłaszcza opowieść i za wszystko obwinia jednego człowieka: Jarosława Kaczyńskiego. Liderowi PiS przypisuje nawet wzrost tendencji autorytarnych na Węgrzech czy kryzys w Unii Europejskiej. W jaki sposób Platforma Obywatelska chce wygrać z tak genialnym i wszechwładnym prezesem?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Andrzej Skwarczyński

Konfederacja w rozsypce

Szklany sufit wiszący nad środowiskami zgrupowanymi wokół Ruchu Narodowego, kolejnych odnóg partii Janusza Korwin-Mikkego i środowiska Grzegorza Brauna wydaje się nie do przebicia. Liderzy Konfederacji liczą jednak, że w październiku zasiądą w parlamencie. Na razie mają jednak inne problemy

MARCIN FIJOŁEK

Gdzieś na marginesie batalii o drugą kadencję rządów Prawa i Sprawiedliwości trwa zażarta walka o przekroczenie progu wyborczego wśród ugrupowań na prawo od PiS. Ruch Pawła Kukiza wybrał wspólne listy wyborcze z Polskim Stronnictwem Ludowym, a co z resztą? Sądząc po wynikach wyborów do Parlamentu Europejskiego, spośród mniejszych ugrupowań największe szanse stoją przed Konfederacją. Jej liderzy mają nadzieję, że tym razem uda się przekroczyć nieosiągalną dotąd granicę 5 proc. i wejść do Sejmu. Łatwo jednak nie będzie. Co może stanąć na przeszkodzie?

Problemem jest choćby kolejny odcinek podziałów i rozdrobnienia. Z szeregów Konfederacji – w porównaniu z majowymi wyborami do europarlamentu – odeszli już Kaja Godek, Marek Jakubiak czy Piotr Liroy-Marzec, wszyscy pociągając za sobą swoje mniej lub bardziej zakorzenione środowiska i struktury. Godek zgłaszająca z uporem i konsekwencją postulaty skuteczniejszej ochrony prawnej nienarodzonego życia porzuciła konfederatów ostatnia. Coraz głośniej mówi się o tym, że wraz z Markiem Jurkiem i jego Prawicą Rzeczypospolitej będą próbować zebrać podpisy pod własnymi listami wyborczymi – nawet jeśli miałoby to oznaczać rejestrację w kilkunastu okręgach wyborczych. Powody? Sama zainteresowana wskazywała na brak determinacji polityków Konfederacji w walce z aborcją, co zresztą natychmiast podchwycił Woj-

eprasa.pl cfbace2a2b

ciech Cejrowski, jeden z popularnych sympatyków omawianego ruchu. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać – Janusz Korwin-Mikke wskazywał, że poszło nie o idee, ale konkretne miejsca na listach wyborczych, zaś sama Konfederacja nawiązała współpracę – niejako w zastępstwie środowiska Godek – ze Zjednoczeniem Chrześcijańskich Rodzin, marginalnym ugrupowaniem zarejestrowanym jako partia polityczna.

To jednak nie koniec podziałów. Rezygnację ze współpracy z Konfederacją ogłosili również wspomniani wcześniej Jakubiak i Liroy – po czym sami próbowali (bezskutecznie, bo nie doszli do porozumienia z sobą) współtworzyć własny ruch. Dlaczego jednak nie wytrzymali w Konfederacji? Gdy zapytałem o to w Sejmie, Liroy-Marzec przekonywał mnie, że powodem były skrajne i społecznie nieakceptowalne wypowiedzi działaczy, z którymi coraz trudniej było rozmawiać o propozycjach gospodarczych czy obywatelskich, a coraz częściej trzeba było tłumaczyć egzotyczne słowa i porównania. Podobne argumenty przytaczał Jakubiak, który swego czasu zgłaszał akces do Prawa i Sprawiedliwości. Bezskutecznie.

Gdy pytamy o całą sprawę liderów Konfederacji, ci wskazują – jak w przypadku Godek – na bardziej pragmatyczne przyczyny rozstania. Czy powodem były, jak zwykle, rosnące ambicje? – Chcieliśmy, by nasze porozumienie było partnerskie, sprawiedliwe, uwzględniało różnicę potencjałów partii i ruchów. Ambicje same w sobie nie są złe, ale stają się problemem, gdy licytuje się dużo wyżej, niż ma się w kartach – tłumaczy jeden z polityków Konfederacji. Wspomniane karty w ręku to, rzecz jasna, struktury, zasoby personalne i możliwość pomocy choćby przy zbieraniu podpisów.

Ta ostatnia aktywność wcale nie musi być tylko technicznym obowiązkiem, ale zaczyna być realnym kłopotem. W Konfederacji słyszę żale, że rządzący dziś politycy złośliwie wyznaczyli terminy, by przedstawienie w Państwowej Komisji Wyborczej odpowiedniej liczby podpisów było maksymalnie utrudnione. – Najpierw prezydent tak, a nie inaczej ustawił kalendarz wyborczy, później zwlekano z postanowieniem, a następnie z jego publikacją w Dzienniku Ustaw. Nawet jak to się stało, to w godzinach popołudniowych, byśmy stracili weekend i kolejne dni... – ubolewa jeden z działaczy. O sprawę pytamy również Krzysztofa Bosaka: – Terminy są wyśrubowane tak, byśmy się potknęli. To świadoma gra na wyeliminowanie konkurencji za pomocą metod administracyjnych, a nie demokratycznych – przekonuje nas polityk narodowców, który tym razem wystartuje nie w Warszawie, ale Kielcach. O ile oczywiście Konfederacja zbierze podpisy.

> Z szeregów Konfederacji – w porównaniu z majowymi wyborami do europarlamentu – odeszli już Kaja Godek, Marek Jakubiak czy Piotr Liroy-Marzec, wszyscy pociągając za sobą swoje środowiska i struktury

W pewnym momencie dość naturalnym scenariuszem wydawało się połączenie struktur wraz z ruchem Kukiz '15, który choć zgarnął w wyborach do europarlamentu mniej głosów, to postulaty i wyborcy były podobne. Jak słychać z obu stron, negocjacje były nawet w pewnym momencie dość zaawansowane, jednak na koniec upadły. Dlaczego? Tutaj wersje się już różnią. Liderzy K'15 wskazują – podobnie jak Liroy – zbyt dużą egzotykę poglądów Janusza Korwin-Mikkego czy Grzegorza Brauna. – Nie mieliśmy żadnej pewności, czy na ostatniej prostej któryś z nich nie odpali sławnego protokołu jeden procent, nie założy jarmułki i nie wyrzuci nas z poważnej kampanii gdzieś na margines normalnej dyskusji – słyszymy. Bosak widzi to jednak inaczej. – U Pawła Kukiza i Stanisława Tyszki przeważyła odraza do tego, co czasem nazywa się jako radykalne, antysystemowe. Dla nich jesteśmy inną ligą, oni bywają na salonach u prezydenta czy premiera. Górę wzięły establishmentowe aspiracje i tutaj Kosiniak-Kamysz miał faktycznie lepszą ofertę niż my – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci".

Bez Kukiza i jego ludzi, opuszczeni przez Liroya, Jakubiaka i sporą część ruchów pro-life (efektem czego było też wzajemne wyrzucanie się z grup facebookowych, gdzie działacze i wyborcy aktywnie dyskutują) konfederaci chcą jednak spróbować raz jeszcze zawalczyć o wejście do parlamentu. – W maju było to 4,55 proc., cztery lata temu 4,76 proc. – ślizgaliśmy się na tym progu, tym razem ma być inaczej – tłumaczy nam jeden z działaczy. Innym z kłopotów może się też okazać spodziewana wysoka frekwencja – politolodzy już teraz wskazują na zaskakująco duży odsetek wyborców w głosowaniu europejskim. Jeśli ta tendencja miałaby się utrzymać, to ten sam rezultat (w liczbach głosów), który w wyborach w roku 2014 przyniósł korwinowcom kilka euromandatów, a w roku 2015 pozwolił się otrzeć o próg wyborczy, w październiku 2019 r. może się okazać pułapem niewystarczającym, by wprowadzić swoich posłów na Wiejską.

Wehikułem, za pomocą którego ma to się udać, będzie Konfederacja Wolność i Niepodległość (pod taką nazwą bowiem zarejestrowano ugrupowanie), łącząca w sobie swoisty miks korwinowców, narodowców i braunowców. Z kolei narzędziem – powrót do opowieści wyborczej o „bandzie czworga", czyli czterech największych partiach (względnie koalicjach), które tworzyć mają „system" (dziś to PiS, Koalicja Obywatelska, Lewica i PSL-Kukiz'15), a z którymi Konfederacja chce walczyć za wszelką cenę.

Na razie jednak toczy o wiele ważniejsze z ich perspektywy walki – o zebranie podpisów, zatrzymanie dynamiki rozłamu i powstrzymanie odśrodkowych sił, które powodują, że liderzy tworzących Konfederację ugrupowań zaczynają mówić językiem nieakceptowalnym dla większej liczby wyborców niż magiczne 5 proc. Może to będzie właśnie ta jesień?

eprasa.pl cfbace2a2b

Tu mogę wpływać na rzeczywistość

Czasem słyszę, że jestem, gdzie jestem, bo mój tata zginął w Smoleńsku. Nie wiem, jak długo będę jeszcze musiała udowadniać, że coś mi się udaje, bo każdego dnia ciężko na to pracuję – mówi Wanda Buk, wiceminister cyfryzacji, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Przez panią i przez to pani 5G krowy się przestaną cielić i zaczniemy promieniować. Tak przynajmniej regularnie czytam w internecie.

Wanda Buk: [śmiech] Na pewno powinniśmy do nowych technologii podchodzić bardzo rozsądnie, sieć 5G też niesie nowe możliwe zagrożenia. Ale nie te związane z życiem i zdrowiem, bo pole elektromagnetyczne 5G nie różni się od tego, co jest przy 3G czy 4G. Fale radiowe wykorzystywane są do telewizji, radia, sieci mobilnych – tutaj fizyka nie zmieniła się ani o jotę, sposób wykorzystania fal radiowych także. Ale to nie oznacza, że 5G nie niesie zagrożeń.

Jakie więc niesie?

Związane z cyberbezpieczeństwem, powiązaniem gospodarki z niezakłóconym dostępem do sieci telekomunikacyjnej (tak jak to już dziś jest w przypadku sieci energetycznej) czy przekazywaną przez sieć ogromną ilością danych, które dotyczą naszej prywatności, naszych zachowań i preferencji. I w tym zakresie musimy się przygotowywać na rozwój telekomunikacji.

To jasne, ale gdy zajrzy się zbyt głęboko w internetowe fora, to człowiek może się przestraszyć wpływu na zdrowie.

Właśnie – 5G jest przedstawiane jako rewolucja, novum, eksperyment na masową skalę. To brednie, 5G pod względem radiowym nie różni się niczym od 4G czy 3G. Przeciwnicy powinni więc oponować, trzymając się z daleka od telefonów komórkowych, którymi zazwyczaj streamują swoje aktywności. Jeżeli chodzi o pole elektromagnetyczne wytwarzane przez urządzenia telefonii mobilnej, to jest ono uznane przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) za potencjalnie kancerogenne w tej samej kategorii co aloes, talk dla dzieci czy niklowane kolczyki. Podczas gdy czerwone mięso i gorące napoje są już klasyfikowane w kategorii wyższej – nie jako potencjalnie, ale jako prawdopodobnie szkodliwe. Przeciwnicy z dużym niezrozumieniem powołują się na zasadę ostrożności, która mówi, że trzeba być ostrożnym, gdy nie ma się pełnej wiedzy naukowej i pewności.

Brzmi sensownie.

I po to właśnie mamy określone limity przy częstotliwościach, jako pewien margines ostrożności i bezpieczeństwa.

Będziemy te limity zwiększać.

Powinniśmy, bo limity obowiązują od lat 80., gdy stan wiedzy był dużo niższy niż dziś, a sposób wykorzystania pola magnetycznego był zgoła odmienny. To postradziecki relikt, który funkcjonuje do dziś. Inne kraje w UE od kilkunastu lat są bardziej na bieżąco i dostosowały limity do rekomendacji WHO. Wydaje mi się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by te limity zharmonizować. Zresztą te limity natężenia pola są również przyczyną zapychania internetu w technologii 3G czy 4G.

Dobrze, ale co to w ogóle jest ta cała szarlataneria 5G?

Pan żartuje, a to nowy standard telekomunikacji – o tyle przełomowy, że łączący z sobą wszystkie znane dotychczas rozwiązania. Zatem to nie tylko sieć mobilna, lecz i stacjonarna. Przy 5G duży nacisk położony jest na światłowody, ale to, co różni tę sieć do wcześniejszych standardów, to nowa architektura sieci, a nie nowe zjawiska fizyczne.

Co się zmieni z perspektywy naszego czytelnika?

Możemy powiedzieć o trzech płaszczyznach zmian. Pierwsza korzyść to zapewnienie tego, że sieć będzie bardziej pojemna, czyli zdolna do udźwignięcia większej liczby danych.

Znikną utrudnienia przy sylwestrach, koncertach czy meczach?

Tak. To takie dodatkowe pasy na autostradzie, które pozwolą, by tę drogę odkorkować. Ze względu na wykorzy-

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Andrzej Skwarczyński

stanie innych rozwiązań będziemy mieli więcej miejsca w sieci, co jest bardzo ważne. Musimy wiedzieć, że transmisja danych rośnie: porównaliśmy to kiedyś do piasku. W latach 90. było to wiaderko, dziś piaskownica wielkości Piotrkowa Trybunalskiego, a w ciągu najbliższych 6–8 lat powiększy się ona 24-krotnie.

Dlaczego?

Każdego dnia korzystamy z dostępu do internetu, nawet nieświadomie. My sobie tu rozmawiamy, a nasze telefony są podłączone i sprawdzają, czy nie mamy powiadomień w mailu czy Messengerze. Coraz więcej urządzeń jest podłączonych do sieci.

Inne korzyści?

To takie liczby i parametry, których jako zwykli użytkownicy nie odczujemy. Minisekundy opóźnienia są nie do wychwycenia, ale w sytuacji, w której mówimy o komunikowaniu się maszyny z maszyną, o nowoczesnym przemyśle, to jest to ważne.

Powie ktoś, że opowiada pani bajki o rzeczywistości rodem z Jetsonów.

Autonomiczne samochody z czasem się pojawią na naszych drogach, tak jak rozwiązania telemedyczne. Kiedy myślimy o przyszłości i rozwoju technologii, to zastanówmy się, gdzie byliśmy 10 lat temu – jakich telefonów używaliśmy i do czego. Skok technologiczny, jaki wykonaliśmy, był niesamowity. To nie Jetsonowie, to coś, co nas czeka.

W roku 2040? 2050?

Myślę, że dużo szybciej. Przykłady, o których mówimy, powoli będą się rozwijać na świecie i wchodzić w nasze życie, ale wspomnieć trzeba także o taśmach produkcyjnych. Jeśli chcemy, by były podłączone do sieci i funkcjonowały, jak trzeba, to i tutaj 5G się przyda.

Mówi pani o zaletach tej sieci, ale jak pani sobie odpowiada: skąd te zauważalne niepokoje?

Na pewno są osoby, które budują swoją pozycję polityczną czy społeczną na sprzeciwie: kiedyś wobec szczepionek, dziś wobec 5G – zabawne, że widzimy tu te same twarze. Często to kwestia zarabiania pieniędzy. Grupa, o której myślę, zbiera pieniądze i datki, argumentując, że chodzi o darowizny na walkę o życie i zdrowie Polaków.

Brzmi poważnie.

Prawda? Są nawet oferowane różnego rodzaju produkty pochłaniające pole elektromagnetyczne.

Nie zadziałają?

To nie ma prawa zadziałać. Ale panie redaktorze, myśmy nawet w ministerstwie pokusili się i kupili jedno z takich urządzeń.

Co to było?

Czapka. Za 199 zł. Oczywiście nie pochłania żadnego pola, bo nie może, ale biznes komuś się kręci.

Może chociaż w głowę cieplej.

Średnio, ładna też nie jest – ale to oczywiście kwestia gustu. To produkty bardzo drogie, które w żaden, najmniejszy sposób nie blokują tego pola. My jesteśmy w tym polu zanurzeni: pan wytwarza pole elektromagnetyczne, ziemia je wytwarza, słońce, lampy... Niektórzy jednak po tych bzdurnych opowieściach o czapkach zaczynają się bać. I to do

eprasa.pl cfbace2a2b

nich chcemy dotrzeć z wiarygodnymi informacjami. Przyznaję jednak, że trudno odpowiadać merytorycznymi kwestiami na strach czy emocje, które w bardzo łatwy sposób generują przeciwnicy. Nie można tutaj odpowiedzieć jednym zdaniem, trzeba trochę zagłębić się w bardzo trudne, często abstrakcyjne tematy. Przecież jak ja panu mówię o falach, to...

...to jestem zainteresowany, ale niewiele rozumiem, nie uważałem na fizyce, jak trzeba.

Nie musiał pan uważać na fizyce, bo tego nie było. W szkole mieliśmy podstawy podstaw, więc to nie chodzi o to, czy ktoś się przykładał do nauki. Niemniej jednak walczymy z tymi wiatrakami niezrozumienia i fake newsów, chcemy rozmawiać.

Może sprawę stawiamy trochę na głowie? Rozmawiamy o 5G, a nie we wszystkich szkołach mamy wi-fi, w pociągach idzie to opornie. Załatwmy podstawy, a dopiero później bawmy się w Jetsonów.

To się dzieje równolegle. Wracamy tutaj do tego, czym jest sieć 5G. To kompilacja usług, które już mamy: miks i światłowodów, i sieci na wysokich częstotliwościach, i sieci na niskich częstotliwościach. Światłowód doprowadzany dziś do szkoły też będzie służył rzeczywistości 5G.

Skąd u pani zainteresowanie tą działką naszej rzeczywistości?

Tak zaczęła się moja droga zawodowa. Kancelaria, w której rozpoczynałam karierę jako aplikant, zajmowała się rynkami regulowanymi, w tym przede wszystkim telekomunikacją. Tak poznałam minister Streżyńską i ta współpraca doprowadziła mnie do jednostki podległej ministerstwu, a później do resortu. To naturalna ścieżka, chociaż na studiach nie spodziewałam się, że ją obiorę.

Branża, o której mówimy, jest bardziej atrakcyjna. Może pani rzucić to w cholerę i zarabiać niezłe pieniądze.

Prowokuje mnie pan i pewnie ma trochę racji, ale wiem, że nigdzie indziej nie miałabym takich wyzwań i takiej możliwości wpływu na rzeczywistość, która nas otacza. W Centrum Projektów Polska Cyfrowa, którym kierowałam przez trzy lata, zanim trafiłam do ministerstwa, przeprowadziliśmy wiele działań, dzięki którym nasz kraj będzie stał światłowodami, ogromne inwestycje są w toku, wykorzystaliśmy świetnie środki unijne. Mieliśmy do wydania 4 mld na 700 tys. gospodarstw, a tak zaprojektowaliśmy zasady, że za tę samą kwotę udało się nam objąć zasięgiem 2 mln gospodarstw i wszystkie szkoły. Miałam wrażenie, że to odkształcanie rzeczywistości, że to praca, która będzie pączkować.

5G – mobilna technologia piątej generacji, dzięki której standard przesyłania danych ma być o wiele bardziej wydajny. Dla użytkowników telefonów i sieci oznacza to szybszy dostęp do internetu, lepszy zasięg, a także brak problemów związanych z zawieszaniem się sieci w dużych skupiskach ludności. 5G nazywany jest „internetem rzeczy", gdyż pozwala sprawnie wymieniać i przetwarzać dane za pomocą sieci pomiędzy budynkami, samochodami, sprzętem elektronicznym czy urządzeniami gospodarstwa domowego.

Frajda?

Nie nazwałabym tego frajdą, chociaż praca daje mi dużo satysfakcji, którą jednak trudno tłumaczyć, bo bardzo trudno mówić o zmianach, które prowadzimy w obszarze telekomunikacji. To niełatwe procesy, często niezauważalne od razu, nieodczuwalne bezpośrednio. Nawet jak w ministerstwie wiemy, że coś, co robimy, ma charakter przełomowy, to opinia publiczna nie zawsze to dostrzeże. Albo dostrzeże efekty za lat kilka czy kilkanaście.

Przy okazji rocznicy wejścia Polski do NATO wrzuciła pani do sieci ciekawy filmik. Generał Tadeusz Buk – jeszcze w stopniu majora – wnosi flagę Polski.

Tak się złożyło, że mój tata studiował wtedy w USA i był tym żołnierzem, który wniósł flagę Polski w trakcie uroczystości akcesyjnej w bibliotece Trumana w Independence. Byłam wtedy bardzo mała, ale miałam poczucie, że dzieje się coś ważnego. Pamiętam, gdy jakiś czas później dopytywałam go, co czuł w tak ważnej chwili, o czym myślał, odpowiedział: „Szczerze mówiąc o tym, żeby się nie przewrócić".

Z pani tatą związana jest jeszcze jedna data, tylko bardziej ponura – 10 kwietnia 2010 r.

Tak. To była najgorsza sytuacja, w jakiej mogłam się znaleźć, bo zginął mój tata, filar rodziny, ale to, co pamiętam również z tamtych dni, to ogromna dawka wsparcia i życzliwości, jaką wtedy otrzymałam. Od całkiem obcych osób, współpracowników taty, profesorów na mojej uczelni, dalekich znajomych, przypadkowo napotkanych ludzi. Wie pan, pamiętam to jak przez mgłę – przez pierwsze dni byłam z taty adiutantem w Moskwie, później pogrzeby... Ale pamiętam, co się działo przed Pałacem Prezydenckim – przynajmniej na początku. Tę wspólnotę, to ogromne wsparcie i jednoczenie się narodu. Jestem za to bardzo wdzięczna.

Pytają czasem, czy jest pani córką tego generała?

Raczej nie. Tata pełnił funkcję publiczną, ale nie był osobą powszechnie znaną. Chociaż przyznaję, że czasem słyszę, że jestem, gdzie jestem, bo mój tata zginął w Smoleńsku. Nihil novi; kiedy żył, słyszałam, że dostałam się na studia, zdawałam egzaminy i dostałam pracę, bo mój tata był generałem. Cóż, może w jakimś zakresie trzeba się z tym zgodzić – nie byłabym tym, kim jestem, gdybym nie miała takich rodziców, gdybym nie przeżyła wielu doświadczeń, w tym tragicznego 10 kwietnia i wszystkiego, co działo się potem. Ale czasem są to złośliwości przypominające o Smoleńsku, które mam rozumieć jako zarzut... No właśnie, czego? Nepotyzmu zza grobu? Przekładam to na czarny humor, ale zastanawiam się, co stoi za takimi zarzutami. Nie wiem, jak długo będę jeszcze musiała udowadniać, że coś mi się udaje, bo każdego dnia ciężko na to pracuję.

Boli?

Coraz rzadziej.

eprasa.pl cfbace2a2b

Najnowsze pomniki historii

PARTNERZY DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DEMART

eprasa.pl cfbace2a2b

1. Tężnie w Ciechocinku s. 4
2. Stocznia Gdańska s. 4
3. Kościół Chrystusa Króla w Białymstoku s. 5
4. Kopalnia ropy naftowej w Bóbrce s. 5
5. Zespół pałacowo-parkowy w Dobrzycy s. 5
6. Twierdza Wisłoujście w Gdańsku s. 5
7. Zespół klasztorny – Gościkowo-Paradyż s. 6
8. Święta Lipka s. 6
9. Kopiec Kościuszki w Krakowie s. 7
10. Radiostacja w Gliwicach s. 7
11. Zabytkowe spichlerze w Grudziądzu s. 7
12. Gmach Sejmu Śląskiego w Katowicach s. 7
13. Pałac biskupów w Kielcach s. 8
14. Zespół katedralno-zamkowy w Kwidzyniu s. 8
15. Krzemionki opatowskie s. 9
16. Zespół dworsko-parkowy w Koszutach s. 9
17. Zamek biskupów w Lidzbarku Warmińskim s. 9
18. Zespół staromiejski w Starym Sączu s. 9
19. Zespół katedralny w Gdańsku-Oliwie s. 10
20. Wzgórze Tumskie w Płocku s. 10
21. Kolegiata pw. Zwiastowania NMP w Pułtusku s. 11
22. Zespół pałacowy Nieborów i Arkadia s. 11
23. Kościół odpustowy św. Anny w Olesnie s. 11
24. Pałacyk Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku s. 11
25. Zespół staromiejski w Przemyślu s. 12
26. Klasztor Norbertanek w Strzelnie s. 12
27. Most wiszący w Ozimku s. 13
28. Kościół pw. Nawiedzenia NMP w Klępsku s. 13
29. Zespół pałacowy w Rogalinie s. 13
30. Zespół klasztorny na Łysej Górze s. 13
31. i 32. Kościoły Pokoju w Jaworze i Świdnicy s. 14
33. Zespół cerkiewny Radruż s. 14
34. Opactwo benedyktynów w Tyńcu s. 15
35. Katedra pw. św. Stanisława i św. Wacława Męczenników w Świdnicy s. 15
36. Opactwo cystersów w Wąchocku s. 15
37. Zespół architektoniczno-krajobrazowy w Sandomierzu s. 16
38. Stadnina koni w Janowie Podlaskim s. 16
39. Zespół klasztorny w Rytwianach s. 17
40. Kolegiata pw. Narodzenia NMP w Wiślicy s. 18
41. Katedra pw. Wniebowzięcia NMP we Włocławku s. 18

Materiały powstały na podstawie tekstów z serii przewodników „Polska niezwykła" oraz portalu turystycznego polskaniezwykla.pl. Autorami koncepcji serii przewodników oraz głównymi autorami tekstów są Ewa Lodzińska i Waldemar Wieczorek. Pozostali autorzy przewodników są wskazani w odpowiednich stopkach redakcyjnych. Informacje o internautach publikujących w portalu są zamieszczone w serwisie polskaniezwykla.pl. Jeśli autor nie jest tam wskazany, to znaczy, że jego tekst ukazał się pierwotnie w papierowym przewodniku.

eprasa.pl cfbace2a2b

Pomniki historii są najcenniejszymi obiektami w Polsce i musimy o nie dbać

Planując weekendowy czy wakacyjny wypoczynek, każdy z nas kieruje się czymś innym. Wypad grupy studentów różni się od podróży kilkupokoleniowej rodziny, dla wielbicieli jednośladów najważniejsza będzie dobrze rozwinięta infrastruktura rowerowa, piechurom zaś trudno zrozumieć, jak można przemierzać trasy inaczej niż na własnych nogach. Jedno pozostaje niezmienne – szukamy miejsc wyjątkowych, pełnych autentyzmu oraz znaczących dla kultury danego kraju

Takie właśnie są pomniki historii. I choć nazwa w pierwszej chwili przywodzi na myśl obeliski, co jest spójne z zamiarem upamiętnienia, to forma jest już zupełnie inna. Pomniki historii to najcenniejsze i najciekawsze obiekty w Polsce. Jedne cieszą się popularnością od wielu dekad, drugie dopiero uchylają rąbka swojej tajemnicy, zapraszając tym samym do odkrywania tego, co nieznane.

Część z Państwa doskonale już je zna – charakterystyczny znak na wzór gotyckiego maswerku jest widoczny w wielu miejscach: na ścianach budynków, przed wejściem na rynek lub w materiałach o danej miejscowości. Pomniki historii funkcjonują także w mediach – w Telewizji Polskiej emitowany jest program pod tym samym tytułem, zaś portale społecznościowe chętnie je wykorzystują przy kampaniach promujących dziedzictwo naszego kraju. Dużą popularnością cieszą się także wycieczki krajoznawcze i spacery z przewodnikami. Trudno się temu dziwić – to najbardziej znane, czasem wręcz kultowe miejsca w Polsce. Nie da się ich ujednolicić. Pomniki historii to centra miast, pałace, zamki, opactwa, budynki sakralne, ale i kopalnie, droga wodna, stocznia, stadnina koni i radiostacja. Przykładów jest znacznie więcej, co rozszerza możliwości spędzania wolnego czasu.

POMNIK HISTORII

Pomnik historii to jedna z form ochrony prawnej zabytków. Terminem tym określa się zabytki nieruchome, o szczególnym znaczeniu dla kultury naszego kraju. Ich rangę podkreśla fakt, że są ustanawiane przez Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej specjalnym rozporządzeniem na wniosek Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Pomniki historii istnieją już od 25 lat, pierwsze obiekty zostały uznane w 1994 r.

Prof. Piotr Gliński
wiceprezes Rady Ministrów, minister kultury i dziedzictwa narodowego

Przez ostatnie trzy lata Polska wzbogaciła się o kilkadziesiąt nowych pomników historii. Gdy obejmowałem urząd ministra, było ich w Polsce 59. Udało nam się zwiększyć ich liczbę o kolejne 46. Kulminację stanowiło przedsięwzięcie pn. „100 Pomników historii na 100-lecie niepodległości", które doskonale wpisywało się w świętowanie odzyskania niepodległości przez nasz kraj.

Aktualnie mam już 105 pomników historii, w tym m.in.: kościół św. Piotra i Pawła w Tyńcu, bazylikę kolegiacką w Wiślicy, Kopiec Kościuszki, pałac w Nieborowie, Krzemionki Opatowskie, zespół opactwa benedyktynów w Tyńcu czy tężnie w Ciechocinku. Warto wspomnieć, że znacząco zwiększyła się nie tylko liczba pomników, ale i ich finansowanie. Tylko w 2018 r. Ministerstwo wsparło aż 63 pomniki historii kwotą ponad 23 mln zł. Będziemy się starać, by liczba ta wciąż rosła, a uznane obiekty trwale zagościły w świadomości mieszkańców. W ich planach wakacyjnych również.

Nie mam wątpliwości, że lektura naszego dodatku zaciekawi Państwa na tyle, by jeszcze w tym roku odwiedzić choć kilka z tych niezwykłych miejsc. Zapraszam do konsekwentnego odkrywania pomników pistorii – pieszo, na rowerze, konno, samemu, z rodziną, z przyjaciółmi – każdy sposób jest dobry. ●

eprasa.pl cfbace2a2b

Tężnie w Ciechocinku

Ciechocinek to popularne uzdrowisko, choć piosenkarskie przeboje sławią głównie jego walory towarzyskie. Celem spacerów są tężnie – naturalne inhalatorium, gdzie oddycha się powietrzem przesyconym jodem i ozonem. Dziś ciechocińskie solanki służą głównie celom leczniczym. Tymczasem budowę tężni rozpoczęto dla pozyskania soli. Tężnie nr 1 i 2 (1824–1833) zaprojektował Jakub Graff, Saksończyk, profesor kieleckiej Akademii Górniczej. W 1859 r. dodano obiekt nr 3. Łącznie zbudowano 1741,5 m ścian wysokości prawie 16 m. Drewniany szkielet wypełniają gałęzie tarniny. Te wyjątkowe w skali Europy budowle do odparowywania wody z solanki są drugim ogniwem zakładu pozyskiwania soli z naturalnych zasobów. Pierwszym jest stojąca w centrum uzdrowiska fontanna, tzw. grzybek. Bije w niej woda czerpana z głębokości 420 m, zawierająca 5,5 proc. soli. Stąd podziemną rurą płynie do tężni i sączy się po gałązkach do zbiorników. „Przewietrzona" solanka uzyskuje stężenie 27 proc.

Od fontanny Grzybek do ciechocińskiej warzelni soli jest 1,2 tys. m. Można do niej dojść ulicą Warzelnianą. Solanka jest tutaj zamieniana w sól jadalną najlepszej jakości, zwaną warzonką. Dzięki otwarciu w XIX-wiecznym budynku warzelni muzeum można zobaczyć cały ten proces.

W części hali zorganizowano wystawę aparatów do gimnastyki leczniczej z początku XX w. Sprzęty służyły niegdyś kuracjuszom ciechocińskich sanatoriów. Zebrano je w jednym pomieszczeniu na wzór współczesnych fitness klubów. Półmrok hali, niezwykły wygląd sprzętów i świadomość wysiłku ćwiczących tu pokoleń przywodzi na myśl skojarzenia z salą tortur.

Dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2019 r. zespół tężni i warzelni soli wraz z parkami Tężniowym i Zdrojowym oraz pijalnia wód mineralnych (z drugiej połowy XIX w.) zostały poddane konserwacji i kompleksowym remontom. ●

POMNIK HISTORII

„Ciechocinek – zespół tężni i warzelni soli wraz z parkami Tężniowym i Zdrojowym" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 22 listopada 2017 r.

Waldemar Wieczorek

Stocznia Gdańska

W minionym stuleciu Gdańsk dwukrotnie stał się miejscem wydarzeń, które zaważyły na losach Europy i świata. 1 września 1939 r. strzały z pancernika Schleswig-Holstein zapoczątkowały II wojnę światową, natomiast 31 sierpnia 1980 r. na terenie Stoczni Gdańskiej im. Lenina podpisano słynne porozumienie między rządem PRL i Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym z Lechem Wałęsą na czele. Najważniejszym z 21 postulatów (od 2003 r. wpisanych na Listę krajową programu UNESCO „Pamięć Świata") była zgoda władz komunistycznych na zarejestrowanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" – pierwszej legalnej organizacji opozycyjnej w bloku sowieckim, do której w ciągu kilku miesięcy zapisało się 10 mln Polaków! Swoisty festiwal Solidarności, brutalnie przerwany 13 grudnia 1981 r., wyzwolił w społeczeństwie niepohamowane pragnienie wolności, którego nie mogły już zatrzymać czołgi, internowania ani represje stanu wojennego. Wydarzenia w Polsce zainicjowały wielkie przemiany w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 80. i 90. XX w., które ostatecznie doprowadziły do obalenia rządów komunistycznych.

W celu upamiętnienia roli, jaką Gdańsk odegrał w historii najnowszej, powstało tutaj Europejskie Centrum Solidarności, które od sierpnia 2014 r. mieści się w nowoczesnej siedzibie o powierzchni ponad 25 tys. mkw. Integralną częścią obiektu jest plac, na którym w grudniu 1980 r. odsłonięto pomnik Poległych Stoczniowców (w formie trzech gigantycznych krzyży, na których wiszą kotwice – symbole nadziei), upamiętniający ofiary represji komunistycznych w czasie protestów robotniczych w grudniu 1970 r. W budynku mieści się ekspozycja stała, przedstawiająca współczesną historię Polski, powstanie ruchu solidarnościowego oraz jego dziedzictwo. Oprócz niej w siedzibie Centrum mieści się m.in. archiwum, biblioteka, mediateka, audytoria i sale warsztatowe. Na parterze budynku, swobodnie dostępnym, znajduje się całoroczny ogród, księgarnia, sklep z pamiątkami i kawiarnia. Oprócz Europejskiego Centrum Solidarności w budynku mają siedziby także organizacje pozarządowe. Aktualnie trwają starania o wpisanie Stoczni na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. ●

POMNIK HISTORII

„Gdańsk – Stocznia Gdańska, miejsce narodzin Solidarności" została uznana za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

- betix/Polskanieznywkla.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Piękny, chociaż z żelbetu

Monumentalny kościół Chrystusa Króla i św. Rocha zamyka od zachodu główną ulicę Białegostoku, Lipową. W latach 20. XX w. katolicka społeczność miasta postanowiła uczcić odzyskanie przez Polskę niepodległości wystawieniem wotywnej świątyni. W 1927 r. zaczęto budowę jednego z pierwszych w świecie kościołów w awangardowym na owe czasy stylu modernistycznym. Zaprojektował go Oskar Sosnowski, profesor Politechniki Warszawskiej. Monumentalny charakter budowli nadaje wysoka na 83 m wieża z figurą Matki Boskiej na szczycie. Głównym materiałem, który posłużył do budowy kościoła, jest żelbet. Mimo złych przykładów jego zastosowania, jakich pełno w całej Polsce, wnętrze białostockiej świątyni zaskakuje lekkością dzięki wprowadzeniu do niego wysokich filarów, licznych arkad i odlanych z betonu kryształowych stropów. W ołtarzu i nad bramą prowadzącą do wnętrza kościoła znajdują się rzeźby Chrystusa autorstwa znanego artysty Stanisława Horno-Popławskiego. ●

POMNIK HISTORII

„Białystok – zespół kościoła pod wezwaniem Chrystusa Króla i św. Rocha" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

ToSter/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Najstarsza kopalnia ropy naftowej

Okolice Krosna, Jasła i Gorlic są związane z postacią Ignacego Łukasiewicza (1822–1882) – prekursora przemysłu naftowego i wynalazcy lampy naftowej. Wszystko zaczęło się we Lwowie, gdzie Łukasiewicz zetknął się z tzw. olejem skalnym (tak wówczas nazywano ropę naftową). W procesie destylacji Łukasiewicz otrzymał z niej przezroczysty płyn palny i postanowił użyć go do oświetlania. Zaprojektował innowacyjną lampę, bo nowe paliwo nie nadawało się do lamp oliwnych. Pierwszy raz nafta posłużyła do oświetlenia szpitalnej sali podczas nocnej operacji w 1853 r. W 1854 r. we wsi Bóbrka k. Krosna powstała pierwsza na świecie kopalnia ropy. Dziś jest udostępniona do zwiedzania – stanowi Muzeum-Skansen Przemysłu Naftowego. Oprócz dwóch zabytkowych, ale nadal czynnych szybów można tu zobaczyć narzędzia wiertnicze, urządzenia wyciągowe, a także kolekcję lamp naftowych. ●

POMNIK HISTORII

„Bóbrka – najstarsza kopalnia ropy naftowej" została uznana za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Red 81/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Pałac na planie masońskiej węgielnicy

Augustyn Gorzeński, właściciel Dobrzycy, był posłem na Sejm Czteroletni i współtwórcą Konstytucji 3 maja. Był też masonem z siódmym stopniem wtajemniczenia i kawalerem Różanego Krzyża. Chcąc stworzyć odpowiednie miejsce do zgromadzeń loży masońskiej, wzniósł pałac zaprojektowany przez wybitnego architekta Stanisława Zawadzkiego. Na życzenie właściciela pałac zyskał niepowtarzalną bryłę, która rozplanowaniem nawiązuje do symboliki masońskiej. Jest zbudowany na planie węgielnicy masońskiej, która w rytuale wolnomularskim obok cyrkla i Biblii była trzecim najważniejszym symbolem Prawa i Obowiązku. Na skrzyżowaniu piętrowych skrzydeł architekt zaplanował czterokolumnowy portyk toskański osłaniający wejście. Pałac jest otoczony malowniczym parkiem krajobrazowym, w którym rośnie platan o obwodzie ponad 960 cm, ponoć najgrubszy w Europie. Posadził go zapewne Augustyn Gorzeński, aby uczcić uchwalenie Konstytucji 3 maja. ●

POMNIK HISTORII

„Dobrzyca – zespół pałacowo-parkowy" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Lucaok/Wikimedia Commons (CC BY-SA 3.0)

Twierdza Wisłoujście

Najcenniejszy z polskich zabytków portowej architektury obronnej. Usytuowana jest na wschodnim brzegu Martwej Wisły, kilka kilometrów od jej ujścia do Zatoki Gdańskiej. Do XVI w. strzegła wejścia do gdańskiego portu, stojąc na brzegu morza. Z czasem jednak półwysep Westerplatte, usypany z niesionych przez Wisłę osadów, oddzielił twierdzę od zatoki. Początkowo na szczycie wzniesionej w 1482 r. wieży palono ognisko, wskazując statkom wejście do portu. W XVI i XVII w. obiekt rozbudowano, nadając mu charakter bastionowej twierdzy. Obecnie jest objęty światowym programem ochrony zabytków World Monument Watch i gruntownie odnawiany.

Dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2016 r. w wysokości ponad 460 tys. zł. w Twierdzy Wisłoujście poddawane są konserwacji i restauracji elementy Poterny wjazdowej wraz z przyległymi pomieszczeniami Fortu Carré. Okresowo można zwiedzać forty wewnętrzne i wejść na wieżę zwaną Latarnią. ●

POMNIK HISTORII

„Gdańsk – twierdza Wisłoujście" została uznana za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

mamutas/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Raj na ziemi

Już z daleka widać wyniosłą dwuwieżową fasadę kościoła w Gościkowie. Przylega do niego zespół klasztorny z dwoma wirydarzami, flankowany narożnymi basztami z dzwonowatymi hełmami. Założenie warto zobaczyć – zachwyca rozmiarami i architekturą najwyższej próby. Południowa ściana klasztoru ma 100 m długości, wschodnia 80 m. Wszystkie elewacje są pokryte barokową dekoracją, a cały zespół pięknie harmonizuje z otaczającą przyrodą. Niegdyś do założonego tu w 1230 r. opactwa cystersów należało 21 wsi o łącznej powierzchni ok. 33,5 tys. ha. Nadana temu miejscu nazwa Paradius Matris Dei (Raj Matki Boskiej) szybko się upowszechniła w polskiej wersji – Paradyż. W początkowym okresie istnienia opactwa tutejsi mnisi byli wyłącznie Niemcami. W 1538 r. król Zygmunt Stary postanowił, że opatem w Paradyżu może być tylko Polak. Od tego czasu klasztor, aż do kasaty w 1834 r., był silnym ośrodkiem polskości w Brandenburgii. Obecnie w dawnym opactwie mieści się Wyższe Seminarium Duchowne. Turyści mogą zwiedzać najciekawsze miejsca zespołu klasztornego. Szczególnie interesujący jest kościół pw. NMP i św. Marcina o barokowym wystroju wnętrza. Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2016 i 2017 r., w łącznej wysokości ponad 800 tys. zł, przeprowadzone zostały tu prace konserwatorskie przy ołtarzu głównym.

Muzeum znajdujące się w zabudowaniach klasztornych ukazuje ponad 750-letnią historię opactwa cystersów i wydarzenia z nim związane. ●

POMNIK HISTORII

„Gościkowo-Paradyż – pocysterski zespół klasztorny" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 22 listopada 2017 r.

marekpic/Polskaniezwykła.pl

Święta Lipka – sanktuarium pielgrzymkowe

W połowie XIV w. wśród konarów lipy rosnącej w miejscu przeprawy przez dolinę strumienia pojawiła się figurka Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Według legendy umieścił ją tam uwolniony z rastemborskiego więzienia skazaniec. Nie ma dziś w Świętej Lipce tamtej figurki ani pierwszego wzniesionego tu kościoła. Obecny kościół pw. Nawiedzenia NMP oraz klasztor, perły polskiej architektury barokowej, powstały w latach 1687–1693.

W nawie głównej znajduje się imitacja dawnej lipy, w której umieszczono wykonaną ze srebrnej blachy figurkę Matki Boskiej z 1652 r. Kościół ma formę trójnawowej bazyliki z dwuprzęsłowym prezbiterium, czteroprzęsłowym korpusem nawy głównej i emporami nad nawami bocznymi. Jest otoczony przez czworoboczny krużganek odpustowy, z czterema kaplicami narożnymi. W niszach kaplic i balustradzie krużganka znajdują się 44 rzeźby z połowy XVIII w. przedstawiające przodków Jezusa Chrystusa, ich autorem jest K. Pervanger z Tolkmicka. Na dziedziniec świątyni prowadzą trzy bramy. Najciekawsza jest brama główna, którą wykonał w latach 1731–1733 mistrz kowalski z Reszla Jan Schwartz. To jedno z najmisterniejszych kowalskich dzieł w naszym kraju. Składa się z precyzyjnie wykonanych, splecionych z sobą dziesiątków liści akantu.

W ostatnich trzech latach sanktuarium Maryjne w Świętej Lipce otrzymało z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego aż cztery dotacje w łącznej wysokości 880 tys. zł. Dzięki nim przeprowadzono badania konserwatorsko-architektoniczne, prace melioracyjne i remontowe w obrębie krużganków, remonty elewacji oraz prace nad przywróceniem pierwotnej stolarki zewnętrznej i okiennej. ●

POMNIK HISTORII

„Święta Lipka – sanktuarium pielgrzymkowe" zostało uznane za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Piotrek1/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

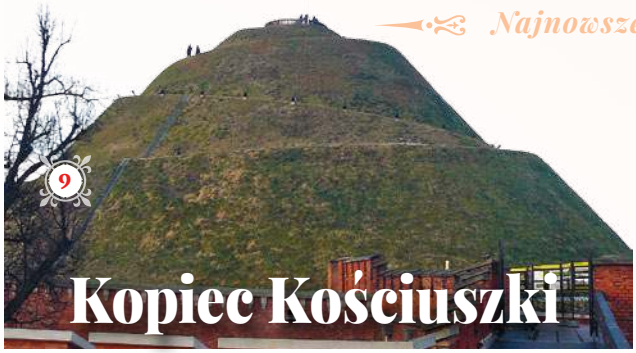

Kopiec Kościuszki

Kopiec Tadeusza Kościuszki został usypany w latach 1820–1823 jako symboliczna mogiła na cześć Naczelnika, na wzór prehistorycznych, spowitych w legendy krakowskich kopców Kraka i Wandy. Zawiera w sobie ziemię z pól bitewnych pod Racławicami, Szczekocinami i Maciejowicami. Kopiec znajduje się na Wzgórzu bł. Bronisławy w Krakowie i ma 34 m wysokości. Na jego wierzchołku w 1860 r. umieszczono kilkutonowy głaz z tatrzańskiego granitu z prostą inskrypcją: „Kościuszce". Z kopca roztacza się wspaniały widok na Kraków. ●

chris_pu/Polskaniezwykla.pl

POMNIK HISTORII

„Kraków – Kopiec Kościuszki z otoczeniem" został uznany za pomnik historii przez prezydenta RP rozporządzeniem z 22 listopada 2017 r.

Grudziądz – miasto wsparte na spichlerzach

Dosłownie i w przenośni miasto to wspiera się na spichlerzach. Już w XIV w., mając ich kilkanaście, pośredniczył w transakcjach zbożowych pomiędzy ziemią chełmińską a Gdańskiem. W XVI stuleciu stał się centrum obrotu zbożem dla ziem chełmińskiej i lubawskiej. Ogromne zyski z handlu były źródłem ówczesnego dobrobytu miasta. Handel zbożem na taką skalę wymagał odpowiednich miejsc do jego magazynowania. Dlatego w XVI w. wzniesiono kompleks ogromnych spichlerzy, szczelnie zapełniających skarpę wiślaną, na której stało miasto. Przylegające do siebie ścianami bocznymi budynki mają do dziesięciu kondygnacji. Tworzą ciąg ponad 300-metrowej długości, najlepiej prezentujący się z przeciwległego brzegu Wisły. Podparte potężnymi skarpami stanowią również mur oporowy dla wysokiego brzegu Wisły, na którym rozłożyło się Stare Miasto. Grudziądzki zespół spichlerzy jest jedynym tego rodzaju zabytkiem w Polsce. ●

Kosiarz-PL/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

POMNIK HISTORII

„Grudziądz – zespół zabytkowych spichlerzy wraz z panoramą od strony Wisły" został uznany za pomnik historii przez prezydenta RP rozporządzeniem z 22 listopada 2017 r.

Maszt radiostacji

Ukończony w 1935 r. maszt antenowy w Gliwicach jest najwyższą na świecie budowlą z drewna! Przeszedł do historii w 1939 r. jako miejsce rzekomego polskiego ataku na niemiecką radiostację, dającego pretekst Hitlerowi do uderzenia na Polskę. Maszt wysokości 110 m jest w świetnym stanie technicznym. Z daleka widać jego sylwetkę dźwigającą liczne anteny sieci telefonii komórkowej oraz rozgłośni radiowych. Stoi przy wyjeździe z miasta w stronę Tarnowskich Gór. ●

1989urbi/Polskaniezwykla.pl

POMNIK HISTORII

„Gliwice – radiostacja" została uznana za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

Urząd Wojewódzki i Sejm Śląski

Gmach Urzędu Wojewódzkiego to klasycyzujący budynek parlamentarny, unikatowy w skali kraju, porównywalny z innymi realizacjami europejskimi w latach 1926–1929. Projektował go krakowski zespół architektów: K. Wyczyński, L. Wojtyczko, S. Żeleński, P. Jurkiewicz.

Gmach łączy funkcjonalność z monumentalną formą. Wystrój zewnętrzny: fryz obiegający lico zewnętrzne, fryz na attyce elewacji głównej o treściach patriotyczno-narodowych. We wnętrzu: surowa część urzędnicza (skrzydła wschodnie, południowe, północne, ryzality boczne), reprezentacyjna część sejmowa (skrzydło zachodnie); bogato zdobiony westybul nakryty kopułą, sala sejmowa, wysokiej klasy dekoracja klasycyzująca. Przed wojną w westybulu można było jeszcze zobaczyć herby górnośląskich miast, m.in.: Katowic, Mysłowic, Tarnowskich Gór, lecz po wkroczeniu hitlerowców do Katowic herby zostały zniszczone. ●

robertu/Polskaniezwykla.pl

POMNIK HISTORII

„Katowice – Gmach Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 23 listopada 2017 r.

eprasa.pl

Pałac biskupów krakowskich i katedra w Kielcach

W połowie XVII w. pałac biskupów krakowskich był jedną z najokazalszych rezydencji w Rzeczypospolitej. Tomasz Poncino zbudował go w stylu manierystycznym. W latach 40. XVIII w. do korpusu głównego dodano skrzydła boczne. Dziś w pałacu mieści się Muzeum Narodowe, z jednym z bogatszych w kraju zbiorów malarstwa polskiego. We wnętrzach wystawiane są także zabytkowe meble, szkło i ceramika, tkaniny, dzieła sztuki złotniczej oraz militaria. Sale parteru mieszczą Sanktuarium Marszałka Józefa Piłsudskiego z pamiątkami po Naczelniku i kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej. Na tyłach pałacu zrekonstruowano ogród włoski, podobny założono w tym miejscu w XVII w., wkrótce po ukończeniu rezydencji. To jedyny przypałacowy ogród typu włoskiego w naszym kraju. Można go zwiedzać w godzinach otwarcia muzeum.

Kościół romański pw. Wniebowzięcia NMP stanął na dzisiejszym Wzgórzu Katedralnym już w XII w. Liczne przebudowy i remonty sprawiły, że dziś jest trójnawową bazyliką o barokowej formie. We wnętrzu warto zwrócić uwagę na renesansowy nagrobek Elżbiety z Krzyckich Zebrzydowskiej, dzieło Włocha Jana Marii Padovano (w nawie południowej, tuż za kruchtą). Nieco dalej, na zakończeniu nawy, znajduje się ołtarz z otaczanym czcią obrazem Matki Boskiej Łaskawej Kieleckiej. W ołtarzu głównym wzrok przyciąga pełen ekspresji XVIII-wieczny obraz Szymona Czechowicza ze sceną Wniebowzięcia NMP. W udostępnionym do zwiedzania skarbcu katedralnym zgromadzono bezcenne przedmioty, m.in. hermę (rodzaj relikwiarza) z popiersiem św. Marii Magdaleny i bogato zdobiony kielich, dary Kazimierza Wielkiego. Ciekawym zabytkiem jest tzw. antyfonarz kielecki z 1372 r. z najstarszym zapisem pieśni „Gaude Mater Polonia" (Ciesz się, Matko Polsko). ●

POMNIK HISTORII

„Kielce – dawny pałac biskupów i katedra" zostały uznane za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 22 listopada 2017 r.

Jakub Halun/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Katedra w Kwidzynie

Katedra kwidzyńska pełna jest pamiątek przeszłości. Najciekawsza jest cela, w której ostatni rok życia spędziła bł. Dorota z Mątowów Wielkich. Na własne życzenie została w niej zamurowana. Gdy żyła, za jej pośrednictwem dokonywały się cudowne uzdrowienia, a po jej śmierci w 1349 r. grób stał się celem pielgrzymek. Proces beatyfikacyjny, zaczęty jeszcze w XIV w., zakończono dopiero w 1976 r. Nad kruchtą usytuowana jest mozaika przedstawiająca męczeństwo św. Jana Ewangelisty i klęczącego fundatora bpa Jana I Möncha. Jest to jeden z nielicznych i najwcześniejszych (1380 r.) przykładów tego gatunku sztuki w Europie Środkowej.

Wystrój wnętrza katedry zdobią także znajdujące się w południowej nawie kościoła potężne barokowe epitafium z 1602 roku, ufundowane przez burmistrza miasta August Milde oraz bogate w formie epitafia Anny i Adama Blackhall (zm. w 1711 r.) i rodziny Jerzego von Rembau z Sadlinek (zm. w 1619 r.).

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2016 r. przeprowadzono prace konserwatorskie i restauratorskie. Dotyczyły one epitafium Augusta Mildego i jego żony oraz mozaikowej tablicy fundacyjnej na południowej elewacji katedry. Na ten cel przeznaczono 155 tys. zł.

Innego rodzaju zabytkiem jest dostawiona do północnej ściany nawy kaplica-mauzoleum, którą pod koniec życia w 1705 r. ufundował Otto Fryderyk von Groeben. Jego ogromny temperament przejawiał się w częstych kontaktach z kobietami. We wnętrzu znajduje się oryginalny nagrobek zawierający pełnopostaciowe rzeźby fundatora i jego trzech żon, a od zewnątrz kaplicę zdobi figura Ottona w miłosnym uścisku z... kochanką! Umieszczone obok tej pary klęczące postacie modlą się o zbawienie duszy grzesznika. ●

POMNIK HISTORII

„Kwidzyn – zespół katedralno-zamkowy" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Iwona Malicka (iwmal)/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Górnicy z neolitu

Krzemionki Opatowskie to jedyna w Europie Środkowej zachowana do naszych czasów, częściowo zrekonstruowana, neolityczna (ok. 3900 do 1600 r. p.n.e.) podziemna kopalnia krzemienia. Pole górnicze obejmujące ok. 4 tys. szybików w rejonie Magoni i Krzemionek Opatowskich odkryto w 1922 r. Zwiedzając podziemną 400-metrową trasę, można poznać warunki pracy prehistorycznych górników oraz pomysłowy system wietrzenia komór i chodników. W pawilonie nad jednym z odkrytych szybów urządzono pracownię krzemieniarza mozolnie obrabiającego wydobyte na powierzchnię buły surowca. W pobliżu znajduje się zrekonstruowana wioska neolitycznych górników. ●

„Krzemionki Opatowskie" w lipcu tego roku zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturowego i naturalnego UNESCO.

Wojtek-Rajpold/Wikimedia Commons (CC BY-SA 3.0)

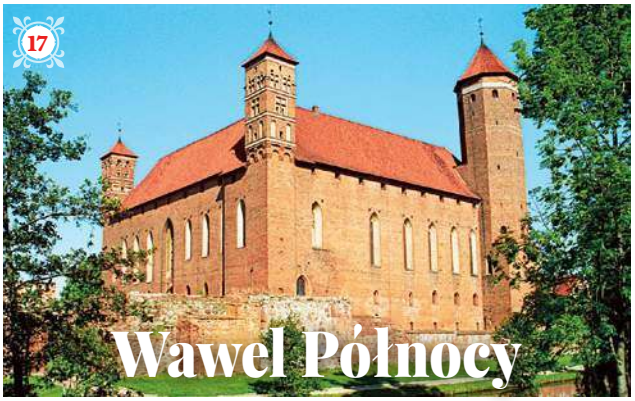

Wawel Północy

Zamek biskupów warmińskich, wzniesiony w drugiej połowie XIV w., należy do najlepiej zachowanych gotyckich obiektów w Polsce. W wiekach XVII i XVIII przestał być znaczącą fortalicją, przeistaczając się w najważniejszy dwór Warmii. Stanowił regionalny katolicki ośrodek życia umysłowego i kulturalnego Rzeczypospolitej, konkurujący z protestanckim dworem elektorskim w Królewcu. Wśród rezydentów zamku nie brak więc postaci związanych z naszą historią, takich jak: Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer oraz Ignacy Krasicki. Przez kilka lat mieszkał tu i pracował Mikołaj Kopernik.

W zamku działa Muzeum Warmińskie. Trasa zwiedzania wiedzie przez kaplicę zamkową, wielki refektarz, kaplicę domową, loch więzienny, salę audiencyjną, zamkowy kredens, refektarz i kapitularz. Większość sal ma wspaniałe gwiaździste sklepienia. Na ścianach zachowały się oryginalne malowidła i polichromie. W otoczeniu stylowych wnętrz zaprezentowano bogaty zbiór rzeźby, malarstwa i rzemiosła. ●

„Lidzbark Warmiński – zamek biskupów warmińskich" uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Modrzewiowy dworek

Staropolski dworek w Koszutach to parterowa, symetryczna budowla szkieletowa. Konstrukcję ścian stanowią belki modrzewiowe, a przestrzenie między nimi wypełnia glina. Powstał w końcu XVIII w. z wykorzystaniem elementów wcześniejszego dworu. W jego bryle zwracają uwagę narożne alkierze nakryte baniastymi daszkami. Położony jest w zrekonstruowanym parku krajobrazowym z pierwszej połowy XIX w. Od 1966 r. w dworku mieści się Muzeum Ziemi Średzkiej. Powstało z inicjatywy Franciszka Kosińskiego – regionalisty, który przez wiele lat gromadził eksponaty z przeszłości. Ekspozycja stała muzeum prezentowana jest w siedmiu salach, urządzonych w duchu dawnego, polskiego dworu. Zgromadzone tu zestawy mebli oraz uzupełniające wystrój malarstwo, tkaniny i przykłady rzemiosła artystycznego sprawiają, że w niewielkich, stylowo urządzonych pokojach można odetchnąć niezwykłą atmosferą czasów staropolskich. ●

Dariusz Krakowiak

„Koszuty – zespół dworsko-parkowy" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Miasto św. Kingi

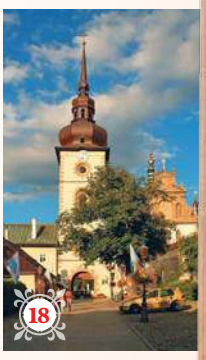

Fundatorką dwóch starosądeckich klasztorów – klarysek i franciszkanów – była żona Bolesława Wstydliwego, księżna Kinga. W wybudowanym na przełomie XIII i XIV w., również z jej fundacji, kościele Świętej Trójcy znajduje się unikatowa XVII-wieczna ambona z drzewem Jessego – rzeźbiarskim przedstawieniem historii rodu Dawida, z którego wywodziła się Matka Boża. W przylegającej do kościoła kaplicy w srebrnej trumience przechowywane są relikwie św. Kingi. Została ona kanonizowana 13 czerwca 1999 r. podczas mszy odprawionej w Starym Sączu przez Jana Pawła II.

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2018 i 2019 w klasztorze sióstr Klarysek przeprowadzono prace remontowo-budowlane na dziedzińcu oraz zbudowano podjazd dla osób niepełnosprawnych. W sumie wydano na te inwestycje 830 tys. zł. ●

Sanka/PolskaniezwykŁa.pl

„Stary Sącz – zespół staromiejski wraz z klasztorem Sióstr Klarysek" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

eprasa.pl cfbace2a2b

Gdańsk-Oliwa. Gotyckie opactwo pocysterskie

Opactwo cystersów w Oliwie jest najstarszą placówką klasztorną na Pomorzu Gdańskim, istniejącą nieprzerwanie przez blisko 650 lat (od 1186 do 1831 r.). Na przestrzeni wieków zabudowania klasztorne wielokrotnie ulegały zniszczeniom dokonywanym przez pogańskich Prusów, Brandenburczyków, Krzyżaków, husytów, Szwedów, Rosjan, ale też samych gdańszczan. Okres świetności opactwa zakończył się w 1772 r., wraz z I rozbiorem Polski, działało ono jednak w Oliwie aż do kasaty zakonu przez rząd pruski w 1831 r. Cystersi powrócili do Oliwy po II wojnie światowej. Nie odzyskali jednak ani opactwa, ani dawnego klasztornego kościoła (wtedy już katedry.) Na polecenie biskupa przenieśli się do ewangelickiego kościoła Pojednania w Oliwie, (obecnie kościół parafialny Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej), który do dziś jest ich siedzibą.

Po dawnym opactwie cysterskim pozostały w Oliwie liczne zabytki. Najcenniejszym z nich jest archikatedra Trójcy Świętej, Najświętszej Maryi Panny i św. Bernarda z XIII w. wewnątrz której znajdują się 23 barokowe i rokokowe ołtarze. Katedra to także miejsce spoczynku książąt pomorskich, począwszy od pochówku Sambora I. Uwagę zwraca przede wszystkim dawny ołtarz główny z 1605 r. w stylu renesansu niderlandzkiego i obecny główny – najpełniejsze dzieło barokowe na Pomorzu (1688). Do dziś budzą podziw także XVIII-wieczne oliwskie organy – dzieło Jana Wilhelma Wulffa. Zostały odrestaurowane w 2003 r. i są dziś wykorzystywane codziennie nie tylko do celów liturgicznych, ale także podczas demonstracji organowych dla turystów, które w sezonie letnim odbywają się co godzinę. Od 1958 r. odbywają się tu również koncerty w ramach Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej organizowanego przez Polską Filharmonię Bałtycką. Bogaty wystrój katedry uzupełniają rokokowe kaplice, ambona, grobowce, epitafia, zabytkowe żyrandole, baldachimy oraz wiele innych zabytków kościoła i byłego klasztoru cystersów.

W dawnym opactwie cystersów zobaczyć możemy również budynek Klasztoru (XIII, XIV w., odbudowany 1593–1594), Stary Pałac Opacki (XV w., przebudowany w XVII w. na barokowy), Nowy Pałac Opacki (1752-1754), a także barokowy spichlerz, gotyckie obronne mury klasztorne, młyny, kuźnię (1597), stajnie i palmiarnię. Warto także odwiedzić park na terenie ogrodów klasztornych założony w XVII w., przekształcony następnie w ogród francuski i poszerzony o część w stylu krajobrazowym.

W tym roku, dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w klasztorze poddano konserwacji i restauracji dwa obrazy wielkoformatowe: „Bogacz i ubogi Łazarz" oraz „Cud w Kanie Galilejskiej". ●

POMNIK HISTORII

„Gdańsk-Oliwa – zespół pocystersko-katedralny" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 22 listopada 2017 r.

gorofl/Polskaniezwykła.pl

Ostrów Tumski

Wysoki brzeg Wisły, nazywany Ostrowem Tumskim, to serce Płocka. Roztacza się stąd wspaniały widok na dolinę rzeki. Nad skarpą górują wieże Zamku Książąt Mazowieckich. Wzniesiony w XIV w. i wielokrotnie przebudowywany, od 2008 r. mieści część zbiorów Muzeum Diecezjalnego. Oprócz sztuki sakralnej można tu zobaczyć m.in. unikatową kolekcję pasów kontuszowych oraz cenne rękopisy, inkunabuły i starodruki, w tym Biblię płocką z XII w.

Tumskie wzgórze odegrało ważną rolę w historii Polski. U podnóża zamku odkryto ślady kamiennej budowli, w której prawdopodobnie przyszedł na świat Bolesław Krzywousty. Stojącą obok katedrę wzniesiono w XII w., a później wielokrotnie przebudowywano. Na początku XX w. Stefan Szyller przywrócił jej XVI-wieczny wygląd. W kaplicy Królewskiej spoczywają Władysław Herman i Bolesław Krzywousty oraz liczni książęta mazowieccy i płoccy. W kruchcie można podziwiać kopię romańskich Drzwi Płockich.

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2016–2019 zrealizowano następujące inwestycje: „konserwację i restaurację dekoracji malarskiej oraz plastycznego wyposażenia wnętrza kaplicy św. Rodziny w bazylice katedralnej", „prace konserwatorskie, restauratorskie i roboty budowlane przy wykonaniu izolacji i odwodnieniu fundamentów katedry wraz z naprawą skarpy w przestrzeni transeptu" oraz „kompleksowe prace konserwatorskie, restauratorskie i roboty budowlane przy wieży południowej wraz z montażem instalacji odgromowej wieży oraz podstawie wieży północnej". W sumie na te cele wydano blisko 1,4 mln zł. ●

POMNIK HISTORII

„Płock – Wzgórze Tumskie" zostało uznane za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Dariusz Krakowiak

epresa.pl/cbace2a2b

21

Długi rynek

Niektórzy twierdzą, że najdłuższy w Europie. Czterystumetrowy prostokątny plac wybrukowany kocimi łbami jest sercem starej części miasta. W pierzejach rynku zachowały się klasycystyczne kamienice z pierwszej połowy XIX w. Pośrodku rynku wznosi się ratusz. Do gotyckiej ośmiokondygnacyjnej wieży dobudowano po II wojnie światowej neoklasycystyczny budynek. Na północnym krańcu rynku między drzewami bieleją ściany bazyliki Zwiastowania NMP i św. Mateusza. Trzynawową gotycką świątynię wzniesiono w 1449 r. Sto lat później architekt Jan Baptysta z Wenecji dobudował renesansową boczną kaplicę oraz przebudował sklepienie nawy głównej. Ozdobione geometryczną siecią połączonych kół zostało nazwane „sklepieniem pułtuskim" i powtórzone w innych świątyniach Mazowsza. Wyposażenie bazyliki jest młodsze niż jej mury; większość utrzymana jest w stylu barokowym. Od południa rynek zamyka okrągła kaplica św. Marii Magdaleny, nazywana popularnie Magdalenką. Renesansowy kościół z pierwszej połowy XVI w. to rzadki w Polsce przykład wolno stojącej świątyni na planie koła. ●

POMNIK HISTORII

„Pułtusk – kolegiata pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny" została uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

marekpic/Polskaniezwykła.pl

Kościół jak kwiat róży

23

Najstarsza część kościoła św. Anny w Oleśnie pochodzi z początku XVI w. W 1668 r. parafianie postanowili powiększyć świątynię. Nowy kościół, na nietypowym planie ze środkową nawą i pięcioma promieniście przylegającymi do niej kaplicami, postawiono obok starego. Obie części połączono korytarzem, dzięki czemu uzyskano niespotykaną formę budowli, którą można przyrównać do róży – pięć kaplic to płatki, a wspomniany korytarz to łodyga. Skojarzenie z różą jest o tyle uzasadnione, że ten kwiat występuje w herbie Olesna.

W starszej części kościoła znajdował się ołtarz z 1517 r. wykonany przez mistrza Jana, ucznia Wita Stwosza. Przedstawiał Wielką Świętą Rodzinę. Skradziony w 1994 r., został pocięty i był sprzedawany na targach staroci. Dwie oryginalne rzeźby, odnalezione przez policję, można oglądać w Muzeum Diecezjalnym w Opolu. W kościele umieszczono współczesną kopię ołtarza. Świątynia znajduje się 2 km na północ od miasta, na terenie cmentarza. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przekazało w 2019 r. ponad 0,5 mln zł na prace remontowo-konserwatorskie przy konstrukcji kościoła św. Anny. ●

POMNIK HISTORII

„Olesno – kościół odpustowy pod wezwaniem św. Anny" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Jurek K/Polskaniezwykła.pl

Splendor magnackiej rezydencji

Pałac w Nieborowie to jedna z nielicznych polskich rezydencji magnackich, która szczęśliwie przetrwała II wojnę światową. Od 1945 r. jest filią Muzeum Narodowego w Warszawie. Od 1694 r. Nieborów należał do kardynała Michała Stefana Radziejowskiego, który na fundamentach starszego dworu kazał wznieść barokowy pałac zaprojektowany przez Tylmana z Gameren. W latach 1774-1945 posiadłość była własnością Radziwiłłów. Wokół pałacu powstał park geometryczny w stylu francuskim. W końcu XVIII w. Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa założyła na terenie oddalonej 5 km od Nieborowa wsi Łupia park krajobrazowy w stylu angielskim, który zgodnie z oświeceniową modą na antyk nazwała Arkadią. Park zdobią liczne rzeźby i pawilony, jak Grota Sybilli, Świątynia Diany czy Domek Gotycki. W Świątyni Diany Radziwiłłowa zgromadziła swoją kolekcję antyków. Najcenniejszym z nich jest zachowana do dziś głowa mitycznej Niobe z II w. ●

22

Dariusz Cirpiat/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

POMNIK HISTORII

„Nieborów i Arkadia – zespół pałacowo-ogrodowy i ogród sentymentalno-romantyczny" uznane zostały za pomnik historii przez prezydenta RP rozporządzeniem z 22 listopada 2017 r.

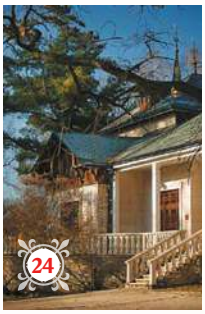

24

W darze za krzepienie serc

W Oblęgorku zachował się pałacyk stojący w otoczeniu pięknego parku, wzniesiony w latach 1900–1902 ze składek Polaków. Wdzięczny naród podarował tę wiejską rezydencję Henrykowi Sienkiewiczowi (1846–1916), który traktował Oblęgorek jako letnią siedzibę. Spędzał tu wakacje w latach 1902–1914. W pałacu przekazanym państwu przez rodzinę pisarza w 1958 r. otwarto Muzeum Henryka Sienkiewicza. Można tu dziś obejrzeć pięknie zachowane wnętrza z początku XX w. z meblami, obrazami i licznymi drobiazgami, które należały do pisarza. Jest również wiele podarunków, które otrzymywał od miłośników swej twórczości. Warto też naocznie się przekonać, że Sienkiewicz jest jednym z najlepiej znanych na świecie polskich literatów. W bogatym zbiorze jego dzieł wydawanych w odległych zakątkach globu są nawet anglojęzyczne komiksy z przygodami bohaterów Trylogii! ●

POMNIK HISTORII

„Oblęgorek – pałacyk Henryka Sienkiewicza wraz z zabytkowym parkiem i aleją lipową" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

telimenore/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Trzech biskupów w jednym mieście

Już na początku XIII w. Przemyśl był siedzibą diecezji prawosławnej, diecezja rzymskokatolicka powstała tu dopiero w połowie XIV w. Odtąd w mieście urzędowało dwóch biskupów. W 1596 r. powstał Kościół greckokatolicki (unicki), w mieście pojawił się zatem trzeci hierarcha! Dopiero 100 lat później kolejny prawosławny biskup przemyski podporządkował się papieżowi.

W Przemyślu na uwagę zasługuje przede wszystkim piękny zespół staromiejski z gotycką bazyliką archikatedralną pw. św. Jana Chrzciciela, której budowa rozpoczęła się w 1495 r. Na przestrzeni wieków bazylika była wielokrotnie przebudowywana. Dziś podziwiać tu można barokowe wnętrze świątyni z Wielkim Ołtarzem, nowymi stallami i dwiema kaplicami kopułowymi. Dla zwiedzających dostępne są też krypty pod świątynią. Najcenniejszym elementem podziemi są zewnętrzne ściany romańskiej rotundy św. Mikołaja, pochodzące prawdopodobnie z 1215 r. i lapidarium ze szczątkami pochowanych tu zmarłych.

Późnorenesansowy XVII-wieczny kościół pw. św. Teresy i klasztor karmelitów bosych usytuowany jest na wzgórzu. W skład zabudowań klasztornych wchodzą: dom zakonny, kościół z dzwonnicą oraz zabudowanie gospodarcze. Na terenie klasztoru znajduje się rozległy ogród oraz sad. Całość otoczona jest wysokim, zabytkowym murem. Wewnątrz świątyni na uwagę zasługuje oryginalna barokowa ambona w kształcie łodzi Piotrowej, portale z czarnego marmuru, rokokowe ołtarze boczne, stiukowa dekoracja sklepień oraz przechowywany w zakrystii XVIII-wieczny konfesjonał.

Interesujący jest również przemyski kompleks sakralny, na który składa się trzynawowy kościół św. Marii Magdaleny i Matki Bożej Niepokalanej oraz przylegający do niego klasztor franciszkanów. W świątyni warto zwrócić uwagę na ołtarz główny, którego centralnym elementem jest cudowny obraz Matki Bożej Niepokalanej z przełomu XVI/XVII w. rokokowe rzeźby chóru oraz liczne polichromie na sklepieniach.

Utrzymanie zabytków w jak najlepszym stanie w wspiera Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w latach 2016–2019 przeznaczyło na ten cel łącznie blisko 4 mln. zł. Dzięki licznym dotacjom w bazylice archikatedralnej dokonano m.in. konserwacji sklepień, boazerii i stalli oraz obrazów z prezbiterium, odrestaurowano polichromie w Kaplicy Fredry i zbudowano instalację odgromową. W klasztorze karmelitów bosych z kościołem pw. św. Teresy przebudowano instalację kanalizacji deszczowej i wykonano prace konserwatorskie drzwi i schodów. W kościele franciszkanów pw. św. Marii Magdaleny skupiono się przede wszystkim na konserwacji rokokowych rzeźb, snycerki i obrazów z Wielkiego Ołtarza oraz konserwacji technicznej i estetycznej elewacji. ●

POMNIK HISTORII

„Przemyśl – zespół staromiejski wraz z Twierdzą Przemyśl" zostały uznane za pomniki historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Goku122/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Arcydzieła sztuki romańskiej

We wschodniej części Strzelna na Wzgórzu św. Wojciecha stoją dwa romańskie kościoły wchodzące w skład unikatowego zespołu klasztornego ss. norbertanek. Kościółek św. Prokopa z XII w. to jedyny obiekt w Polsce o takiej bryle. Nawa na planie koła łączy się z kwadratowym prezbiterium z jednej i okrągłą wieżą z drugiej strony, a od północy przylegają do niej jeszcze dwie absydy.

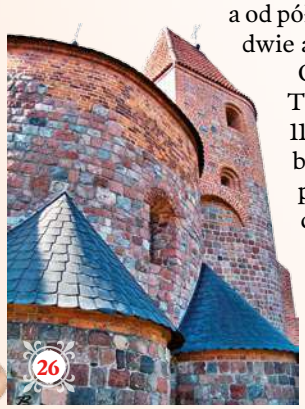

Okazały kościół pw. Świętej Trójcy wzniesiono w latach 1175–1216 w formie trójnawowej bazyliki z transeptem. Mimo późniejszych przebudów zachował romańską bryłę. Podczas prac konserwatorskich w latach 1945–1953 odkryto tu cztery romańskie kolumny schowane za obmurowaniem filarów nawy. Dwie z nich, w całości pokryte przedstawieniami figuralnymi (postaci wyobrażające cnoty i przywary), to jedyny tego typu zabytek w Polsce. Cenne są też romańskie tympanony, które można zobaczyć w pomieszczeniu muzealnym przylegającym do północnej ściany nawy. Jeden z tympanonów, z przedstawieniem Chrystusa na Majestacie, wieńczy portal zamurowanego obecnie wejścia do świątyni.

Zabytek jest objęty szczególną troską Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które od 2016 r. systematycznie przeznacza środki na jego konserwację. W ciągu zaledwie czterech lat za łączną kwotę dotacji blisko 2 mln zł odrestaurowano elewację zewnętrzną rotundy św. Prokopa, dziedzińce przed kościołami i klasztorem, zabytkowe organy Wilhelma Sauera oraz ołtarz św. Norberta. W tym roku trwają prace konserwatorskie elewacji klasztoru oraz prace budowlane mające na celu przywrócenie historycznego poziomu wzgórza klasztornego. ●

POMNIK HISTORII

„Strzelno – zespół dawnego klasztoru Norbertanek" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

betix/Polskanieznana.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Żelazny most z Huty Małapanew

27

W 1754 r. nad Małą Panwią powstała jedna z pierwszych śląskich hut żelaza. W 1789 r. doszło tu prawdopodobnie do premierowego na polskich ziemiach wytopu rudy żelaza z użyciem koksu zamiast węgla drzewnego. Specjalnością huty były odlewy, przy których stosowano prekursorskie rozwiązania, zastępując w wyrobie form odlewniczych glinę dającymi większe możliwości piaskami formierskimi. W 1827 r. w hucie powstała innowacyjna na owe czasy konstrukcja mostu, który połączył brzegi Małej Panwi tuż obok zakładu. Był to pierwszy żelazny wiszący most w Europie! Pionierowi należy wybaczyć niezbyt imponujące rozmiary: 30 m długości i 6 m szerokości. Do jego budowy użyto 14 t kutych elementów żelaznych i ponad 53 t żeliwnych odlewów.

Dawniej był mostem drogowym służącym ogółowi. Dziś znajduje się za bramą Huty Małapanew. Zakład nadal działa, dlatego most można obejrzeć tylko spoza ogrodzenia (znajduje się w odległości ok. 30 m od bramy huty). ●

POMNIK HISTORII

„Ozimek – żelazny łańcuchowy most wiszący na rzece Mała Panew" został uznany za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

Bogdan Kurys

Barwny świat polichromii

28

Zewnątrz jest to zwykły szachulcowy kościół, jakich wiele w tych stronach. Ale za drzwiami świątyni wkraczamy w barwny świat polichromii. Wrażenie potęguje rozplanowanie wnętrza kościoła, którego nawę otaczają empory (w prezbiterium nawet dwupoziomowe!). Ponad setka malowideł z XVI i XVII w. pokrywa niemal każdy kawałek ścian świątyni. Bogactwo barwnych postaci zachwyca i dziwi – wszak kościół od połowy XVI w. aż do 1945 r. służył protestantom, którzy z zasady zachowywali powściągliwość w przyozdabianiu świątynnych wnętrz. Polichromie zachowane są w doskonałym stanie i sukcesywnie są konserwowane.

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2018 i 2019 r. w kościele przeprowadzono prace konserwatorsko-budowlane przy ścianach i elewacji, prace konserwatorsko-restauratorskie przy elewacji północnej i wschodniej oraz remont konserwatorski ściany północnej, epitafium J. Kalckreutha. W sumie na te cele przeznaczono 360 tys. zł. ●

POMNIK HISTORII

„Klępsk – kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny" został uznany za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

pablo/Polskaniezwykła.pl

Magnacki majątek w służbie narodu

29

W latach 1768–1939 r. Rogalin był własnością rodziny Raczyńskich. Starosta generalny Wielkopolski i marszałek koronny Kazimierz Raczyński zbudował tu imponujący barokowo-klasycystyczny pałac, który od 1949 r. jest filią Muzeum Narodowego w Poznaniu. Jego potomek, Edward Aleksander znany jest przede wszystkim jako twórca galerii obrazów, która do dziś zdobi rogaliński pałac. Galeria ma w swoich zbiorach prace m.in: Olgi Boznańskiej, Juliana Fałata, Aleksandra Gierymskiego, Jacka Malczewskiego, Jana Matejki, Leona Wyczółkowskiego, Stanisława Wyspiańskiego.

Synami Edwarda byli Roger Raczyński (zm. 1945) – dyplomata w służbie II Rzeczypospolitej i Edward Raczyński – przed wojną ambasador Polski w Londynie, a w latach 1979–1986 prezydent RP na uchodźstwie. Rekonstrukcja londyńskiego gabinetu Raczyńskiego (z oryginalnym wyposażeniem) jest dziś eksponowana w jednym z pałacowych pomieszczeń. ●

POMNIK HISTORII

„Rogalin – zespół pałacowy z ogrodem i parkiem" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r.

Aleksander Liebert

Święty Krzyż na Łysej Górze

30

Data założenia klasztoru benedyktynów na Łysej Górze nie jest znana. Najnowsze badania przypisują fundację klasztoru i pierwszego kościoła romańskiego Bolesławowi Krzywoustemu (pierwsza połowa XII w.). Na początku XIV w. Władysław Łokietek ofiarował zakonnikom relikwiarz zawierający kawałki Drzewa Krzyża Świętego. W 1777 r. pożar strawił kościół i część klasztoru. Odbudowano je do 1806 r., ale kilkanaście lat później, po kasacie zakonu, benedyktyni opuścili Święty Krzyż.

Od 1936 r. sanktuarium opiekują się Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej. Sercem sanktuarium jest kaplica Oleśnickich, gdzie przechowuje się relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego. W podziemiach spoczywają fundatorzy kaplicy i książę Jeremi Wiśniowiecki (1612–1651), choć tożsamość jego zwłok jest podawana przez naukowców w wątpliwość. Ich zmumifikowane ciała widać przez oszklone szpary w trumnach. ●

POMNIK HISTORII

„Święty Krzyż – pobenedyktyński zespół klasztorny oraz przedchrześcijańskie obwałowania kamienne na Łysej Górze" zostały uznane za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

Jakub Halun/Wikimedia Commons (CC BY-SA 3.0)

eprasa.pl cfbace2a2b

Kościoły Pokoju z Jawora i Świdnicy

W latach 1618–1648 przez Europę przetoczyła się wojna trzydziestoletnia. Z początku miała charakter konfliktu między protestantami a katolikami, szybko jednak przeistoczyła się w batalię o dominację na kontynencie. Po latach zmagań, w 1648 r., zawarty został pokój westfalski. Na jego mocy protestancka Szwecja skłoniła katolickich Habsburgów do przyznania mieszkającym na Śląsku luteranom prawa do budowy trzech kościołów. To zezwolenie zawierało jednak uciążliwe warunki: świątynie musiały być wzniesione w ciągu roku, wyłącznie z nietrwałych materiałów (zabroniono używania cegieł, kamieni i gwoździ), miały stanąć poza murami miasta i nie mogły wyglądem przypominać dotychczas stawianych kościołów – miały być pozbawione wież. Ograniczenia, które miały uniemożliwić wybudowanie lub długie istnienie kościołów, przyczyniły się do powstania świątyń unikatowych w skali światowej. Ich wyjątkowość polega na połączeniu ogromnych rozmiarów (musiały obsługiwać wielką liczbę wiernych) z konstrukcją, której dotychczas nie stosowano w tak olbrzymich budowlach. Wszystkie świątynie zaprojektował ten sam architekt i... fortyfikator Albrecht von Saebisch.

Kościół Pokoju w Jaworze pw. Ducha Świętego wzniesiony w latach 1654–1655, może pomieścić 6 tys. osób. Aby sprostać temu zadaniu, w świątyni wybudowano cztery kondygnacje empor. Pokrywa je dekoracja malarska ze scenami z Pisma Świętego, motywami heraldycznymi i przedstawieniami rodowych siedzib szlacheckich. Kasetonowy strop zdobi błękitna polichromia z ornamentem roślinnym.

Kamień węgielny pod budowę Kościoła Pokoju pw. Świętej Trójcy w Świdnicy położono w 1656 r. Świątynia została wzniesiona w systemie szachulcowym jako budowla centralna, wybudowana na planie krzyża greckiego, a rozbudowywany z czasem obiekt mógł pomieścić na parterze i czterech piętrach empor ponad 7 tys. wiernych (w tym 3 tys. na miejscach siedzących). Na jego budowę zużyto 3 tys. dębów. W 1708 r., w czasie wojny północnej obok kościoła wybudowano dzwonnicę i szkołę ewangelicką. Oba budynki zachowały się do dziś.

Do wyjątkowo cennych elementów wyposażenia kościoła należą bogato zdobiony ołtarz z 1752 r. i ambona z 1729 r. – dzieła Gotfrieda Augusta Hoffmanna. Stropy kościoła są ozdobione malowidłami z końca XVII w., iustrującymi sceny z Objawienia św. Jana. Na uwagę zasługują także empory pokryte tekstami wersetów biblijnych i malowanymi scenami alegorycznymi, a także organy i bogato zdobiona loża rodziny Hochbergów, dobroczyńców kościoła.

Wybudowany w 1652 r. kościół w Głogowie jeszcze w XVIII w. strawił pożar.

Obie świątynie objęte są szczególną troską Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w latach 2016 – 2019 przeznaczyło na utrzymanie i renowację obu obiektów aż 5,2 mln zł. W Jaworze dzięki dotacjom dokonano m. in. zabezpieczeń konstrukcyjnych i konserwacji polichromii stropu i empor. Część środków przeznaczono także na zakup i instalację systemu wczesnego ostrzegania przed pożarem. W Świdnicy pozyskane z Ministerstwa fundusze rozdysponowano na wieloetapowe prace konserwatorskie Wielkiej i Małej Loży Hochbergów oraz empor, a także systematyczną rewitalizację pomników nagrobnych. ●

„Kościoły Pokoju z Jawora i Świdnicy" w 2001 r. wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO, w 2017 r. zaś na listę pomników historii.

becejlo/Polskaniezwykła.pl

Najpiękniejszy zespół cerkiewny w Polsce

Tuż przy granicy ukraińskiej, w zacisznym miejscu, znajduje się najładniejszy i najcenniejszy zespół cerkiewny w Polsce. Drewniana cerkiew pw. św. Paraskewy, wzniesiona w 1583 r., jest jedną z najstarszych w Polsce. W 2013 r. wpisano ją na listę UNESCO wraz z 15 innymi drewnianymi cerkwiami w Polsce i na Ukrainie. Reprezentuje typ archaiczny, sięgający swą architekturą średniowiecza. Towarzyszy jej potężna i równie stara dzwonnica z nadwieszoną, ażurową izbicą. O tym, że cerkiew pełniła też funkcje obronne, świadczy otaczający ją wysoki i gruby mur z łamanego kamienia. Od czasu, gdy w 1947 r. świątynię opuścili wysiedleni ukraińscy wierni wyznania greckokatolickiego, nie odprawia się w niej nabożeństw.

Tuż obok zespołu cerkiewnego na grodzisku zajmującym sąsiedni pagórek znajduje się cmentarz z białymi wapiennymi krzyżami pochodzącymi z warsztatów kamieniarskich z niedalekiego Starego Brusna. Jest ich tu aż 420. Nagromadzenie na niedużej przestrzeni tak wielu podobnych nagrobków sprawia wrażenie niezwykłej kompozycji rzeźbiarskiej. W roku 2016 i 2019 Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego na prace konserwatorskie przy nagrobkach przeznaczyło 200 tys. zł. ●

„Radruż – zespół cerkiewny" uznany za pomnik historii przez prezydenta RP rozporządzeniem z 22 listopada 2017 r.

Wp/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Opactwo benedyktynów w Tyńcu

34

Przybycie mnichów benedyktyńskich i fundacja opactwa w Tyńcu w połowie XI w. była przełomowym faktem historycznym dla dziejów tych okolic. Według tradycji miejscowej opactwo ufundował w 1044 r. Kazimierz Odnowiciel, syn króla Mieszka II i księżniczki kolońskiej Rychezy. Klasztor wspierał odbudowę państwa i Kościoła po reakcji pogańskiej i najeździe czeskim. Pierwszym opatem tynieckim został Aron z Cluny. W II połowie XI w. na terenie opactwa powstał zespół romańskich budowli: trójnawowa bazylika pw. Św. Piotra i Pawła oraz zabudowania klasztorne. Osada tyniecka przez wieki rozrastała się wokół opactwa. W jego bezpośrednim sąsiedztwie powstawały głównie gospodarcze budynki przyklasztorne, natomiast domy wiejskie budowano wzdłuż starej drogi z Krakowa do Oświęcimia. W 1816 r. opactwo zostało zlikwidowane przez zaborców austriackich. Mnisi wrócili do Tyńca dopiero w 1939 r., a po wojnie zajęli się odbudową zaniedbanego przez lata kompleksu. Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2018 i 2019 r. w opactwie przeprowadzono kompleksową konserwację wystroju kościoła pw. św. Piotra i Pawła. ●

POMNIK HISTORII

„Tyniec – zespół opactwa benedyktynów" został uznany za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

kazek1956/Polskaniezwykła.pl

Katedra pw. św. Stanisława i św.Wacława

Kościół pw. św. Stanisława i św. Wacława w Świdnicy jest widoczny niemal w całej okolicy. To monumentalna, gotycka budowla z elementami renesansu i baroku, której budowę rozpoczęto w 1330 r. Do jej wnętrza prowadzą cztery bogato zdobione portale. Piąty, zwany Bramą Oblubienicy, wiedzie do północnej nawy bocznej. W środku mamy do czynienia z prawdziwym festiwalem sztuki, głównie gotyckiej – możemy tu podziwiać wspaniałe rzeźby i obrazy, a także bezcenny ołtarz maryjny z 1492 r., wzorowany na ołtarzu Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie. Ciekawy jest również ołtarz główny z 1694 r., wzorowany na barokowym ołtarzu z kościoła Val de Grace w Paryżu. Warto się przyjrzeć także 103-metrowej wieży kościelnej z 1565 r., najwyższej na Dolnym Śląsku i trzeciej co do wysokości w Polsce, po wieżach kościoła na Jasnej Górze i bazyliki w Licheniu.

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznanym w latach 2016–2018 w łącznej wysokości blisko 2 mln zł przeprowadzono zakrojone na szeroką skalę prace konserwatorskie i restauratorskie przy elewacjach, jak też we wnętrzu świdnickiej katedry. Tu skoncentrowano się przede wszystkim na pracach w obrębie prezbiterium, chóru, nawy głównej oraz dolnej kaplicy Mariackiej, gdzie poddano konserwacji m. in. posadzki i dekoracje malarskie. W ramach środków europejskich MKiDN pozyskało 17 mln zł na konserwację, rewitalizację i digitalizację barokowego wnętrza katedry. ●

35

POMNIK HISTORII

„Świdnica – katedra pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika i św. Wacława Męczennika" została uznana za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

Wisnowy/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Dzieło brata Simona

Pierwsi cystersi z burgundzkiego Morimondu pojawili się nad Kamienną w 1179 r. Konwent rozpoczął działalność w tymczasowych budynkach, a ośrodek morimondzki oddelegował do Polski ekipę włoskich muratorów z mistrzem Simonem z Casamarim na czele, celem dostosowania wąchockiej filii do cysterskich standardów. W latach 1218–1239 powstały kościół pw. Matki Bożej Miłosierdzia i św. Floriana Męczennika oraz klasztor. Romańskie budynki wzniesiono z kamiennych ciosów. Ściany zbudowano z pasów piaskowca w kolorze szarym i czerwonawym. Atrakcją Wąchocka jest możliwość zwiedzania zachowanych romańskich wnętrz klasztoru: kapitularza z kamiennymi sklepieniami wspartymi na czterech kolumnach, dormitorium, czyli dawnej sypialni, fraterni służącej jako pracownia i refektarza. W klasztorze działa też ciekawe Muzeum Tradycji Narodowowyzwoleńczych. W gablotach leżą autentyczne listy naszych największych wodzów, broń, pamiątki z powstań narodowych. Większość eksponatów to dar ks. ppłk. Walentego Ślusarczyka (1904–1981), wieloletniego proboszcza z Nowej Słupi.

36

Dzięki pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2017–2019 w opactwie przeprowadzono remont dachu kościoła, dachu Domu Opata oraz dachu nad północnym skrzydłem krużganków. W sumie na te prace przeznaczono 3,5 mln zł. ●

POMNIK HISTORII

„Wąchock – zespół opactwa cystersów" został uznany za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 15 marca 2017 r.

goroff/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl cfbace2a2b

Historyczny Sandomierz

Będąc w Sandomierzu, koniecznie trzeba odwiedzić zespół klasztorny benedyktynek, z kościołem pw. św. Michała Archanioła. Zabytek pochodzi z końca XVII w. Od 1903 r. w klasztorze mieści się Wyższe Seminarium Duchowne. We wnętrzu seminaryjnej świątyni warto zobaczyć m.in. niezwykłą barokową ambonę. Jej mównica wspiera się na podstawie w formie drzewa wyrastającego wprost z piersi leżącego św. Benedykta!

Kolejnym punktem na historycznej mapie Sandomierza jest kościół św. Jakuba, jedna z najstarszych polskich świątyń, która jako jedyna przetrwała tatarski najazd i zniszczenie całego Sandomierza. Na początku lat 60. XX w. w trakcie prac archeologicznych pod posadzką klasztoru odkryto ludzkie kości. Uważa się, że są to szczątki zakonników zamordowanych przez Tatarów podczas oblężenia, o czym mają znalezione wśród okaleczonych szczątków groty strzał – wszystkie te ślady mordu sprzed wielu stuleci eksponowane są w oszklonej gablocie w północnej nawie kościoła.

Warto także zajrzeć do kościoła pw. św. Pawła Apostoła. Pierwszy, drewniany kościół został ufundowany w tym miejscu w 1226 r. przez biskupa Iwona Odrowąża. Kościół gotycki, powstały w jego miejscu w pierwszej połowie XV w. był w kolejnych stuleciach rozbudowany i przebudowany. Uwagę zwraca na barokowa kaplica św. Barbary (1706–1719). i sztukatorska dekoracja sklepień oraz snycerskie wyposażenie wnętrza – ołtarze, chór organowy, stalle w prezbiterium i ambona.

Ważnym zabytkiem sakralnym Sandomierza jest także Kościół św. Ducha pierwotnie gotycki (XV w.), barokizowany w II poł. XVII w. i w poł. XVIII w. Jest jednonawowy, z klasycystyczną fasadą i sklepieniem z XVIII w., które zastąpiło gotyckie sklepienie trójdzielno-gwiaździste.

Sandomierska katedra Narodzenia Najświętszej Maryi Panny była wznoszona etapami od poł. XIV w., została ukończona drugiej dekadzie XV w. Zachowała pierwotny układ przestrzenny i bogatą dekorację rzeźbiarską wnętrza. Na ścianach prezbiterium przetrwały polichromie z XV w., a ołtarze i portale wykonane z czarnego i różowego marmuru, to unikatowe przykłady XVII- i XVIII-wiecznych wyrobów warsztatów kamieniarskich spod Krakowa. W skarbcu katedry przechowywane są m.in. liczne inkunabuły i relikwiarz Drzewa Krzyża Świętego podarowany kolegiacie przez króla Władysława Jagiełłę w uznaniu zasług rycerstwa sandomierskiego w bitwie pod Grunwaldem. Obok katedry wznosi się warta zobaczenia barokowa dzwonnica, wybudowana w latach 1737–1743.

W ochronę zabytkowego Sandomierza zaangażowane jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w latach 2016–2019 przekazało na prace konserwatorskie we wszystkich wymienionych kościołach blisko 1,7 mln zł. Dzięki dotacjom możliwe były m.in. prace interwencyjne przy fundamentach i we wnętrzu kościoła św. Michała Archanioła, wymiana instalacji elektrycznej i konserwacja organów oraz chóru w kościele św. Pawła Apostoła czy zabezpieczenie i konserwacja piwnicy romańskiej kościoła św. Jakuba. W kościele św. Ducha przeprowadzono konserwację zabytkowych organów piszczałkowych i polichromii, a część środków została przeznaczona na konserwację krucyfiksu bazyliki katedralnej. ●

POMNIK HISTORII

„Sandomierz – historyczny zespół architektoniczno-krajobrazowy" uznany za pomnik historii przez prezydenta RP rozporządzeniem z 22 listopada 2017 r.

Jakub Halun/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Stadnina koni w Janowie Podlaskim

Nazwa Janów Podlaski kojarzy się ze słynną stadniną koni, założoną w 1817 r. Stadnina znajduje się jednak w miejscowości Wygoda, położonej 2 km na północny wschód od Janowa. Oprócz pięknych koni można tu podziwiać zabytkowy zespół stajni. Najstarsze z nich – Czołową z 1841 r. oraz Zegarową z 1848 r. – zaprojektował słynny architekt Henryk Marconi.

Dziś w Janowie hoduje się konie czystej krwi arabskiej i półkrwi angloarabskiej. Od 1970 r. w połowie sierpnia stadnina organizuje Dni Konia Arabskiego, w czasie których odbywa się Narodowy Pokaz Koni Arabskich Czystej Krwi. Polska hodowla tych koni uważana jest za najlepszą w świecie, dlatego aukcja rumaków odbywająca się dzień po pokazie przyciąga hodowców z całego świata.

Polecamy zwiedzanie stadniny z przewodnikiem, który oprowadzi po niedostępnych dla spacerowiczów stajniach i opowie o historii i dniu codziennym stadniny.

Dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2017 r. prowadzone były prace konserwatorskie i restauracyjne pięciu stajni. ●

POMNIK HISTORII

„Janów Podlaski – stadnina koni" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP 22 listopada 2017 r.

Ealdgyth/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2), Fot. Copyright 2007 Victoria Short

eprasa.pl cfbace2a2b

Bezcenne dziedzictwo kamedułów

Historia klasztoru pokamedulskiego Pustelnia Złotego Lasu w Rytwianach rozpoczyna się w 1617 r., kiedy to zatwierdzono fundację wojewody krakowskiego Jana Magnusa Tęczyńskiego. W 1637 r. biskup krakowski dokonał konsekracji wybudowanego w stylu włoskiego renesansu i wczesnobarokowym kościoła pod wezwaniem Zwiastowania NMP. W tym okresie zakończono też pierwszą fazę budowy budynków gospodarczych i umiejscowionego za świątynią eremitorium, czyli objętych klauzurą strefy domków pustelniczych. Mnisi kameduli przebywali w pustelni przez ponad dwa wieki do czasu, gdy w 1820 r. na mocy carskiej ustawy o zniesieniu klasztorów, dokonano kasacji zakonu kamedulskiego. Ostatni zakonnicy opuścili Pustelnię Złotego Lasu w Rytwianach w 1825 r., a od 1935 r. świątynia stała się kościołem parafialnym. Zachowane do dzisiaj niezwykle bogate wystrój i wyposażenie kościoła są unikatowe w skali kraju są. Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2016–2019 w kościele pw. Zwiastowania NMP dokonano licznych prac konserwacyjnych i remontowych a także zmodernizowano system sygnalizacji przeciwpożarowej i antywłamaniowej. Koszty tych prac wyniosły 1,63 mln zł. ●

POMNIK HISTORII

„Rytwiany – pokamedulski zespół klasztorny Pustelnia Złotego Lasu" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Jerzy_Zmihorski_stary/Polskaniezwykla.pl

Gotycki kościół w Wiślicy

Bazylika Narodzenia Najświętszej Marii Panny z 1350 r. ufundowana została przez Kazimierza Wielkiego. Kościół jest jedną z pierwszych w Polsce świątyń dwunawowych. Jego wnętrze zdobią gotyckie sklepienia krzyżowo-żebrowe wsparte na trzech filarach pośrodku bazyliki. Kościół został zniszczony w czasie I wojny światowej. Podczas jego odbudowy w podziemiach odkryto fundamenty dwóch wcześniejszych romańskich kościołów oraz kryptę ze słynną posadzką gipsową, tzw. posadzką wiślicką. W prezbiterium widoczne są fragmenty bizantyjsko-ruskiej polichromii z XIV w. W głównym ołtarzu umieszczono wczesnogotycką płaskorzeźbę Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus (tzw. Madonna Łokietkowa). Przy zachodniej fasadzie bazyliki stoi czterokondygnacyjna dzwonnica wzniesiona na planie kwadratu w połowie XV w. z fundacji Jana Długosza. Na częściowo zrekonstruowanym fryzie widnieją herby Korony i Litwy oraz herby szlacheckie.

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2016–2019 w zespole kolegiaty przeprowadzono liczne prace remontowo-konserwatorskie w obrębie elewacji, gotyckiego portalu kamiennego oraz dachu bazyliki, na które przeznaczono ponad 1,5 mln zł. ●

POMNIK HISTORII

„Wiślica – zespół kolegiaty pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny wraz z reliktami kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja oraz grodzisko" został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP 10 grudnia 2018 r.

jagoda56/Polskaniezwykla.pl

Katedra biskupów kujawskich

Pierwsza – romańska – katedra włocławska została zniszczona przez Krzyżaków w 1329 r. Budowę nowego – gotyckiego – kościoła pw. Wniebowzięcia NMP rozpoczęto w 1340 r. Powstało prezbiterium z trzema wielkimi oknami witrażowymi (kilkanaście kwater z tych witraży zachowało się do dziś, należą do najstarszych w Polsce). Katedra, konsekrowana w 1411 r., później była wielokrotnie przekształcana. Z dawnego wyposażenia zachowały się m.in.: obraz z końca XV w. przedstawiający Wniebowzięcie NMP, XVII-wieczny krucyfiks, zwany Tumskim, cztery obrazy słynnego malarza barokowego Bartłomieja Strobla oraz bogato rzeźbione stalle z 1683 r. Wśród kaplic otaczających katedrę najwspanialsza jest późnorenesansowa kaplica NMP, naśladująca popularny wzorzec kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. W kaplicy tej w 1924 r. święcenia kapłańskie przyjął późniejszy Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński.

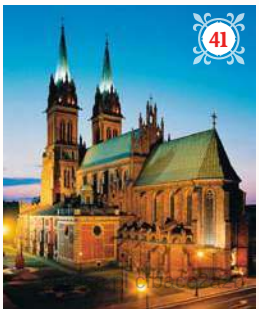

Dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2018–2019 przeprowadzono w katedrze konserwację gotyckiego Tryptyku Matki Boskiej Apokaliptycznej oraz barokowej chrzcielnicy, a także restaurację wnętrza oraz wyposażenia kaplicy Zwiastowania NMP. Na prace te przeznaczono blisko 250 tys. zł. ●

POMNIK HISTORII

„Włocławek – katedra pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny" została uznana za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r.

Dariusz Krakowiak

Nowy cykl dodatków krajoznawczych

SIECI

Już za tydzień

Nowa sieć polskich muzeów

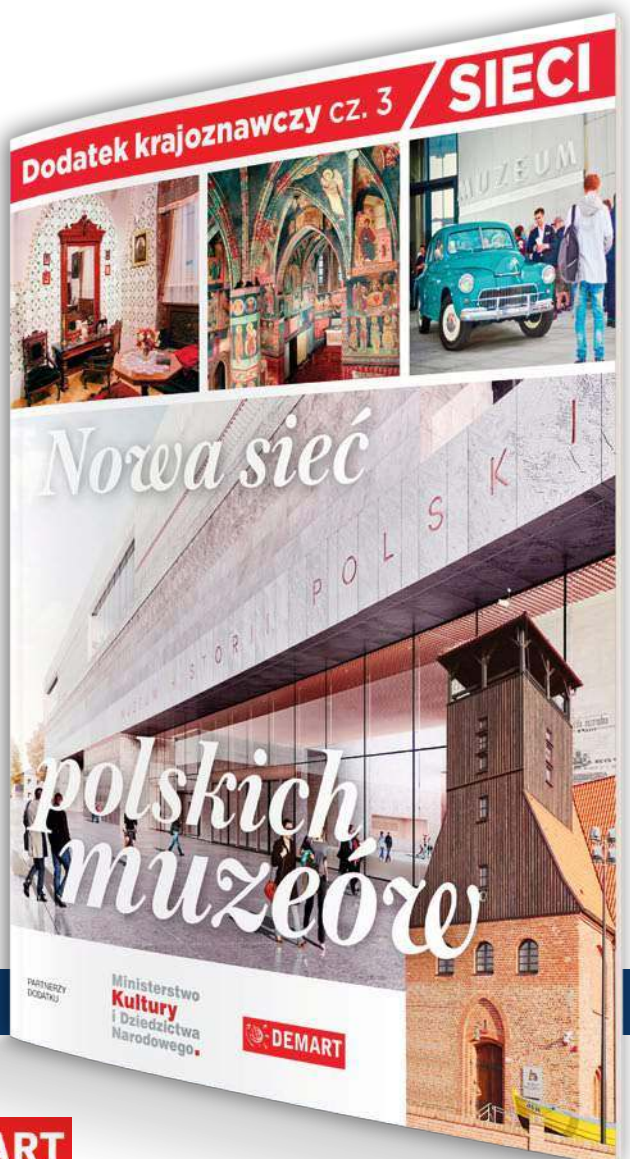

- Muzea ważne dla każdego Polaka
- Najnowsze muzea i te, które wkrótce zostaną otwarte

Poznawaj z nami Polskę!

PARTNERZY DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DEMART

Autopromocja

eprasa.pl cfbace2a2b

Teraz Obamowie produkują filmy i seriale dla Netflixa

Z polityki do show-biznesu i odwrotnie

Fot. AFP PHOTO/Jim Young/East News

eprasa.pl cfbace2a2b

ŁUKASZ ADAMSKI

Jeszcze nigdy show-biznes i polityka tak bardzo się nie przenikały. Barack Obama został gwiazdą Netflixa. W Białym Domu zastąpił go były gwiazdor telewizji Donald Trump. Rzecznika prasowego Białego Domu gra w serialu natomiast pracownik administracji Obamy

Polityka i show-biznes były na siebie skazane. Szef Fox News Roger Ailes wiedział o tym w erze przed dyktaturą mediów społecznościowych. Dlatego wymyślił poranny program „Fox & Friends", gdzie rozmawia się o polityce w luźnej formie telewizji śniadaniowej. Dziś, gdy w Białym Domu władzę sprawuje były gwiazdor telewizji, celebryta i osoba mająca swoją gwiazdę w Alei Sław w Hollywood, polityka i show-biznes nigdy nie były tak blisko.

Z HOLLYWOOD DO WASZYNGTONU

Amerykańska polityka od dawna jest złączona szczególnymi więzami z show-biznesem. Nie tylko przez mocne zaangażowanie polityczne celebrytów, lecz również przez ich aktywne wchodzenie do polityki. Trump jest najbardziej spektakularnym przykładem. Nie było nigdy w historii USA celebryty, który bez żadnego politycznego przygotowania kierowałby najpotężniejszym państwem świata. To zresztą zabawne, że najsłynniejszymi „hollywoodzkimi politykami" są republikanie, mimo że Hollywood szczególnie mocno nienawidzi prawicy. Prezydent Ronald Reagan był przecież gwiazdą Hollywood w latach 50. XX w., natomiast republikański dwukrotny gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger, zanim objął urząd, był ikoną kina akcji. Po ośmiu latach rządzenia słoneczną Kalifornią założył słoneczne okulary i wrócił do roli m.in. Terminatora. W latach 80. XX w. przez dwa lata burmistrzem Carmel w Kalifornii był natomiast Clint Eastwood. Legendarny filmowiec doradzał też przez pewien czas Reaganowi.

Ciekawe, jakby potoczyła się kariera Sonny Bono, który zmarł na skutek wypadku na nartach w 1998 r. Sonny w latach 60. XX w. stworzył muzyczny duet z Cher. Przeboje „I Got You Babe", „Baby Don't Go" czy „The Beat Goes on" wprowadziły ich do historii muzyki. Małżonkowie rozstali się w 1975 r. Bono porzucił hipisowskie życie i przeszedł na stronę konserwatyzmu. W latach 1988–1992 był burmistrzem Palm Springs. Następnie z ramienia republikanów został senatorem (1992–1994), a potem członkiem Izby Reprezentantów. Ma dziś swoich naśladowców przechodzących od liberalizmu na stronę prawicy.

Gwiazda przebojowego w latach 90. XX w. filmu i jego serialowej wersji „Słodkie zmartwienia" Stacey Dash przeszła od ról w takich telewizyjnych serialach jak „The Cosby Show", kryminalnego „CSI", „Single Ladies", przez teledyski Kanye Westa, nagą sesję w „Playboyu", aż do komentowania kultury i polityki w konserwatywnym Fox News. W 2008 r. głosowała na Baracka Obamę, ale cztery lata później zacumowała w obozie prawicowym. Głośno krytykowała rapera Jaya-Z i jego żonę Beyoncé za granie dla komunistycznego reżymu na Kubie. Walczyła z postulatami LGBT i otwarcie poparła Trumpa w 2016 r. Z ramienia republikanów startowała w Kalifornii do Kongresu w wyborach 2018 r., ale ostatecznie wycofała się z wyścigu.

OD PRAWDZIWEGO DO FILMOWEGO PREZYDENTA

Jeszcze ciekawszą drogę przeszedł amerykański aktor, komik i producent Kal Penn. Znany z seriali „Harold & Kumar",

Kadry z filmu „American Factory", wyprodukowanego przez firmę Higher Ground Productions, której właścicielami są Obamowie. Ma się on pojawić w Netflixie 21 sierpnia

eprasa.pl cfbace2a2b

Z Hollywood do polityki trafił Arnold Schwarzenegger. Filmowy Terminator był dwukrotnie gubernatorem Kalifornii

Fot. Krista Kennell/Shutterstock.com

„Dr. House" czy „Jak poznałem waszą matkę" w 2009 r. przyjął pracę w administracji Baracka Obamy jako dyrektor Biura Zaangażowania Społecznego. Po roku wrócił do Hollywood, mówiąc: „Sztuka i polityka są jak yin i yang. W polityce cenię sobie jej aspekt intelektualny, a w Los Angeles pociąga mnie kreatywność. Miło jest wrócić i móc pracować inną częścią mózgu". Polityka wciąż go jednak ciągnie, bo przyjął rolę rzecznika prasowego demokratycznego prezydenta w serialu „Designated Survivor". Trzeci sezon hitu ABC (u nas dostępny na Netflixie) z Kieferem Sutherlandem w głównej roli idealnie oddaje zaangażowanie Penna. To najbardziej liberalna produkcja o amerykańskiej polityce ostatnich lat.

Znana z serialu „Seks w wielkim mieście" aktorka Cynthia Nixon rzuciła w zeszłym roku wyzwanie burmistrzowi Nowego Jorku Andrew Cuomo. Ostatecznie przegrała w prawyborach Partii Demokratycznej, zapowiadając jednak dalszą działalność polityczną. Nixon jest skrajnie lewicową działaczką, pragnącą przesunąć Partię Demokratyczną jeszcze bardziej na lewo. Jedna z ikon programu „Saturday Night Live" Al Franken w latach 2009–2018 był lewicowym senatorem z Minnesoty. Znany z wielu komedii autor uderzających w prawicę bestsellerowych książek i gwiazda progresywnego radiowego show „The Al Franken Show" musiał się pożegnać z polityką po oskarżeniach o molestowanie seksualne w 2018 r. Nieżyjący już prawnik i aktor Frank Thompson był w latach 1994–2003 prawicowym senatorem z Tennessee. Znany z serialu „Prawo i porządek" (1990–2010), ale też epizodów, m.in. w „Na linii ognia" z Clintem Eastwoodem, starał się w 2008 r. o nominację prezydencką z ramienia Partii Republikańskiej. Przegrał prawybory z Johnem McCainem.

Jednym z najbardziej ekscentrycznych polityków w USA jest Jesse Ventura. Ten były wrestler, celebryta i aktor znany z charakterystycznych ról w „Predatorze", „Uciekinierze" (oba u boku Schwarzeneggera), „Człowieku demolce" czy „Batman i Robin" w latach 1999–2003 był gubernatorem Minnesoty. Przeszedł do historii jako jedyny kandydat niszowej Partii Reform, który w podzielonej na republikanów i demokratów Ameryce wygrał wybory na gubernatora. Potem dołączył do Zielonej Partii Stanów Zjednoczonych. Po zakończeniu kariery gubernatora próbował zaistnieć w liberalnej telewizji (jego show w MSNBC przetrwał zaledwie kilka miesięcy), popierał polityków Partii Libertariańskiej na czele z amerykańskim Korwin-Mikkem, czyli Ronem Paulem. Zatopił się też w odjechanych teoriach spiskowych dotyczących 9/11. Wyraził je w swojej książce „Don't Start the Revolution Without Me".

Ambicje polityczne ma także Cynthia Nixon znana z serialu „Seks w wielkim mieście", choć w ubiegłym roku nie udało jej się zdobyć fotela burmistrza Nowego Jorku

Fot. Kathy Hutchins/Shutterstock.com

eprasa.pl cfbace2a2b

Clint Eastwood był przez dwa lata burmistrzem kalifornijskiego miasta Carmel

Fot. Randy Miramontez/Shutterstock.com

Z WASZYNGTONU DO SHOW-BIZNESU

Nie było jednak do tej pory przypadku, by prezydenci USA po skończeniu kadencji wchodzili do show-biznesu. Oczywiście Bill Clinton czy George W. Bush nie unikali romansu z kulturą ani popkulturą. Clinton daje koncerty, grając na saksofonie, a Bush junior maluje obrazy, które potem wystawia w galeriach. Wiceprezydent z administracji Clintona Al Gore zaangażował się w walkę z globalnym ociepleniem, za co dostał Nagrodę Nobla w 2007 r. Rok wcześniej odebrał Oscara za dokumentalny film „Niewygodna prawda", do którego napisał scenariusz.

Małżeństwo Obamów chce z przytupem przebić to wszystko. Barack i Michelle Obamowie założyli firmę producencką Higher Ground Productions, która przygotuje dla Netflixa kilka dokumentów oraz film fabularny o Fredericku Douglassie. Film zostanie oparty na nagrodzonej Pulitzerem książce Davida W. Blighta „Frederick Douglass: Prophet of Freedom". Wyreżyseruje go ikona afroamerykańskiego kina – Spike Lee. Douglass (1818–1895) urodził się jako niewolnik. Potem był jednym z liderów ruchu abolicjonistów i doradcą prezydentów USA. Swoje doświadczenia opisał w książce „Narrative of the Life of Frederick Douglass, an American Slave". Obama w jednym z wywiadów powiedział, że chce za pomocą kina mówić o historii, demokracji, prawach człowieka i edukować tym samym młodzież.

Netflix jest znany z bardzo mocnej politycznej agendy. Głośno było niedawno o bojkocie przez giganta, mającego 148 mln subskrybentów, tych stanów, które zdelegalizowały u siebie aborcję. W każdej oryginalnej produkcji Netflixa pojawiają się mniejszości seksualne i tematy zgodne z wytycznymi poprawności politycznej. Małżeństwo Obamów na pokładzie serwisu nie tylko przyklepie ideologiczny skręt w lewo Netflixa, lecz jeszcze dostanie ogromną platformę do prowadzenia własnej polityki. To szczególnie ważne w 2020 r., gdy cała liberalno-lewicowa Ameryka rzuci się na Donalda Trumpa. Patrząc na żenująco słabych i pozbawionych charyzmy kandydatów Partii Demokratycznej walczących o nominację prezydencką, wciąż popularne małżeństwo Obamów z Netflixem pod pachą będzie dla lewicy ostatnią deską ratunku.

„Dotykając takich tematów, jak rasa i klasa, demokracja i prawa człowieka, wierzymy, że każda z tych produkcji nie będzie tylko rozrywką, lecz również formą edukacji i inspiracją dla nas wszystkich" – napisał w swoim patetycznym stylu Obama.

Obamowie wyprodukowali film o chińskim miliarderze („American Factory"), który otworzył fabrykę w miejscu General Motors i dał zatrudnienie 2 tys. mieszkańców Ohio. Imigrant z Chin będących na wojnie handlowej z USA Trumpa, który tworzy miejsca pracy dla Amerykanów, to idealny temat dla demokratów. Z kolei serial „Bloom" opowie o losie kobiet i czarnoskórych po II wojnie światowej. W jego produkcję zaangażowana jest scenarzystka feministycznego manifestu Ridleya Scotta „Thelma i Louise" Callie Khouri.

Nie tylko jednak działania Obamów pokazują symbiozę show-biznesu i polityki. Charyzmatyczny Obama świetnie rozumie siłę popkultury i jest kochany przez Hollywood. Nie można jednak zapominać, że nie mniejszą charyzmę ma Trump, którego Hollywood też kocha. Tylko inaczej. Kocha go nienawidzić. A on znakomicie i cynicznie tę nienawiść podsyca. Tak właśnie będzie wyglądać polityczna wojna w 2020 r. Będzie zatopiona w show-biznesie. A może sama polityka jest już tylko i wyłącznie show-biznesem?

Kal Penn, znany z serialu „Dr House", był dyrektorem Biura Zaangażowania Społecznego w administracji Baracka Obamy

Fot. Kathy Hutchins/Shutterstock.com

eprasa.pl cfbace2a2b

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

O marzeniach Szekspira

„Zakochany Szekspir" Johna Maddena to chyba najlepszy film angielski, jaki wyprodukowali Amerykanie. Z brytyjskim reżyserem i większością aktorów. Dzięki powtórce na TVP Kultura uświadomiłem sobie, że to też jeden z lepszych filmów historycznych, jakie w życiu oglądałem. Historia nie ogranicza się do polityki. Ale jest i inny powód, dla którego ten film 22 lata po swojej premierze wzruszył mnie tak mocno.

Ten rok był dla mnie rokiem Szekspira. Wiele myślałem i rozmawiałem o nim z powodu świetnej inscenizacji „Hamleta" w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, innych także, ostatnio choćby „Króla Leara" w Muzeum Powstania Warszawskiego. On wciąż żyje, wciąż opowiada nam o świecie. Po nim o wielu sprawach mówiono pełniej, z uwzględnieniem nowych komplikacji, aż po psychoanalizę. Ale on nie tylko był pierwszy, on znajdował słowa często najprostsze, zwykle najpiękniejsze. Jak więc nie pokochać filmu, w którym widzimy, jak powstawała premiera „Romea i Julii", w którym mamy zapowiedź „Wieczoru trzech króli", a i echa rozmaitych, sławnych szekspirowskich sekwencji. Kiedy lord Wessex (Colin Firth) widzi Szekspira (Joseph Fiennes) i sądzi, że to duch innego sławnego dramaturga Marlowe'a, przypomina się od razu duch Banka z „Makbeta".

Wszystko to autorzy scenariusza wymyślili. Nie wiemy, jak było. Nie znamy anegdot o tym, jak Szekspir kreował kolejne sztuki. Niektórzy kwestionowali w ogóle to, że napisał je jeden człowiek, a tu dostajemy jeszcze opowiastkę o jego romansie z panną z innej sfery, marzącą o teatrze (piękna Gwyneth Paltrow). A przecież wszystko się tu idealnie składa. Bez większych ahistoryczności, bez drażniących uwspółcześnień. Z Londynem, w którym na ulicy można być w każdej chwili polanym nieczystościami. W świecie karczm i bijatyk, bujnych temperamentów i klasowej brutalności. W świecie wyrazistych twarzy – są tu poza kapitalnymi Fiennesem i Firthem, także Geoffrey Rush, Tom Wilkinson , Ben Affleck, a Judi Dench urzeka jako królowa Elżbieta rechocąca ze skeczu z psem, przysypiająca zaś, kiedy na scenie robi się lirycznie.

W latach 90., kiedy to oglądałem, byłem na kilka lat daleko od teatru. Dziś rozumiem jak nigdy miłość do tej maszynerii, w wersji XVI-wiecznej biednej, zawiązanej na sznurek, do magii tworzenia przedstawienia ze słów i aktorów, do boskiej umowności. Jestem jak ów przedsiębiorca grany przez Wilkinsona, który z wierzyciela egzekwującego na teatrze dług, staje się współuczestnikiem tej magii. Ba, on występuje sam na scenie.

Przez stulecia było napięcie między światem możnych, władzy, i światem sztuki, często obdartej i głodnej. Kiedy lord Wessex upokarza Szekspira, my zadajemy sobie pytanie: o kim dziś pamięta świat? Kilka razy autorzy tego olśniewającego widowiska poprawiają pospolitą rzeczywistość. Czy prawdziwa królowa Elżbieta przymknęłaby oko na złamanie prawa, jakim było wystąpienie kobiety na scenie? Dopiero w drugiej połowie wieku XVII prawo zmieniono. Czy naprawdę zauważyłaby Szekspira z jego opowieścią o miłości?

Ale też film nie poszedł w wygładzaniu rzeczywistości nadto daleko. Kochankowie będą rozdzieleni i – inaczej niż w dramacie o kochankach z Werony – odpowiedzią nie jest morze krwi, ale pogodzenie się z losem. Może przypomnienie o kruchości wszelkich marzeń to największy atut „Zakochanego Szekspira". Taka jest natura świata. Szekspir używał hiperboli. My znamy wymiary prawdziwe.

Piotr Zaremba

prasa.pl dbce2a2b

Wojciech Stanisławski

Utopek w mydlinach

Przez tych kilkaset lat nostalgii za Kresami oswoiliśmy się trochę ze świteziankami i dybukami. Dobrze wiedzieć, że równie magiczny może być Śląsk

Postać Utopka vel Buksa Molendy najprościej zestawić z upiornym doboszkiem, Oskarem Matzerathem z „Blaszanego bębenka". To skojarzenie oczywiste, wręcz banalne, tak podobna wydaje się kondycja głównego bohatera, ułomnego i wiecznie niedojrzałego, trwającego na styku trzech języków i tożsamości, w żarnach historii. Buks Molenda mógłby być niemal młodszym kuzynem Oskara, wtrąconym w życie w 15 lat później i o 500 km na południe, na drugim krańcu polsko-niemieckiego łuku pogranicza: nie w Danzingu/Gdańsku, lecz w Ratiborze/Raciborzu, gęstym od gotyku mieście górnośląskim.

Pierwsze wspomnienie Buksa wiąże się z wejściem Armii Czerwonej na Śląsk, z falą gwałtów i lęków, jego dzieciństwo płynie w dusznej kamienicy, pod twardą ręką matki, w pierwszych latach instalowania się władzy ludowej. Starsi mężczyźni, nic nierozumiejący z przetaczającej się nad nimi fali, zbierają się wieczorami przy odbiorniku lampowym w nadziei, że raz jeszcze usłyszą führera, który wszystko wytłumaczy, ale w radiu ciągle słychać tylko jakiegoś Gomułkę, który w dodatku każe się tytułować ministrem Śląska.

Zgoda więc, jest Buks Molenda dalekim literackim krewnym gdańskiego karzełka, z którym łączą go również ułomność, niewrażliwość na razy, liczne cudowne ocalenia oraz słabość do trunków i kobiet. Raciborski Utopek wyszedł jednak z tych prywacji nie aż tak pokiereszowany jak Oskar: zachował w sobie ciekawość świata, odrobinę niefrasobliwości i krąg jego kuzynów literackich jest znacznie szerszy, niż wyznaczałaby zabieganym recenzentom nota wydawcy na okładce. Należy do nich przede wszystkim niezapomniany Momo z „Życia przed sobą" Romain Gary'ego, a swoistą cześć, jaką żywi Utopek dla szczątków księcia Lestka Raciborskiego, uznać można za przejmujące nawiązanie do tamtej pysznej, przesmutnej paryskiej powieści.

Pociotkami Buksa Molendy są jednak również powieściowy Forrest Gump i komiksowy Calvin (a przed nim trochę już zapomniany Dennis the Menace), szczerbaty rudzielec z okładki magazynu „Mad", a przede wszystkim Behemot – oczywiście wówczas, gdy (by zacytować kongenialny przekład Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego) „noc oderwała jego puszysty ogon, odarła go z futra, rozrzuciła strzępy sierści po mokradłach i ten, który zabawiał księcia ciemności jako kot, objawiał się teraz jako szczuplutki chłopak, demon-paź, najwspanialszy błazen, jakiego znał świat". Krótko mówiąc – wieczny trickster, śmieszek, kpiarz złośliwy, nieobliczalny i smutny, bo wieczna niedojrzałość nie pozwala mu do końca zrozumieć świata dorosłych, ich gier i relacji, więc patrzy na nich z dołu (czasem zerkając pod spódnice) i usiłuje dorosnąć, podciągnąć się, zwrócić na siebie uwagę, tłukąc talerze – a przy okazji swoimi pytaniami demaskuje, ukazuje ich świętości i tabu. Wieczny chochlik, psotnik, czarcik: czemuż by nie śląski Utopek?

Ma jednak Buks Molenda, tak samotny, a wreszcie osierocony na kartach powieści, jeszcze jeden krąg rodzinny, prócz psotliwych kuzynów: potężny ród Buendiów. Racibórz, w którym można przespać siedem lat w beczce, przez kolejnych siedem żywić się mlekiem i miodem, obywać się bez

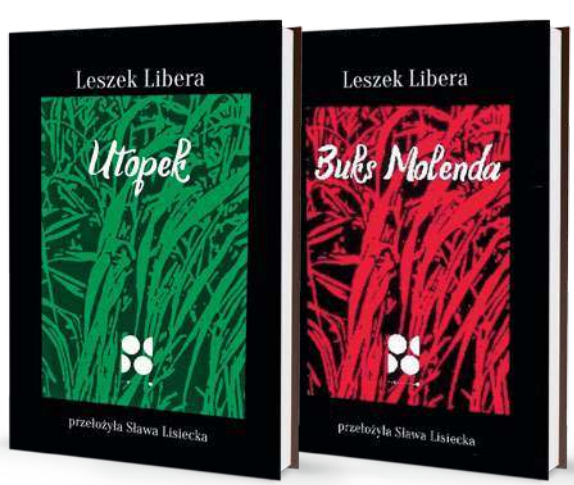

Leszek Libera, t. 1 „Utopek", t. 2 „Buks Molenda", tłum. Sława Lisiecka, Wydawnictwo Od Do, 2019

eprasa.pl cfbace2a2b

kości i wątpi, ugniatać z wosku doskonałe protezy wszelkich możliwych członków, rodzić dzieci tuzinami i wznosić się w powietrze w balonach wykonanych z włóczki i starej patelni, w którym kaktusy rozrastają się tak, że niemal rozsadzają familoki, a w głębi rozkopanej mogiły pokazuje się czeluść piekielna, wydaje się sąsiadować nie tylko z moczarami, na których ukrywają się dezerterzy z Wehrmachtu i zdziczałe krowy, lecz i z Macondo. Uświadomiwszy to sobie, mniej już musimy się troskać o losy kolejnego zaniedbanego dziecka, rozkoszując się bez wyrzutów pyszną, arcyśląską groteską. Mógłby ją zilustrować Erwin Sówka, tyle w niej wież kopalnianych, zagajników, znużonych orłów piastowskich i szczodrze obdarzonych wdziękami Barbórek.

Ale i bez ilustracji sporo się dzieje. To z pozoru grube przypowieści: lud śląski żywi się niemal wyłącznie kiszoną kapustą, jego najczęstszą przypadłością (prócz gruźlicy, lęgnącej się pod wypchanymi gęsim puchem pierzynami) są więc wzdęcia, gromko rozładowywane co akapit lub trzy. W powietrze wznoszą się chmury baniek mydlanych ze szczodrze aplikowanych lewatyw, mieszając się z pierzem i oparami samogonu, sięgając niemal stóp kuchennych krucyfiksów, a Buks Molenda docieka prawideł fascynującej go fizjologii trawienia, mieszając paralogizmy z wiedzą ze starych atlasów anatomicznych, i wszystko jawi się jak siermiężna sielanka Janoscha.

To jednak tylko pozór, pierwsza warstwa opowieści, bo lud śląski jak lawa. Bohaterowie książki o nazwiskach, które są jak ze spisu ochotników z powstania śląskiego – Hans Ciomperlik, Ferdinand Trompetta, Erwin Pijaffka – siedzą i biedzą się, czy uchodzić, czy wstąpić do ORMO, czy po prostu przywyknąć do kolejnej władzy, która rozdaje maść dziegciową, ale i morduje w coraz obszerniejszym więzieniu, a sekundują im Maryjka Porwol i Ursl Kolosska, skubiąc gęsi. W tym plebejskim świecie wielka polityka i historia są daleko, wiadomo o nich tyle, że na ścianach wieszane są zdjęcia mężczyzn z większym lub mniejszym wąsem, rzekę Oder przemianowano na „Odrę", ale do kościoła wszyscy i tak wędrują Aschengasse.

Tyle że „tutejszość" ma się już ku końcowi: pan Brzytki, który chciał się zajmować kulturą, a skończył w areszcie UB, w początkach swojej kariery przeglądał stare książki, ważąc na dłoni pisma Josepha von Eichendorffa i zapiski Józefa Lompy. Ten pierwszy – wiadomo – to piewca „urody ziemi śląskiej" w najbardziej tkliwej odmianie niemieckiego romantyzmu. Ten drugi – to organista, pisarz i nauczyciel, pamiętany dziś głównie chyba za sprawą ulic i szkół jego imienia. Mało kto sięga po jego „Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego na Śląsku" wydane w 1853 r., a od wybuchu wojny nikt (prócz pana Brzytkiego) nie widział zaginionego rękopisu, w którym po niemiecku spisał był baśnie, podania i przysłowia „des schlesisch-slavischen Volkes". Tak zaczynała się przed blisko dwoma wiekami rozgrywka o lud śląski.

O tym także jest ta powieść: o tym, co socjolodzy nazywają zgrzytliwie „przemianami autoidentyfikacji narodowej", a co w powieści słychać w języku, równie świetnie usłyszanym (wymyślonym?), jak przełożonym. Rzecz o Utopku dzieje się w magicznym Raciborzu, ale rozwija w mowie. Bardzo jestem ciekaw, czego doczeka Buks Molenda w ostatnim, niewydanym jeszcze tomie trylogii – Gierka? Solidarności? – ale już po dwa pierwsze tomy koniecznie trzeba sięgnąć; szczególnie może w rocznicę powstania, rozpoczętego przez powieściowych Trompettów i historycznych Zgrzebnioków.

Nieprzysiadalny socyalista

Na karykaturze skreślonej w dniach procesu brzeskiego i na zachowanych zdjęciach jest niemal taki sam, jajogłowy i chłodny. O jego poczuciu humoru można się przekonać, dopiero czytając jego wspomnienia. Miał rozmach, przy którym bledną dokonania Franza Fiszera: jak nie wystawienia na pośmiewisko komendanta garnizonu, gdzie służył przez trzy lata wielkiej wojny, to dopisanie nazwiska uwielbianej wówczas aktorki Zuli Pogorzelskiej na karcie do głosowania Sejmu RP nad osobą prezydenta Rzeczypospolitej, by w ten sposób zaprotestować przeciw wyborowi Ignacego Mościckiego.

Bo poseł, wykładowca i publicysta Adam Pragier protestował często, zwykle zaskakując swych bardziej zdyscyplinowanych, a może po prostu zasiedziałych na stołkach kolegów z kolejnych partii i koalicji. Niechętny wojskowemu stylowi zwolenników Piłsudskiego, w dniach „czwartej rewolucji", wiąże się z PPS-Lewicą. Wydawałoby się, że z tego ugrupowania trafić można wprost do KPP – ale nie, jesienią 1914 r. Pragier czym prędzej wstępuje do Legionów, a po 1918 r. wraca do PPS. Po roku 1926 jest coraz bardziej krytyczny wobec rządów sanacji, trafia przed wojną do twierdzy brzeskiej, a jesienią 1939 r. jest jednym z zakulisowych architektów rządu Sikorskiego – by w pięć lat później, wobec wolty Mikołajczyka, znaleźć się w gronie najbardziej nieprzejednanych wobec Moskwy. W tej jednej kwestii zdania nie zmienił: zmarł na emigracji w 1976 r.

Jego trzytomowe wspomnienia, po raz pierwszy wydane i opracowane w kraju, porównywać można najwyżej z zapiskami Karoliny Lanckorońskiej czy Henryka Józewskiego. Trudno wymienić inny pamiętnik, który zawierałby tak sugestywny obraz epoki, tyle detali – i napisany byłby z taką gotowością, by iść własną, zawsze odrębną ścieżką.

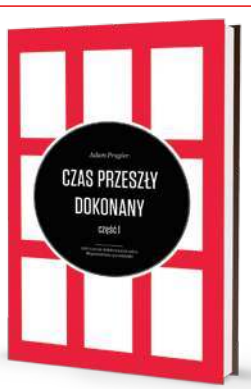

Adam Pragier, „Czas przeszły dokonany", t. I-III, wyd. Muzeum Historii Polski, Warszawa 2018

eprasa.pl cfbace2a2b

Adamski poleca

Mitologia włoskiego kina

Jest to film zrobiony dla kinomanów. Jest to film zrobiony przez człowieka zakochanego w kinie i oddającego mu hołd. To sentymentalna podróż do roku 1990, gdy na rzymskich salonach spotykali się mistrzowie włoskiego kina, nad którymi unosiła się legenda jeszcze żyjącego Felliniego.

Paolo Virzì lubi żonglerkę filmowymi gatunkami. „Kapitał ludzki", „Zwariować ze szczęścia" czy „Ella i John" są filmami zawieszonymi między komedią, dramatem a nawet kinem drogi. „Magiczne noce" to najbardziej osobisty film Virzìego. Sięga do wspomnień reżysera z czasów, gdy jako młody chłopak trafił do Rzymu przepełnionego duchem zmitologizowanego włoskiego kina.

Lato 1990 r. było bardzo włoskie. Radość przenikała się ze smutkiem. Miłość ze śmiercią. Jak to we włoskiej operze. Trwa mundial, na którym Włosi mają zdobyć upragnione mistrzostwo świata. W półfinale trafiają na mistrzów świata Argentyńczyków z bogiem Neapolu Diego Armando Maradoną w składzie. Rzuty karne. Nie trafia Donadoni ani Serena. Diego precyzyjnym strzałem pozbawia Italię finału. W tym momencie do Tybru wpada samochód z ciałem znanego włoskiego producenta filmowego. Podejrzenie pada na trójkę początkujących scenarzystów. Antonino (Mauro Lamantia), Luciano (Giovanni Toscano) i Eugenia (Irene Vetere) marzą, by wejść w świat, który dał kinu Bertolucciego, Rosselliniego, Viscontiego czy De Sicę. Jaki mają związek ze śmiercią ekscentrycznego producenta?

Kryminał służy Virzìemu tylko do rozpoczęcia opowieści o rzymskim lecie 1990 r., podczas którego rzeczywistość miesza się z magią, komedia z dramatem, a młodzieńcza naiwność zderza się z brutalnym realizmem. Neurotyczny intelektualista z Messyny Antonio, utalentowany bufon i drobny cwaniaczek Luciano i głodna bliskości i zbuntowana przeciwko rodzinie potomkini bogatego rodu Eugenia reprezentują różne włoskie namiętności, które łączy miłość do kina. Jak jednak ją zachować, skoro słyszy się od „matrony" włoskiego filmu, że „tutaj wszyscy są starzy i zmęczeni. Ale mają kontrakty".

Kino

Virzì ociera się w swojej satyrze o „Bartona Finka" Coenów, „Filmowy zawrót głowy" DiCilla i „Koniec z Hollywood" Mameta. To spojrzenie z dystansu na tych, którzy mitologizowali własny status społeczny w takich arcydziełach jak „8 i pół". Hipokryzja, kłamstwo, tanie pochlebstwa, tkwienie we własnym micie (uroczy epizod legendarnej Ornelli Muti) i w końcu brutalna śmierć. To jednak tylko powłoka przekuta w finale będącym parodią „Czystej formalności" Tornatore.

„Magiczne noce" są opowieścią o śmierci ideałów i spojrzeniu na bogów bez ich masek. Nie przez przypadek film otwiera wykonujący egzekucję na Włochach ich świecki bożek Maradona. Dał im marzenia i je skończył jednym kopnięciem. Dokładnie tego samego doświadczają bohaterowie sentymentalnej opowieści Virzìego o rzymskich wakacjach. Filmowi bogowie również dla nich okazali się surowi.

„MAGICZNE NOCE", REŻ. PAOLO VIRZÌ, DYST. AGAINST GRAVITY

DVD

Obsesja

Lisa (Maggie Gyllenhaal) jest książkową przedstawicielką klasy średniej. Trójka dorastających dzieci, kochający mąż, domek na przedmieściach Nowego Jorku i stabilna praca. Lisa jest lubianą przedszkolanką. Gdy w przedszkolu pojawia się pięcioletni Jimmi (świetny Parker Sevak), jej życie wywraca się do góry nogami.

Chłopczyk w transie konstruuje wybitną poezję. Lisa uczęszcza na kurs poezji, jednak jej wiersze są banalne i nie wzbudzają entuzjazmu charyzmatycznego wykładowcy (Gael García Bernal). Spotkanie z chłopcem, którego zapracowany ojciec nie jest specjalnie zainteresowany jego literackimi zdolnościami, prowadzi przedszkolankę do obsesji.

Nagrodzony w Sundance film Sary Colangelo jest intrygującą mieszaniną thrillera z filmem o poezji. Gyllenhaal tworzy niejednoznaczny portret kobiety rozczarowanej własnymi dziećmi zapatrzonymi w smartfony. Nie może znieść marnotrawstwa talentu. „Przedszkolanka" to niepokojący moralnie, poruszający i opowiedziany na przyciszonych nutach obraz obsesyjnej miłości do sztuki oraz przenikliwy portret sfrustrowanej kobiety.

„PRZEDSZKOLANKA", REŻ. SARA COLANGELO, DYSTR. M2FILMS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl cfbace2a2b

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Nie takie straszne te opowieści

„Upiorne opowieści po zmroku" są reklamowane jako miks „Stranger Things" i „To". Widać, że pomysłodawca horroru Guillermo del Toro (jako współscenarzysta i producent) w wyrachowany sposób zdecydował się na takie połączenie, choć uniknął modnej żonglerki popkulturą lat 80. Akcja tego filmu rozgrywa się w 1968 r. Rok przed końcem Ery Wodnika, gdy banda Mansona dokonała rzezi na Cielo Drive. Halloween. Paczka przyjaciół z liceum udaje się do nawiedzonego domu rodziny Bellowsów. Stary, ogromny dom pokryty pajęczynami jest lokalną „spooky" atrakcją. Nastoletni bohaterowie znajdują tajemniczą księgę, która wypuszcza z siebie demony, zjawy i potwory, wciągające do mrocznej krainy intruzów.

Sam Raimi z tego wyeksploatowanego przez kino na najróżniejsze sposoby motywu zrobił brawurową parodię gatunku. Trylogia „Martwe zło" bawiła na kasetach VHS w wersji z ejtisów, jak i w wersji serialowej (2015–2018). Del Toro z norweskim reżyserem André Øvredalem („Łowca trolli") w przeciwieństwie do Raimiego są śmiertelnie poważni. Na tym przegrywają, mimo udanego połączenia klimatów z horrorów o nawiedzonym domu, zombiakach, podlanych body-horrorem. Problem z „Upiornymi opowieściami

po zmroku" jest taki sam, jak z przecenianym horrorem Øvredala „Autopsja Jane Doe". Oba filmy są irytująco nierówne i rozdarte między autorski horror i masową rozrywkę. Obiecują oryginalność, a ostatecznie popadają w wyświechtaną formułę.

Bohaterowie „Upiornych opowieści po zmroku" oglądają w kinie samochodowym hit 1968 r. „Noc żywych trupów". Film George'a Romero dał początek jednemu z najważniejszych gatunków horroru w historii kina. Del Toro i Øvredal, przekładając grozę obrazkami z kroczącego po prezydenturę Richarda Nixona, nawiązują oczywiście do zwycięstwa Trumpa w walce o prezydenturę. Akcja filmu rozgrywa się w apogeum wojny w Wietnamie. Demony są wypuszczone z nawiedzonego domu wraz marszem najbardziej znienawidzonego przez lewicę (poza Trumpem) prezydenta USA. Demony del Toro mają nam podskórnie wszczepić opowieść o współczesnej Ameryce. Tyle że nie mówią więcej niż w „Kształcie wody". Tam zło płynęło ze strony amerykańskiego militarnego imperializmu. Tutaj rodzi się w arystokratycznej rodzinie tłamszącej „inność".

Jest w tym filmie kilka wizjonerskich scen. Tłusta Baba Jaga na szpitalnym korytarzu, pająki zagnieżdżone pod skórą policzka czy ożywający strach na wróble zapadną wam na dłużej w pamięć. Del Toro („Labirynt Fauna") i Øvredal stworzyli w swoich horrorach sugestywne stwory, co predestynowało ich na ekranizatorów mrocznych opowiadań Alvina Schwartza pod tym samym tytułem. Problem w tym, że nie dopracowali scenariusza, który poza kilkoma wspomnianymi wyżej scenami, nuży. Filmowe dzieciaki nie mają charyzmy małolatów z „To" Muschiettiego, nie mówiąc już o przeżywających nie mniej przerażające przygody licealistów ze „Stranger Things". Niech sobie Del Toro snuje opowieści o amerykańskich demonach w erze nowego Nixona. Niech jednak przy okazji bardziej straszy, niż zanudza.

„UPIORNE OPOWIEŚCI O ZMROKU", REŻ. ANDRÉ ØVREDAL, DYSTR. KINO ŚWIAT

Cuchnąca katolicka Polska

VOD

Młoda dziewczyna (Sandra Drzymalska) zostaje zmuszona przez swojego chłopaka do prostytucji w Niemczech. Udaje jej się w końcu uciec i powrócić do rodzinnego, prowincjonalnego miasteczka w Polsce B. Tutaj czeka na nią koszmar jeszcze większy. Jej rodzina jest bowiem katolicka. A to oznacza, że dom jest przepełniony obłudą, zakłamaniem i zdradą. Ojciec jest tchórzem.

Matka (Agnieszka Warchulska) to okropna dewotka, która woli córkę zamknąć w psychuszce, niż pomóc jej zwalczyć traumę. Ula kiedyś była chlubą rodziny. Śpiewała pięknie w chórze kierowanym przez księdza erotomana i alkoholika (Tomasz Sobczak), mającego nawet dziecko z własną bratową. Polska B jest brudna, śmierdząca i wszyscy chodzą w niej nawaleni. Nie ma nic o 500+, ale pewnie bierze je po kryjomu nawet „zły klecha".

Żenująco plakatową i szeleszczącą papierem filmową publicystykę nakręciła Magdalena Łazarkiewicz, dająca nam kiedyś takie filmy jak „Ostatni dzwonek" i „Na koniec świata". Artystka zamieniła się w radykalną publicystkę. Efekt widoczny jest na ekranie tej czarno-czarnej wizji „moherowej Polski".

„POWRÓT", REŻ. MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ. FILM DOSTĘPNY W SERWISACH VOD

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. NAC

Co dziś myśli zagranica o niemiecko-sowieckiej inwazji na Polskę

Nieustanne handlowanie prawdą historyczną dla bieżących potrzeb i interesów powoduje, że historię Polski piszą za nas inni, często nasi wrogowie

MARIA SZONERT-BINIENDA

Ze swej natury Polska posiada pewien stopień wpływu na Niemcy i Rosję. Jest bowiem kluczem do tego, kto kontroluje Europę – takie stwierdzenie padło w tegorocznym konkursie na esej historyczny na temat niemiecko-sowieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 r.

Konkurs ten został przeprowadzony przez Instytut Polonia z siedzibą w Kalifornii w związku z 80. rocznicą wybuchu II wojny światowej. Skierowany był do osób angielskojęzycznych w wieku od 18 do 30 lat. Większość uczestników pochodziła ze Stanów Zjednoczonych, ale były też zgłoszenia z Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Zarówno młodzi Polacy w kraju, jak i młodzież polonijna stanowili nieznaczny procent wszystkich uczestników, niestety wykazując stosunkowo małe zainteresowanie tą ważną dla nas tematyką.

Uczestnicy konkursu mieli za zadanie przeanalizować wydarzenia prowadzące do wybuchu II wojny światowej, niemiecką wojnę informacyjną i sowiecką propagandę przeciw Polsce, rolę mniejszości niemieckiej w II RP, rolę mniejszości narodowych we wschodniej Polsce, cele polityczne niemieckiej i sowieckiej inwazji na nasz kraj, zakres niemiecko-sowieckiej eksterminacji etnicznych Polaków w latach 1939–1941 oraz wpływ niemiecko-sowieckiej kolaboracji na sytuację międzynarodową. Ze względu na duży, międzynarodowy odzew konkurs ten pozwala na pogłębioną ocenę obecnej międzynarodowej percepcji historii Polski związanej z wybuchem II wojny światowej.

W najlepszych pracach konkursowych znajdujemy wiele istotnych wątków. Młodzi ludzie podkreślają, że wyjątkowo barbarzyńska niemiecko-sowiecka okupacja spowodowała, iż to właśnie Polska stała się najbardziej zdewastowanym krajem Europy w czasie II wojny światowej oraz w jej następstwie. Oba mocarstwa konsekwentnie zmierzały do zniszczenia zarówno infrastruktury, jak i całej tkanki narodu polskiego oraz jego ducha. Zwracają też uwagę, iż mało kto rozumie dziś psychologiczne rany, jakie ta masowa i skoordynowana eksterminacja wycisnęła w narodzie polskim. Młodzi naukowcy podkreślają również, iż niestety dziś niewielu ludzi na świecie ma świadomość tego, jak bardzo Polacy ucierpieli w czasie II wojny światowej. Dostrzegają, że w Polsce terror był znacznie większy niż gdziekolwiek indziej, a Polacy byli więzieni we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych. Podkreślają, iż Polacy ucierpieli znacznie bardziej, niż jest to powszechnie uznane.

Wiele uwagi poświęcają też zdradzie aliantów wobec Polski. Odnosząc się zarówno do zdrady Polski przez Anglię i Francję we wrześniu 1939 r., jak też do zdrady Amerykanów i Brytyjczyków w końcowym okresie wojny, jeden z uczestników zauważa, że ani rząd amerykański, ani żaden rząd europejski nie pomogły Polakom w odbudowaniu ich kraju po wojennej dewastacji.

Wspomniane publikacje niestety stanowią mniejszość wśród prac konkurso-

eprasa.pl cfbace2a2b

wych. Odróżniają się one od większości zróżnicowaniem cytowanych źródeł. To właśnie różnorodność oraz jakość źródeł, do których dotarli autorzy najlepszych prac, prowadzi ich do powyżej cytowanych wniosków.

Niestety, większość uczestników konkursu korzystała z najpopularniejszych i najłatwiej dostępnych źródeł internetowych. To właśnie one prowadzą dziś młodych ludzi do stwierdzeń, że podobno istnieją dowody wskazujące na to, iż Polacy udzielali wsparcia nazistom w prześladowaniu Żydów w czasie Holokaustu. Według nich takie informacje powodują, że wiele osób nabiera nieufności w stosunku do polskiej kultury i polskich ideałów.

W większości prac konkursowych szczególnie słabo została zaprezentowana analiza eksterminacji Polaków w latach 1939–1941. Jako że większość uczestników, sięgając po ten temat, korzystała ze źródeł internetowych Amerykańskiego Muzeum Pamięci Holokaustu, nastąpił w tej analizie całkowity chaos i pomieszanie pojęć. Kilka osób ograniczyło się tu do ogólników, stwierdzając jedynie, że Polaków trzymano w gettach. We wszystkich esejach autorzy posługiwali się enigmatycznym określeniem „naziści", nie rozumiejąc tej manipulacji historycznej, której efektem jest pomniejszanie winy Niemiec za zbrodnie II wojny światowej.

Większość uczestników nie umiała też wiele napisać na temat prześladowań Polaków z rąk sowieckich. Powołując się na popularne źródła internetowe, pisano powszechnie, że Polacy z radością witali wkraczające we wrześniu 1939 r. wojska sowieckie. Takie wnioski wyciągano najczęściej na podstawie artykułu Andrzeja Wluska „Soviet Invasion of Poland 1939" dostępnego w internecie. O obronie Grodna, Lwowa, o roli mniejszości narodowych czy o zbrodniach popełnionych przez Sowietów na etnicznych Polakach w 1939 r. praktycznie nie można było się wiele dowiedzieć.

Kolejny zasadniczy problem dotyczył statystyk strat polskich w wyniku II wojny światowej. W tym zakresie panuje całkowity, skandaliczny chaos. Praktycznie każdy pisze, co chce. Autorzy sięgali do najrozmaitszych źródeł, ale wszystkie one były kompilowane przez ośrodki niepolskie. Prawie nikt nie odniósł się do źródeł Instytutu Pamięci Narodowej. Tak więc o wysokości wojennych strat Polaków decydują głównie nie Polacy, ale najczęściej osoby promujące rosyjski, niemiecki lub żydowski punkt widzenia. Dlatego też w pracach konkursowych najczęściej szacowano straty osobowe etnicznych Polaków na 1,9 mln, zgodnie z danymi podawanymi przez Amerykańskie Muzeum Pamięci Holokaustu. Również podawane straty osobowe z rąk sowieckich były nagminnie mocno niedoszacowane. Przykładów na niedoszacowanie strat polskich można mnożyć w nieskończoność. Pytanie tylko, jak długo jeszcze Polacy zamierzają na to pozwalać?

> Większość uczestników tego konkursu, powołując się na źródła internetowe, pisała, że Polacy z radością witali wkraczające we wrześniu 1939 r. wojska sowieckie

Jednym z ciekawszych wątków podejmowanych przez uczestników konkursu był temat propagandy wojennej stosowanej przez hitlerowskie Niemcy i Związek Sowiecki w przygotowaniu do agresji na Polskę. Po przeanalizowaniu tego tematu jeden z uczestników stwierdził, że umiejętne i długotrwałe oddziaływanie propagandy może spowodować, iż ludzie zaczną postrzegać niebo jako piekło, a piekło jako niebo.

Inna osoba zwróciła uwagę, iż w okresie prowadzącym do wybuchu wojny Polacy pod wpływem strachu przed Niemcami byli na tyle sparaliżowani agresją informacyjną Niemiec, że w ogóle nie byli w stanie dać odporu temu atakowi i sami nie zastosowali żadnych metod walki informacyjnej przeciw Niemcom. W efekcie zaniechania wszelkich obronnych działań informacyjno-propagandowych przez Polskę duch walki Polaków w przededniu wybuchu wojny został znacznie osłabiony. Postawiono ciekawą tezę, że brak takich działań skutecznie demobilizował Polaków w wojnie obronnej 1939 r.

Mimo że temat antypolskiej propagandy prowadzonej na Zachodzie w przededniu niemiecko-sowieckiej agresji na Polskę został obszernie i dobrze przedstawiony w niektórych pracach, to jednak groza analogii między szalejącą wówczas na Zachodzie antypolską propagandą prowadzoną przez hitlerowskie Niemcy i sowiecką Rosję a szalejącą obecnie na Zachodzie antypolską propagandą prowadzoną przez ośrodki zarówno neomarksistowskie, jak i prawicowe nie wybrzmiała należycie w pracach konkursowych.

Prawdopodobnie ta oczywista dla wielu Polaków analogia nie jest dostrzegana dziś na Zachodzie właśnie dlatego, że nasz kraj nie daje należytego odporu tej antypolskiej propagandzie, co powoduje, że głos, stanowisko i racje atakowanej Polski w sprawie zarzutów podnoszonych przeciw niej są w ogóle nieznane szerokiej opinii publicznej na Zachodzie. Dlatego też obecny, zmasowany i jednostronny atak na Polskę nie jest postrzegany jako kampania informacyjno-propagandowa przeciw naszemu krajowi.

Jedna z uczestniczek w podsumowaniu napisała, że ignorowanie cierpienia, niesprawiedliwości i prawdy dla ważniejszych celów nigdy nie doprowadza do prawdziwego pokoju. Warto odnieść te słowa do kłamstw, manipulacji i marginalizacji najnowszej historii Polski w krajach zachodnich, szczególnie angielskojęzycznych. Bierna akceptacja zakłamywania historii Polski dla ważniejszych celów czy też nieustanne handlowanie prawdą historyczną dla bieżących potrzeb powoduje, że naszą historię piszą za nas inni, często nasi wrogowie.

Warto tu zadać pytanie, dlaczego tak niewielu uczestników konkursu dotarło do internetowych materiałów i źródeł IPN w przygotowaniu swoich prac? Warto też zadać pytanie, czy istnieje instytucja państwa polskiego, której zadaniem byłoby dbanie o to, aby polski punkt widzenia na najnowszą historię Polski był jasno określony, dobrze słyszalny, w pełni zrozumiały i powszechnie znany na świecie?

eprasa.pl cfbace2a2b

B jak błąd YouTube'a

Dr Hanna Karp, medioznawca

Współczesnym światem rządzi cyfrowa technologia i globalna informacja. Kto wie więcej i szybciej niż inni, może prowadzić na każdym polu suwerenną politykę, kształtować rzeczywistość. Dziś walka toczy się o to, kto zdominuje globalną sieć informacji. Środowiska ateistyczne już ogłaszają swoje zwycięstwo, sugerując, iż religia i wiara zostaną ostatecznie pokonane za sprawą technologii cyfrowych. „Minął termin społecznej przydatności do spożycia religii, przegrała starcie z nowoczesnością" – czytamy na łamach jednej z gazet, wydanej nie w latach stalinowskich, ale w sierpniu 2019 („Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny" 10–11 sierpnia).

GLOBALNE GOTOWANIE ŻABY

Jeśli operuje się informacją na globalnym rynku mediów, można wpływać na myślenie milionów ludzi i ich sposób życia. Podpowiadać innym, co mają na określony temat myśleć, co mówić, a kiedy skorzystać ze sposobności do milczenia. Nie przypadkiem globalne medialne marki budowane są na bazie dziesiątków tzw. kanałów lifestyle'owych. A więc kanały poradnikowe wzbogacone o pasma informacyjne z życia celebrytów, gwiazd kina i estrady. Teleobecność metodą salami kształtuje świat swoich odbiorców. Widz, niby żaba gotowana w złotym półmisku, nie wie nawet, kiedy traci swoją świadomość. Mówiąc bardziej uczenie, ma przeformatowany umysł. Zaczyna myśleć i czuć inaczej niż dotychczas. Podważa dotychczasowy własny świat. Do niedawna symbolem formatowania głów była telewizja amerykańska. Francuski socjolog kultury Jean Baudrillard podczas podróży po Ameryce Północnej zaobserwował, że z czasem telewizor uruchomiony w pustym pokoju przeistoczył się w migający głos z innej planety, niby przekaz z innego świata złożony z uwalnianych beznamiętnie obrazków, nieczułych na zawarte w nich przesłanie. Baudrillard powiada, że bez trudu mógłby wyobrazić sobie globalną telewizję emitującą swoje przekazy i reklamy jeszcze długo po zniknięciu człowieka z ziemi.

YOUTUBE I JEGO WŁAŚCIWOŚCI

Rozwój komunikacji cyfrowej zmienił tradycyjne modele komunikowania. Uruchomił procesy nazwane przez hiszpańskiego socjologa mediów Manuela Castellsa rewolucją komunikacyjną. Pojawiła się możliwość komunikowania dwukierunkowego w czasie rzeczywistym i masowa komunikacja zindywidualizowana. Użytkownicy mediów cyfrowych szybko zrozumieli, co im zaoferowano. Obecna prezes serwisu YouTube Susan Wojcicki (polskie korzenie) w jednym z wywiadów w 2017 r. podkreśliła, że podstawą rozwoju globalnego kanału komunikacyjnego, którego jest szefem, było zrozumienie potrzeby wzajemnego komunikowania się nieznanych sobie ludzi. Ten fenomen i jego zrozumienie pozwoliło – jak tłumaczy Wojcicki – zbudować potęgę serwisu YouTube, funkcjonującego od 2005 r. Umożliwia on bezpłatne umieszczanie, odtwarzanie strumieniowe, ocenianie i komentowanie filmów. Czy jednak jego właściciel toleruje wszystkie treści? Rzecz jasna, nie. Dlatego ustanowił tzw. wytyczne dla użytkowników. Ma prawo usunąć treści bez wskazania konkretnego przykładu naruszenia regulaminu i bez możliwości odwołania się ich autorów. Wytyczne wskazują trzy powody usuwania zamieszczonych treści. To materiały „propagujące nienawiść", „zachowania przestępcze" i stanowiące „zniesławienie".

Każdego dnia miliony użytkowników bezpłatnie wrzucają do serwisu dziesiątki tysięcy filmików. Otwierają swoje serwisy, prowadzą wideo dzienniki. Niektóre

eprasa.pl cfbace2a2b

subkanały wskazują setki milionów subskrypcji i miliardy wyświetleń. Google i serwis YouTube zmieniły się w globalnego wychowawcę i nauczyciela młodych użytkowników sieci. Światowe lewicowe lobby, w tym Agora i „Gazeta Wyborcza", liczy na to, że za sprawą internetu nastąpi w niedługiej przyszłości przeformatowanie głów najmłodszych użytkowników sieci. A więc całkowita laicyzacja, odejście od religii najmłodszych pokoleń Polaków. „Zwrot młodych w kierunku świeckości odbywa się po cichu. Kiedy jednak za 20 czy 30 lat pierwsze niereligijne pokolenie Polaków dojdzie w końcu do władzy, to zmieni oblicze tej ziemi" – wyrażał niedawno swoją nadzieję na łamach „GW" jeden z jej autorów w artykule pod złowieszczym tytułem: „W Polsce Bóg umiera dzisiaj".

CZYSZCZENIE YOUTUBE'A

Z siły komunikacyjnej YouTube'a korzystają także środowiska po stronie prawej i konserwatywnej, zaangażowani katolicy i ich media. Choć odbywa się to z coraz większym trudem. A może z czasem stanie się w ogóle niemożliwe. Ojcowie redemptoryści 5 sierpnia otrzymali na skrzynkę mailową Radia Maryja informację z koncernu Google, iż treści udostępniane przez ich rozgłośnię naruszają wytyczne społeczności serwisu YouTube. Poinformowano, że udostępniona homilia abp. Marka Jędraszewskiego wyrażająca m.in. sprzeciw wobec ideologii LGBT została usunięta, ponieważ kwalifikowała się w określonym przez YouTube'a regulaminie jako „mowa nienawiści". Kara miała być zarazem ostrzeżeniem. Jeśli podobna sytuacja by się powtórzyła, wtedy ojcowie utraciliby możliwość przesyłania filmów, publikowania postów i przeprowadzania transmisji na żywo. Ostatecznie groziła trwała utrata dostępu do konta Radia Maryja na serwisie YouTube. Informacja lotem błyskawicy obiegła polskie media i portale internetowe.

Po raz pierwszy nauczanie hierarchy polskiego Kościoła zostało oficjalnie ocenione przez anonimowy system amerykańskiego koncernu medialnego. A eliminacja z serwisu wyglądała jak reprymenda, oskarżenie i groźba zarazem. Dodajmy, że z serwisu YouTube w niemal tym samym czasie zniknęły odcinki emitowane w telewizji internetowej wSensie.tv, a także materiały innych konserwatywnych internetowych telewizji PCh24, wRealu24, nagrania Fundacji Życie i Rodzina oraz część komentarzy publicysty Witolda Gadowskiego. Likwidowano również inne przekazy o charakterze prorodzinnym i patriotycznym.

BŁĄD CZY PRESJA?

Jednak następnego dnia koncern przywrócił usuniętą homilię. Było to możliwe, także w opinii samych ojców redemptorystów, dzięki alarmowi i presji innych. „Na szczęście wiele środowisk – w tym także internauci – bardzo szybko zareagowało na tę sytuację. Gdyby nie to solidarne wsparcie, to myślę, że homilia by nie została przywrócona" – tłumaczył o. Piotr Dettlaff CSsR.

Czym uzasadniono przywrócenie materiału? Szefowa działu polityki publicznej Google na Europę Środkowo-Wschodnią Marta Poślad (związana wcześniej z politycznym środowiskiem partii Roberta Biedronia) tłumaczyła post factum na Twitterze, że rzadko podejmują decyzję o blokadzie, która okazuje się błędna. Jeśli się tak stanie, po weryfikacji przywracają treści. Uwzględniają wówczas np. kontekst przekazów usuniętych, ich wartość dokumentalną czy wypełnianie przesłanek interesu publicznego. W tej sytuacji władze Google'a wycofały się z decyzji, choć za nią nie przeprosiły.

STREFA WOLNA OD KOŚCIOŁA

Co się naprawdę stało? Jeśli się chwilę zastanowimy, zrozumiemy, że usunięcie homilii było wysłanym w świat sygnałem o nieograniczonej władzy i bezkarności YouTube'a. W tym wypadku, parafrazując inne głośne hasło, serwis oznajmił, iż jego przestrzeń to „strefa wolna od Kościoła". Później wyglądało, jakby koncern przestraszył się własnej odwagi i odstąpił od decyzji. Ale dowiedzieliśmy się, jak panicznie i nerwowo reaguje na nauczanie Kościoła katolickiego. Dobrze jest o tym pamiętać i wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Na poważnie zacząć myśleć o tym, jak ocalić własny świat, w tym choćby zasady Dekalogu, podstawy własnej wiary i cywilizacji. A ta – jak się już okazuje każdego dnia – ma wielu wrogów. Globalne korporacje medialne stoją na straży własnych świętości – w tym wewnętrznych i firmowych regulaminów. Naszych praw, wierzeń i wartości nie mają zamiaru ani utrwalać, ani chronić.

NIE PALMY YOUTUBE'A – BUDUJMY WŁASNY

Jednak zamiast się oburzać na siłę medialną innych, zatroszczmy się o własne bezpieczeństwo informacyjne – w myśl słów Jacka Kuronia o paleniu komunistycznych komitetów. Nie miejmy złudzeń. Jeśli ktoś dzięki wielu zabiegom osiągnął informacyjny monopol, zbudował własne imperium, to nie po to, by służyć sprawie i ideom, których nie akceptuje i które traktuje jako obce. Szkoda, że ukrywa swoje intencje, ale od czasu do czasu – jak to stało się niedawno – mimowolnie też je zdradza.

Oczywiście blokowanie kanałów i usuwanie treści z pomawianiem ich twórców o „szerzenie nienawiści" to naruszenie dóbr osobistych tych, którzy tworzą nagrania, i tych, którzy je upowszechniają. I tu jest kolejne wielkie wyzwanie dla prawników.

POST SCRIPTUM: KORONKOWA ROBOTA

Zorganizowana histeria rozgłośni radiowo-telewizyjnych finansowanych przez kapitał m.in. niemiecki i amerykański, w tym m.in. Fundację Batorego, tygodnik „Polityka" i „Gazetę Wyborczą", przyniosła oczekiwany efekt. Rząd uległ. Marszałek Sejmu Marek Kuchciński podał się do dymisji. Następnego ranka, co było do przewidzenia, medialny wrzask nie zmniejszył się o jotę. Podejrzewam, że gdyby cały rząd Mateusza Morawieckiego podał się do dymisji i, posypawszy głowy popiołem, w każdym mieście zorganizował wiece przeciwko 500+, byłoby i tak za mało. Byłoby dobrze na przyszły raz, by rząd bardziej uodpornił się na histerię medialną wzniecaną w imieniu jego oponentów i nie utożsamiał plastikowej apokalipsy z głosem i wolą swoich wyborców. W przeciwnym wypadku zacznie się robić nieswojo. Ale plus dla prezesa PiS za aksamitną rekonstrukcję w rządzie i przerzucenie minister Elżbiety Witek, kobiety kruchej, choć twardej, z resortu siłowego na fotel marszałka Sejmu.

eprasa.pl cfbace2a2b

Mamy chronić skutecznie

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo kraju, ochronę najważniejszych osób w państwie, koszty nie mają najmniejszego znaczenia

Z gen. Andrzejem Pawlikowskim, byłym szefem Biura Ochrony Rządu, rozmawia Edyta Hołdyńska

Komu przysługują loty wojskowymi samolotami, zgodnie z instrukcją HEAD?

Andrzej Pawlikowski: O statusie HEAD decyduje komendant Służby Ochrony Państwa, wcześniej Biura Ochrony Rządu. To wynika z ustawy o ochronie najważniejszych osób w państwie. Takie osoby to prezydent, premier oraz marszałkowie Sejmu i Senatu. To osoby, które podlegają ochronie SOP. Status HEAD dotyczy głównie tych czterech najważniejszych osób w państwie.

Czy rodzina najważniejszych osób w państwie także jest objęta taką ochroną?

Gospodarzem i osobą chronioną na pokładzie takiego wojskowego samolotu jest osoba, która jest objęta ochroną przez SOP. Czyli jest to jedna z tych czterech osób, które wymieniłem wcześniej. Te osoby decydują, kogo na pokład tego samolotu zabrać, jako gospodarze.

Ale tego nie ma w ustawie o ochronie najważniejszych osób w państwie?

Ta ustawa o tym nie mówi. Są natomiast ściśle określone przepisy i procedury, które mówią, że takowej ochronie podlegają osoby objęte ochroną, czyli prezydent, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu. Natomiast jeśli chodzi o członków rodziny, to jest tylko zapis, który umożliwia objęcie ochroną innych osób ze względu na dobro państwa. Tu już muszą być jednak spełnione konkretne przesłanki poparte analizą zagrożenia, które wskazują, że trzeba chronić także tę osobę. Dotychczas jeżeli chodzi o ekipę obecnie sprawującą władzę, ja takich przesłanek nie widziałem i nie słyszałem, by dodatkowe osoby zostały objęte ochroną.

eprasa.pl cfbace2a2b

Loty Marka Kuchcińskiego wzbudziły kontrowersje po pierwsze, dlatego że część z nich mogła być prywatna, po drugie, dlatego że z marszałkiem Sejmu latała rodzina. W jednym wypadku wojskowym samolotem leciała tylko żona marszałka. Jak wyjaśniał marszałek, ten samolot i tak musiał wrócić do Warszawy, w związku z czym, za zgodą dowódcy, na pokład przyjęto jego żonę. Czy to jest sytuacja dopuszczalna?

O tym decyduje osoba chroniona. Zależy to oczywiście od charakteru samej wizyty. Osoby ochraniane lecą z różnego rodzaju misją. Są to wizyty oficjalne, robocze, państwowe i prywatne.

Prywatne też?

Oczywiście. SOP musi jednak zawsze poznać charakter tej wizyty. Ważne jest także, kto organizuje wizytę. Pod uwagę trzeba wziąć protokół dyplomatyczny. To organizatorzy wskazują, które osoby są niezbędne podczas takiej wizyty, jeśli chodzi o względy merytoryczne, szczególnie podczas wizyt oficjalnych. Wsparcie merytoryczne niejednokrotnie musi być zapewnione. I ta osoba musi być na pokładzie samolotu, bo będzie uczestniczyła w ważnych rozmowach, np. na poziomie międzynarodowym. Jeżeli zaś chodzi o rodzinę, to prezydent, premier czy marszałek Sejmu na wizytę oficjalną zawsze leci z małżonką. To jest norma. Zawsze tak było, jest i zapewne będzie. Bez względu na to, czy to są nasze VIP-y, czy delegacje zagraniczne. Osoba towarzysząca jest zawsze w delegacji oficjalnej. Natomiast jeżeli chodzi o te przeloty prywatne, o których słyszeliśmy w mediach, to ja jeszcze raz podkreślam: nie ma przepisu, który mówi o tym, czy członek rodziny ma lecieć, czy nie, czy ewentualnie sam może wracać z powrotem bez VIP-a. To już zależy od tzw. etyki politycznej i państwowej osoby ochranianej, której status HEAD się należy.

Czyli, jak rozumiem, w tym przypadku decyduje o tym marszałek, nie zaś dowódca.

Tak. Oczywiście jeśli doszłoby do sytuacji zagrożenia technicznego w kwestii bezpieczeństwa dla statku powietrznego w przypadku, o którym rozmawiamy, czyli o osobie, która leci bez osoby ochranianej, to dowódca pułku, któremu podlega ten statek powietrzny, ma prawo odmówić przelotu. Musi mieć jednak uzasadnienie merytoryczne. Nie trzeba tutaj zgody komendanta SOP, bo na pokładzie nie ma VIP-a.

Media opisywały przypadki, że aby odebrać marszałka z rodziną z samolotu w Jasionce pod Rzeszowem, funkcjonariusze SOP jeździli tam z Warszawy, spali w hotelu, a druga ekipa woziła marszałka już z Okęcia. Czy takie praktyki były stosowane?

Odkąd istnieje formacja ochronna, a istnieje już ponad 90 lat, takie procedury są podejmowane. Funkcjonariusze muszą w sposób właściwy i skuteczny zapewnić bezpieczeństwo osobom ustawowo ochranianym. Nie będę tu wchodził w szczegóły, bo są to informacje niejawne, by mówić, w jaki sposób to się odbywa. SOP ma to jednak zrobić skutecznie, bez względu na koszty, jakie są ponoszone. Czyli nie liczą się kwestie przejazdu, opłaty za hotele, diety. To wszystko jest wliczone, zaplanowane we wcześniejszych budżetach. Ci ludzie muszą tę pracę wykonać w sposób stuprocentowy.

A gdyby marszałek Sejmu, druga osoba w państwie, postanowil latać liniami rejsowymi, czy byłoby to dopuszczalne ze względu na jego bezpieczeństwo?

SOP musi być przygotowana na każdą ewentualność. Czy to będą przeloty samolotami rządowymi, czy rejsowymi, musi wypełnić swoje zadanie, czyli chronić VIP-a. Bez względu na to, gdzie się znajduje. Oczywiście takie informacje musiałyby być wcześniej przekazane, bo służby muszą przygotować wszystkie kwestie dotyczące bezpieczeństwa takiego przelotu.

Ale czy byłoby to bezpieczne? Pamiętamy przecież tragiczny przykład katastrofy smoleńskiej z 2010 r. I pojawiły się pytania o to, czy może ówczesny BOR mógł zabezpieczyć wizytę lepiej. Czy zmieniając przepisy dotyczące rodziny VIP-a, nie wylejemy dziecka z kąpielą?

Zmiana przepisów to kwestia techniczna i nie ma wiele wspólnego z bezpieczeństwem. Wiele razy wypowiadałem się na temat katastrofy smoleńskiej z kwietnia 2010 r. I zawsze podkreślam, że było wiele zaniechań, także ze strony ówczesnego szefostwa BOR. Instrumenty, jakie posiadało BOR, nie zostały w pełni wykorzystane, dlatego też przygotowałem projekt powołania nowej służby z mocniejszymi instrumentami pozwalającymi chronić VIP-ów. By nie doszło do takiej tragedii, jak ta z kwietnia 2010 r. Zaraz po katastrofie koalicja PO-PSL, która przejęła władzę, mówiła o nowej instrukcji HEAD, by wzmocnić procedury dotyczące przelotu. Jednak dopiero później, z ministrem Antonim Macierewiczem, minister Beatą Kempą, kancelariami premiera i prezydenta, już kiedy zostałem szefem BOR, wznowiliśmy konkretne działania, by tę instrukcję dotyczącą organizacji i bezpieczeństwa lotów wzmocnić. Ona później została wprowadzona, już po tym jak odszedłem z BOR. Widać teraz, że musi być jeszcze doprecyzowania pod kątem także opinii publicznej. Chodzi o osoby, które mogą podróżować razem z gospodarzem podczas lotu, żeby to nie budziło już kontrowersji na przyszłość.

Wszystko udało się naprawić w nowej SOP wedle pańskiego projektu?

Nowa formacja SOP nie realizuje w 100 proc. mojego projektu. Zrealizowano tylko ok. 40 proc., ale są najważniejsze elementy, które wzmocniły te instrumenty, tj. wkomponowanie w strukturę SOP pionów operacyjno-rozpoznawczych. Wiadomo, że każda służba działa na podstawie zebranych informacji, ich analizy oraz analizy zagrożeń. Mając informacje o potencjalnych zagrożeniach, możemy podejmować działania, by zapewnić odpowiednie bezpieczeństwo. Czy to dla systemu bezpieczeństwa państwa, czy dla bezpieczeństwa najważniejszych osób w państwie. Przed katastrofą

eprasa.pl cfbace2a2b

smoleńską te komponenty mocno zawiodły. Pomiędzy służbami państwowymi, BOR i Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego krążyły informacje o ewentualnych niedogodnościach związanych z przelotem śp. prezydenta Kaczyńskiego z delegacją. Były kwestie noszące znamiona zagrożeń. I niestety ówczesne szefostwo BOR nie podjęło stosownych kroków, żeby to sprawdzić, przeanalizować i ewentualnie, jeżeli były takie zagrożenia, im zapobiec. Być może, gdyby zostały podjęte odpowiednie działania i gdyby ówczesny szef formacji, czyli gen. Marian Janicki, podjął decyzję, że ten samolot nie może lecieć, to być może ci ludzie nadal by żyli.

Wini pan byłego szefa BOR?

Nie tylko on mógł podjąć działania. Działać mogli też byli szefowie ABW, kancelarii premiera, prezydenta, ambasador Polski w Rosji. Samolot specjalny był w obszarze dyspozycji szefa kancelarii premiera Tomasza Arabskiego. Byli też ludzie, którzy odpowiadali za przygotowanie techniczne lotu. Przecież ten samolot był wcześniej na tzw. przeglądzie w Samarze w Rosji, a później się okazało, że nie do końca był również nadzorowany przez szefa kontrwywiadu wojskowego. Tu jest bardzo wiele czynników, które nałożyły się na siebie.

Czy należało też sprawdzić lotnisko w Smoleńsku, zanim podjęto decyzję o lądowaniu awaryjnym?

Oczywiście. Doskonale pamiętamy wcześniejszą wizytę premiera Donalda Tuska i jego spotkanie z premierem Władimirem Putinem. To lotnisko wówczas było nie tylko lepiej wyposażone w sprzęt naprowadzający, ale też zapewnione były wszystkie kwestie związane z bezpieczeństwem. Po tamtej wizycie była wizyta prezydenta Kaczyńskiego. I, jak wiemy doskonale, tych instrumentów, sprzętu, który miał wspierać sam proces lądowania, a później też startu, zabrakło. Zostały zdemontowane. Na pasie lotniska nie było też oczekujących funkcjonariuszy BOR. Nie było służby bezpieczeństwa, która oczekiwałaby na prezydenta z kolumnami rządowymi. Niby ten samolot, który miał lądować przed prezydentem Kaczyńskim ze sprzętem, ludźmi, nie wylądował i odleciał. To jest zastanawiające. Dlaczego nikogo nie zaniepokoiło, że na miejscu nie ma samochodu, który odebrałby prezydenta po wylądowaniu? Jest dużo znaków zapytania.

To jak należało to zrobić?

Porównuję to do wizyty prezydenckiej w Rosji, która była przygotowana przeze mnie w 2007 r., we wrześniu.

> Nie ma przepisu, który mówi o tym, czy członek rodziny ma lecieć, czy nie, czy ewentualnie sam może wracać z powrotem bez VIP-a

Była podobna sytuacja, gdzie Rosjanie 12 godzin przed lądowaniem pana prezydenta odmówili współpracy zarówno pod kątem przygotowania organizacji wizyty, jak i pod względem bezpieczeństwa. Wtedy się zaangażowałem, osobiście kontaktując się z szefem ochrony i poprzez rozmowy, ustalenia i jego wsparcie udało nam się tę wizytę zabezpieczyć. Wówczas „Gazeta Wyborcza" mocno mnie atakowała. To była obrona gen. Janickiego. Jak się później okazało, NIK to sprawdzała i prokuratura doszła do wniosku, że gdyby zabezpieczenie w 2010 r. było robione tak, jak w 2007 r. za Pawlikowskiego, to być może do tragedii by nie doszło.

To jakie wyciągnęliśmy wnioski po katastrofie jako państwo? Czy dzisiaj rzeczywiście najważniejsze osoby w państwie są chronione prawidłowo?

Osobiście wierzę, że te osoby są chronione w sposób właściwy. Na pewno lepiej niż w 2010 r. Być może mogłoby być jeszcze lepiej. Przygotowuję się do otwarcia przewodu doktorskiego na temat formacji SOP. Będę przeprowadzał badania na bazie mojego projektu SOP. Ocenię właśnie, jak to wygląda, a jak mogłoby, gdyby projekt udało się w pełni wdrożyć. Być może nie dochodziłoby do takich sytuacji, jakie mieliśmy ostatnio, czyli do wypadków samochodowych z udziałem SOP. I może nie mielibyśmy takich wątpliwości jak przy lotach marszałka.

O bezpieczeństwie pamiętamy tylko przez chwilę, najczęściej po jakiejś tragedii.

Nie tak dawno w studiu telewizji wPolsce.pl i rozmawialiśmy o zabezpieczeniu imprezy w Gdańsku po ataku nożownika na śp. prezydenta Pawła Adamowicza. Mówiliśmy o zaniechaniach, zaniedbaniach. I wtedy pani powiedziałem, że kiedy dojdzie do tragedii, nagle pojawia się wielu ekspertów. I dopiero po fakcie mówi się, jak powinno wyglądać dobre zabezpieczenie. Potem wszyscy o tym zapominają i idą w drugą stronę. Liczą każdą złotówkę wydaną na bezpieczeństwo. A jeżeli te środki bezpieczeństwa są zachowane w sposób właściwy, ale wychodzi przy tym sytuacja związana z etyką polityczną, jak w przypadku byłego już marszałka Sejmu, to jest pretekst, by pozbawiać tę osobę przywilejów. A to nie służy bezpieczeństwu ochranianych osób. Tym osobom się ochrona należy. Pełnią ważne funkcje państwowe i są objęte ustawową ochroną. To nie tylko SOP, to też wywiad, kontrwywiad, policja. Im mniej takiego szumu wobec takich osób, tym więcej korzyści i dla nich i dla bezpieczeństwa państwa polskiego.

Państwo polskie powinno chronić bez względu na koszty?

Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo kraju, najważniejszych osób w państwie, koszty nie mają najmniejszego znaczenia. Na bezpieczeństwie nie możemy oszczędzać, bo możemy tego później gorzko pożałować.

eprasa.pl cfbace2a2b

Anonimowy musiał być także sędzia

O wymiarze sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego z dr. Piotrem Szopą, historykiem z rzeszowskiego oddziału IPN, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego nie jest powszechnie znane. Zająłeś się naukowo tym tematem, a obszarem badawczym był Podokręg AK Rzeszów.

Piotr Szopa: Rzeczywiście, gdy zacząłem się zajmować tym tematem, zdziwiłem się, że na terenie rzeszowskiego podokręgu AK wymiar sprawiedliwości był tak mocno rozwinięty, bo w literaturze informacje na ten temat są bardzo skąpe. Tak jak dzisiaj sądy w czasie okupacji były zorganizowane dwutorowo – jako wojskowe i cywilne sądy specjalne.

Warunki, w jakich te sądy działały, były szczególne. Trwała przecież wojna. Jak to wpływało na ich funkcjonowanie?

W normalnych warunkach przestępca chce pozostać anonimowy. W tym przypadku anonimowy musiał być również sędzia. Problem polegał na tym, jak ukryć, że odbywa się rozprawa, a jednocześnie przeprowadzić wszystkie czynności przewidziane prawem.

Bo prawo, bez względu na warunki wojenne, działało.

Prawo było nie tyle zmienione, ile udoskonalane. Choćby statutami sądów specjalnych, które wprowadzały pewne uregulowania, życie pod okupacją różniło się bowiem od życia w czasie pokoju. Sędziowie najczęściej byli przedwojennymi prawnikami.

Podajmy przykład takiego dostosowania prawa do warunków wojennych.

Jedną ze zmian było wprowadzenie możliwości prewencyjnej likwidacji. O ile w czasie pokoju przestępstwo jest ścigane po jego popełnieniu, o tyle w warunkach wojennych chodziło np. o zapobieżenie wsypom. Bywało, że ktoś rzucił, iż idzie na gestapo zakapować sąsiada (często był to skutek sąsiedzkich waśni), i czasami już nie zdążył. Chodziło o przecięcie sytuacji, o której było wiadomo, że przyniesie ofiary.

Jakie przestępstwa najczęściej sądzono?

Wśród spraw, którymi zajmowały się podziemne sądy cywilne, bardzo wzrosła liczba tych dotyczących bandytyzmu z bronią w ręku. Zarówno sądy przedwojenne, jak i działające w czasie wojny zajmowały się

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cfbace2a2b

szpiegostwem, współpracą z wrogiem, ale w tym drugim przypadku było to na większą skalę, co pewnie wynikało z tego, że w czasie wojny okupant był u nas, a nie za granicą.

Jak wyglądały rozprawy w warunkach wojennych?

Wiadomo, że nie mogły przebiegać tak jak w czasie pokoju. Chodziło o zachowanie tajności, a jednocześnie jednak państwowego wymiaru rozprawy. W większości odbywały się w budynkach sądów. W statutach sądów podziemnych było powiedziane, że rozprawa nie powinna trwać dłużej niż 2–3 godziny. Unikano wzywania świadków, ich zeznania zbierano poza budynkiem sądu. Z tego względu trzeba było zebrać więcej zeznań świadków, by można je było weryfikować.

Wiele emocji, zwłaszcza po ukazaniu się w 2010 r. wspomnień Stefana Dąmbskiego pt. „Egzekutor", budziła działalność wykonawców wyroków śmierci, tytułowych egzekutorów. Czy ci ludzie byli jakoś specjalnie selekcjonowani?

Na początku wykorzystywano żołnierzy dywersji, potem wyspecjalizowane patrole dywersyjno-egzekucyjne. W strukturach cywilnych, podległych Delegaturze Rządu na Kraj, w 1943 r. rozpoczęto w każdym praktycznie powiecie szkolenie takiego patrolu, podległego delegatowi rządu, który miał wykonywać wyroki cywilnych sądów specjalnych. Ci ludzie również byli zaprzysiężeni, bo konspiracja to nie tylko wojsko i AK. Nieco inna była jedynie formuła przysięgi.

Jakie cechy trzeba było mieć, by zostać egzekutorem?

Stefan Rowecki „Grot", komendant główny AK, w swoim rozkazie kategorycznie zabraniał wyznaczania do akcji likwidacyjnej młodzieży poniżej 20. roku życia. Miały to być osoby starsze, z charakterem, które nie ulegają tak łatwo deprawacji. I rzeczywiście, egzekutorami byli najczęściej ludzie, którzy mieli charakter. Byli to np. przedwojenni nauczyciele, ale często także przedwojenni oficerowie w stopniu podporucznika lub porucznika.

Czy przy wydawaniu wyroków śmierci zdarzały się pomyłki?

Zdarzały. Przypadek z Rzeszowa: przychodzi patrol likwidacyjny i przed wykonaniem wyroku sprawdza personalia. Ten, który pukał do drzwi, podał się za listonosza. Dziewczyna, która mu otworzyła, podała personalia swojej siostry, która miała być zlikwidowana. Chodziło o to, że obie rywalizowały o tego samego chłopaka i ta dziewczyna chciała przejąć list od niego do siostry. Przypłaciła to życiem. I to nie jest wina patrolu egzekucyjnego, który przecież zweryfikował personalia. Ta sprawa miała ciąg dalszy: rodzice obu dziewcząt zaczęli dociekać, kto zamordował ich córkę. Z żądzy odwetu zaczęli się kontaktować z gestapo, obiecując, że wskażą tych ludzi, którzy zastrzelili córkę, a których oni widzieli. W konsekwencji za jakiś czas w Komendzie Głównej AK znalazł się meldunek o zlikwidowaniu rodziców.

> Egzekutor z Krosna dostał wyrok do wykonania – miał zlikwidować dziewczynę za współpracę z gestapo. Mimo to postanowił go zweryfikować, co było kategorycznie zakazane. Poszedł do domu tej dziewczyny i zaczął z nią rozmawiać. Zagrał w otwarte karty: zapytał, czy ona faktycznie współpracuje z gestapo

Czasami strony same starały się „odstrzelić" świadków występujących w procesie.

Tak. Przykład to sprawa dentysty z Łańcuta, którego AK skazała na karę śmierci za współpracę z Niemcami. Miał on jednak powiązania z ludowcami, którzy za wszelką cenę próbowali go ratować. Do tego stopnia, że dotarli do okręgowego delegata rządu w Krakowie, który nakazał wstrzymanie egzekucji. Świadkiem w tym procesie był burmistrz Łańcuta Jan Wojnarowicz. By tę sprawę utrącić, zastrzelono go. To było jasne, biorąc pod uwagę, że w czasie najścia, podczas którego zginął burmistrz, zidentyfikowano dwie osoby dokonujące egzekucji (nie rozpoznano tylko człowieka, który stał na czatach). Kilka miesięcy później jedna z tych osób zginęła, a wykonawcami wyroku byli żołnierze AK.

W swojej książce „W imieniu Rzeczypospolitej... Wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego na terenie Podokręgu AK Rzeszów", wydanej w 2014 r., wskazuję na wątpliwości co do słuszności niektórych wyroków, ale nie przesądzam, nie znamy bowiem całości dowodów, którymi dysponował sąd. Wiele z nich się nie zachowało, bo np. zniszczyli je komuniści. Poza tym niektóre sprawy wywoływały kontrowersje już wówczas. Byłbym ostrożny zwłaszcza w ocenie wydarzeń dziejących się w sferze politycznej, gdy chodziło np. o konflikty między ludowcami a AK czy AK a NOW. W książce wskazuję na kilka przypadków, gdy ktoś zginął być może niesłusznie.

Przy niektórych przypadkach jest twoja adnotacja: „zginął niewinnie" albo „zabity najprawdopodobniej przez komunistów". To pokazuje, że można było zginąć przypadkowo lub w wyniku bezprawnych działań komunistycznych bojówek.

Tak. Jaskrawym przykładem takiego działania komunistów jest sprawa wójta gminy Głogów Młp. Andrzeja Pacyny. Mieszkał w Przewrotnem,

eprasa.pl cfbace2a2b

gdzie było kilka niemieckich pacyfikacji. W 1944 r. kilka osób, w tym wójt, zginęło w tej wsi za współpracę z Niemcami. Mam tylko jedną wątpliwość: gdy Niemcy przyjeżdżali z listą nazwisk od konfidenta, to kto im miał wskazać, gdzie ci ludzie mieszkają? Szli do wójta jako urzędnika. I ten biedak nie miał wyjścia – musiał tych ludzi wskazać. Wójt Pacyna był wielokrotnie widziany jako ten, który chodził z Niemcami od domu do domu. Zastrzelili go komuniści, to raczej nie ulega wątpliwości. Rozpoznano podobno nawet sprawcę, znanego na tym terenie komunistę.

Co ciekawe, kontrwywiad AK miał o wójcie bardzo dobrą opinię – jako o człowieku, który z własnej inicjatywy nie angażował się w żadną współpracę z Niemcami. Franciszek Kotula, słynny etnograf, folklorysta i muzealnik, napisał o nim w swoim dzienniku: „Pacyna, chłop z Przewrotnego. Biedny człowiek. [...] Miał opinię bardzo dobrego i uczynnego człowieka, starał się o ludzi, interweniował w ich sprawach itp. Był lubiany i naprawdę miał dobrą opinię. Jako wójt był, naturalnie, świadkiem tych licznych egzekucji, podpaleń, bicia i wyczynów, jakich dokonywał II/23 Rg. SS Polizei". A społeczeństwo do dziś uważa, że zginął za współpracę z Niemcami.

Jednym z bardzo kontrowersyjnych wyroków było zlikwidowanie Stanisława Jastera „Hela". O co chodziło?

Jaster, jeden z głośniejszych konspiratorów w Warszawie, zbiegł z Auschwitz. Wraz z innymi uciekinierami wyjechali w mundurach niemieckich samochodem przez główną bramę. Wrócił do Warszawy i trafił do oddziału do zadań specjalnych komendanta głównego AK „Osa" – „Kosa". Oddział został rozbity? Dlaczego? Bo para z tego oddziału postanowiła się pobrać, a jego członkowie, łamiąc zasady konspiracji, poszli na ten ślub. Niemcy obstawili kościół i zwinęli ich. Kilka osób, w tym Jaster, nie przyszło na ślub. Wkrótce został aresztowany przez gestapo, lecz znów uciekł. Jechał samochodem osobowym pomiędzy dwoma Niemcami. Uderzył jednego, wypadł z nim z auta i zwiał. Ale to, że ciągle mu się te ucieczki udawały, wydawało się na tyle podejrzane, iż wszczęto dochodzenie. Moim zdaniem został zlikwidowany bez wyroku, a sprawa ta musi budzić kontrowersje. Jaster był potężnie zbudowanym mężczyzną, miał ok. 2m wzrostu, w czasie ucieczek mógł mieć po prostu szczęście.

Wyroki śmierci, mimo że wydane legalnie przez podziemne sądy, nie mogły pozostać bez wpływu na psychikę egzekutorów.

To prawda. Podam taki przykład: egzekutor z Krosna dostał wyrok do wykonania – miał zlikwidować dziewczynę za współpracę z gestapo. Mimo to postanowił go zweryfikować, co było kategorycznie zakazane. Poszedł do domu tej dziewczyny i zaczął z nią rozmawiać. Zagrał w otwarte karty: zapytał, czy ona faktycznie współpracuje z gestapo. Dziewczyna nie tylko się przyznała, lecz nawet pokazała mu korespondencję z gestapo w Sanoku. Zaprosił ją na spacer, poprosił, żeby poszła przodem, i wtedy ją zlikwidował.

Jeden z egzekutorów pisze po swojej pierwszej egzekucji: „Dziwnego uczucia doznałem po tym strzale, coś mnie w dołku ścisnęło. Czy może dlatego, że świadomie, z pełnym przemyśleniem strzelałem do istoty zwanej człowiekiem, czy dlatego, że go nie zastrzeliłem?". Bo rzeczywiście, nie zastrzelił tego człowieka, tylko poranił, a tamten zwiał (po wojnie miał zresztą proces za współpracę z Niemcami).

Same egzekucje też różnie wyglądały. Nie tylko strzelano. Były także tzw. ciche egzekucje, podczas których duszono lub likwidowano najczęściej przy użyciu noża. W książce opisuję też egzekucję strażnika więzienia z ul. Jagiellońskiej w Rzeszowie. Strażnik był bardzo ostrożny, pokonywał tylko trasę z domu do więzienia i z powrotem. Trzeba go więc było zlikwidować w domu. Weszli tam dwaj egzekutorzy, a tu – długa kolejka ludzi, którzy za łapówkę chcieli przekazać paczkę dla kogoś z rodziny. Egzekutorzy odczekali w kolejce i weszli do następnego pokoju, gdzie ten proceder się odbywał. Uderzyli strażnika łomem w głowę i poderżnęli mu gardło.

Rozmawiałem z kilkoma osobami, które wykonywały wyroki śmierci. Opowiadały, że do dziś podczas spowiedzi pytają księdza, co z tymi wyrokami. Jeden z egzekutorów, który wykonał wiele wyroków, opowiadał, że pamięta utkwiony w nim wzrok jednej z likwidowanych osób. Nie tych wszystkich, które zlikwidował. Tej jednej.

Takie likwidacje to było zabijanie w słusznej sprawie. Jak zabijanie wroga na wojnie.

Jednak gorsze. Wroga widziało się z daleka; był anonimowy i także uzbrojony. A tu trzeba było przyjść, stanąć twarzą w twarz z osobą, która miała być zlikwidowana, i przeczytać formułkę o likwidacji. Ta trauma zostanie egzekutorom do końca życia.

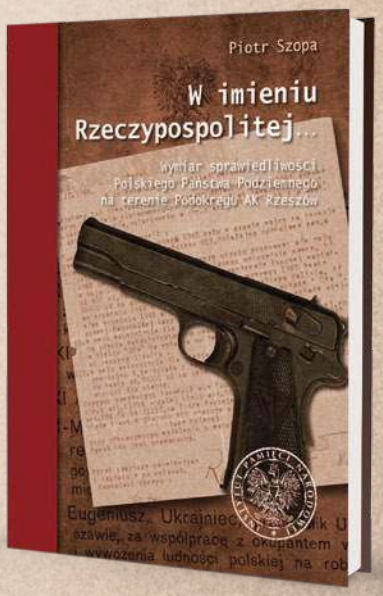

Piotr Szopa „W imieniu Rzeczypospolitej… Wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego na terenie Podokręgu AK Rzeszów", Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Rzeszowie, Rzeszów 2014.

eprasa.pl cfbace2a2b

Mongolski łącznik

Gdyby częstotliwość relacji dyplomatycznych była miarą znaczenia kraju w polityce zagranicznej, to dla Stanów Zjednoczonych jednym z istotniejszych na naszych oczach staje się Mongolia

MAREK BUDZISZ

Właśnie skończyła się wizyta szefa Pentagonu Marka Espera, który w swą pierwszą zagraniczną podróż udał się m.in. do Ułan Bator. Kilkanaście dni wcześniej mongolskiego prezydenta przyjął w Białym Domu Donald Trump, a w czerwcu w stolicy Mongolii przebywał John Bolton, doradca amerykańskiego prezydenta ds. bezpieczeństwa. Ta wizyta, odbywająca się w czasie, kiedy Trump przechadzał się z północnokoreańskim dyktatorem w strefie zdemilitaryzowanej i jako pierwszy amerykański prezydent postawił stopę na ziemi komunistycznej Korei, stała się powodem niewybrednych żarcików amerykańskiej prasy pod adresem Boltona. Pisano wówczas, że został on „zesłany" do Mongolii, kraju w wyobrażeniach wielu Amerykanów Bóg wie gdzie leżącego. Spekulowano też, że jego dni w administracji Trumpa są policzone, dowodem na co miała być właśnie wyprawa Boltona. Nic bardziej błędnego. Wydaje się, że możemy właśnie obserwować pokerową zagrywkę amerykańskiej dyplomacji, która dąży do pozyskania ważnego sojusznika, strategicznie położonego między Rosją a Chinami, państwami, z którymi Waszyngton coraz silniej rywalizuje.

KOMPLEMENTY DLA UŁAN BATOR

Anthony B. Kim, analityk wpływowego konserwatywnego think tanku The Heritage Foundation, w przeddzień wizyty mongolskiego prezydenta Chaltmaagijna Battulgi w Białym Domu napisał: „Mongolia jest strategicznym partnerem Stanów Zjednoczonych w regionie Indo-Pacyfiku. Politycy winni docenić wyjątkowe znaczenie Mongolii dla zakotwiczenia obecności Stanów Zjednoczonych w regionie". Inni komentatorzy przypominali, że Mongolia jest jednym z dziewięciu państw partnerów NATO w Azji, krajem, który zazwyczaj popiera rezolucje Stanów Zjednoczonych przedkładane w ONZ, oraz sojusznikiem, którego wojskowi uczestniczą w wielu misjach pokojowych i który wysłał swój kontyngent zbrojny zarówno do Iraku, jak i do Afganistanu. W tym ostatnim kraju nadal pozostaje 200 mongolskich żołnierzy.

W specjalnej deklaracji o partnerstwie strategicznym między Mongolią a Stanami Zjednoczonymi, która została przygotowana przez Departament Stanu, znalazły się zapisy na temat „wspólnych wartości" oraz komplementy pod adresem kraju, który granicząc wyłącznie z dwoma autorytarnymi i agresywnymi państwami, jakimi są Chiny i Rosja, był w stanie zachować niezależność w swej polityce zagranicznej, a w polityce wewnętrznej jest nadal państwem demokratycznym, szanującym wolności i swobody obywatelskie.

Amerykańscy obserwatorzy zwrócili też uwagę na to, że w opublikowanej pod koniec maja przez Departament Obrony Strategii Indoazjatyckiej Mongolia została wspomniana 17 razy, podczas gdy inni tradycyjni sojusznicy amerykańscy w regionie, tacy jak choćby Nowa Zelandia tylko 15 razy. Ma to świadczyć, ich zdaniem, o tym, że rośnie znaczenie Ułan Bator w amerykańskiej polityce powstrzymywania Rosji i Chin.

Fot. Byambasuren BYAMBA-OCHIR/AFP/East News

Prezydent Battulga, notabene były sportowiec i mistrz judo, a później przedsiębiorca, który wygrał wybory w 2017 r., startując z poparciem opozycyjnej wówczas Partii Demokratycznej, swój sukces zawdzięczał m.in. narastającej w kraju antychińskiej atmosferze, którą umiejętnie wykorzystał w swojej kampanii. Dziś jest zwolennikiem polityki, jak powiedział w trakcie spotkania w waszyngtońskim Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, utrzymywania dobrych relacji z obydwoma sąsiadami, ale również odegrania aktywnej roli w amerykańskiej strategii azjatyckiej. Obserwatorzy zwracają również uwagę

eprasa.pl cfbace2a2b

na to, że w trakcie waszyngtońskiej wizyty delegacji mongolskiej odbyło się tajemnicze spotkanie szefa administracji prezydenta Battulgi i mongolskiego prokuratora generalnego z jego amerykańskim odpowiednikiem Williamem Barrem, co świadczyć może o tym, że obecna władza poprosiła o wsparcie Stanów Zjednoczonych w tropieniu korupcyjnych powiązań poprzedniej ekipy rządzącej krajem. Uzyskane informacje i dokumenty, dotyczące oskarżanego o korupcję byłego premiera mają być ponoć wykorzystane w trakcie przygotowywanego procesu. W grę wchodzą podejrzane transakcje z rosyjskim gigantem paliwowym Rosnieft.

ROSYJSKIE OBAWY

W Moskwie zauważono deklaracje szefa Pentagonu, który w trakcie swej wizyty w Ułan Bator powiedział, że USA i Mongolia mają zamiar podnieść współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa „na wyższy poziom". Pytanie tylko, co to w praktyce może oznaczać? Rosyjscy komentatorzy zwracają uwagę na słowa Espera, który w trakcie swego pobytu w Australii mówił, że w związku z kresem układu INF o całkowitej likwidacji rakiet średniego zasięgu Stany Zjednoczone odzyskują swobodę manewru i mogą przystąpić do rozmieszczenia swych nowych pocisków w krajach azjatyckich. W opinii zastępcy szefa Wydziału Operacyjnego Sztabu Generalnego rosyjskich sił zbrojnych Wiktora Poznichira może chodzić o konwencjonalne rakiety SM-3 Block IIA, które powstają w ramach współpracy amerykańsko-japońskiej i niedługo mogą wejść do seryjnej produkcji. Według ujawnionych informacji są one w stanie przechwytywać rakiety balistyczne średniego zasięgu. A wiadomo, że 80 proc. chińskiego potencjału związane jest właśnie z rakietami o takim promieniu rażenia.

Ale to niejedyna opcja, którą mogą, zdaniem rosyjskich komentatorów, wykorzystać Amerykanie. Powołują się przy tym na wypowiedzi szefa Pentagonu w czasie jego dalekowschodniej podróży. W trakcie pobytu w Australii Mark Esper wymienił w kontekście rozmieszczenia przez Stany Zjednoczone rakiet średniego zasięgu w basenie Oceanu Indyjskiego również innych „tradycyjnych" sojuszników Stanów Zjednoczonych, takich jak Indonezja i Wietnam. Jeśli do listy możliwych lokalizacji dodać Koreę Południową oraz Japonię, a także amerykańskie bazy w Afganistanie, to zdaniem rosyjskich ekspertów wojskowych mamy do czynienia z gotowym, amerykańskim planem okrążenia Chin. Ale niewyłącznie. Generał lejtnant Jurij Natkaczew,

eprasa.pl cfbace2a2b

wypowiadający się na ten temat dla rosyjskich mediów, zwraca uwagę również na to, że instalacja przez Stany Zjednoczone rakiet w amerykańskich bazach w Japonii może zagrażać rosyjskiej flocie Oceanu Spokojnego. Gdyby zapowiadane przez Espera „podniesienie na wyższy poziom" współpracy wojskowej z Mongolią miało oznaczać perspektywę stworzenia tam amerykańskiej bazy wojennej, to w zasięgu jej oddziaływania znalazłyby się rosyjskie centra przemysłu wojskowego zlokalizowane na południowym Uralu. I wreszcie podpisanie porozumienia o współpracy między NATO a Australią jest sygnałem, zdaniem rosyjskich ekspertów, na to, że Waszyngton ma zamiar koordynować swą politykę bezpieczeństwa w Azji Południowo-Wschodniej i w Europie.

ZAGADKA UZBEKISTANU

Wielką zagadką pozostaje zachowanie Uzbekistanu, kraju, który od 2016 r., czyli od czasu kiedy po śmierci dyktatora Karimowa i objęcia władzy przez prezydenta Mirzojewa zaczął odchodzić od polityki izolacji i coraz intensywniej współpracować, również na polu wojskowym, ze Stanami Zjednoczonymi. Po wizycie prezydenta Uzbekistanu w Białym Domu w maju 2018 r., w czasie której podpisano pierwszy w historii pięcioletni plan współpracy wojskowej, odbyła się jeszcze w listopadzie 2018 r. wizyta amerykańskiej misji wojskowej w Taszkiencie. W styczniu 2019 r. oddziały uzbeckich sił specjalnych brały udział w szkoleniu w jednej z baz amerykańskich sił zbrojnych w Missisipi, a w lipcu szef Pentagonu gościł w Waszyngtonie uzbeckiego ministra obrony Bokhodira Kurbanowa. Niepokój Rosjan wzbudza myśl, że Amerykanie będą chcieli powrócić do bazy w Karszi-Chanabad, którą wykorzystywali w czasie operacji w Afganistanie w latach 2001–2005.

NOWY UKŁAD

Sceptycy, tacy jak choćby Michael E. O'Hanlon z uznawanego za sympatyzujący z demokratami Instytutu Brookinga, są zdania, że wzrost aktywności Waszyngtonu w regionie, w szczególności w Mongolii, raczej nie doprowadzi do realizacji deklaracji Espera o podniesieniu współpracy obydwu krajów w zakresie bezpieczeństwa „na wyższy poziom", bo kraje azjatyckie nie są skłonne do zawierania trwałych sojuszy. Mongolia, która wysłała swój kontyngent wojskowy na zeszłoroczne wielkie rosyjskie ćwiczenia wojskowe odbywające się na Syberii, raczej zainteresowana jest budowaniem przeciwwagi dla dominacji chińskiej, niźli generalną zmianą swej dotychczasowej polityki.

> W Moskwie zauważono deklarację szefa Pentagonu, który w trakcie wizyty w Ułan Bator powiedział, że USA i Mongolia mają zamiar podnieść współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa „na wyższy poziom". Pytanie tylko, co to w praktyce może oznaczać?

W całej zagrywce amerykańskiej dyplomacji może też chodzić o skłonienie Moskwy i Pekinu do rozpoczęcia negocjacji w sprawie nowego układu rozbrojeniowego. Świadczyć mają o tym niedawne słowa Donalda Trumpa, który powiedział, że rozmawiał już na ten temat z prezydentami Rosji i Chin. Ci mieli się odnieść, jak powiedział amerykański prezydent, do propozycji sformułowanej przez Biały Dom „z entuzjazmem". Paradoksalnie ostatnie wypowiedzi Kremla, że do ewentualnych rozmów winny zostać włączone stolice państw europejskich dysponujących arsenałem nuklearnym, czyli Paryż i Londyn, mogą świadczyć o tym, że trwają właśnie intensywne konsultacje w tej sprawie.

Z MONGOLSKIEJ PERSPEKTYWY

Jeśli idzie o relacje z Ułan Bator, to Moskwa jest w wyraźnym niedoczasie. Jej wpływy w kraju, który za czasów sowieckich uznawany był za nieformalną 16. republikę ZSRR i który w 1941 r. wprowadził cyrylicę, dziś uległy dramatycznej redukcji. Na początku czerwca w rosyjskojęzycznym portalu Mongolia Obecnie, ukazał się artykuł, którego autor opisuje relacje Ułan Bator i Moskwy w przeddzień planowanej na wrzesień wizyty Putina, twierdzi, że ze starych dobrych relacji z czasów sowieckich „dziś już nic nie zostało", a Rosja „zwyczajnie porzuciła swego poprzedniego partnera".

Pozycja rosyjskiego, niegdyś drugiego języka w kraju, została zredukowana niemal do zera. Przez 25 lat wyrosło całe pokolenie ludzi posługujących się angielskim i wykształconych na Zachodzie, którzy z północnym sąsiadem nie mają praktycznie żadnych kontaktów. Zaczyna się nawet dyskutować, czy dobrym pomysłem nie byłby, wzorem Kazachstanu, powrót do alfabetu łacińskiego. W planie gospodarczym elity mongolskie szukają możliwości równoważenia dominacji chińskiej (90 proc. eksportu kraju przechodzi przez południowego sąsiada), stawiając na relacje z państwami Zachodu, Japonią i Koreą Płd., a nie z niewiele mającą do zaoferowania Federacją Rosyjską. Tym bardziej że Moskwa, chcąca budować kolejne ropo- i gazociągi do Chin, które miałyby przebiegać przez terytorium Mongolii, raczej nie proponuje antidotum na nadmierne uzależnienie tamtejszej gospodarki od chińskiego kolosa.

Jednym z ojców zwiększonego zainteresowania waszyngtońskiej dyplomacji Mongolią jest tamtejszy ambasador Stanów Zjednoczonych, wcześniej pracujący m.in. w Kazachstanie, Moskwie i w Warszawie, Michael S. Klecheski. W jego ocenie „przyjaźń amerykańsko-mongolska nigdy w historii nie była tak silna jak obecnie". Mamy, innymi słowy, „naszego człowieka" w Ułan Bator.

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Shutterstock

Czy bać się Afryki?

Polaków udających się dalej niż do Tunezji i Egiptu jest coraz więcej. Wybierają nie tylko zorganizowane safari w Kenii czy Tanzanii, odwiedzają niemal każdy skrawek afrykańskiego kontynentu. Sam gościłem pod swym dachem w Zambii troje młodych ludzi, którzy przemierzali Afrykę rowerem. Szukali tu słońca, dzikiej przyrody i wielkich przestrzeni, będąc przekonanymi, że i we własnym domu kryć się może tyle zagrożeń, ile w dzikim buszu. Choć są oczywiście w Afryce miejsca mniej i bardziej podnoszące poziom adrenaliny. Warto o nich wiedzieć

TADEUSZ BRZOZOWSKI

Maria i Jan postanowili przemierzyć Afrykę z północy na południe, korzystając tylko z pociągów i lokalnych autobusów. Wyruszyli z Aleksandrii w Egipcie i po stu dniach, odwiedzając po drodze Sudan, Etiopię, Kenię, Tanzanię, Zambię, Zimbabwe, zakończyli swą podróż w Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki. – Niewiele wiedzieliśmy o Afryce, choć dalecy byliśmy od dostarczanej przez media wizji, że wszędzie wojny i głód, a każdy czyha, by nas obrabować i zabić. Rodzice i znajomi wyciągali jakieś stare, tragicznie kończące się historie, z gwałtami i zabójstwami w tle. Nie powstrzymali nas. Przez całą długą drogę spotykaliśmy się z życzliwością, a niepokój czy strach minął po pierwszym noclegu w Sudanie. Im dalej, tym było lepiej. A na zakończenie, w Kapsztadzie, na środku Long Sreet, turystycznego serca tego miasta, zostaliśmy otoczeni przez grupę nastolatków uzbrojonych w scyzoryk. Zabrali nam puste niemal portfele i uciekli. Nie zmieniło to naszego nastawienia do Afryki, niczego nie żałujemy – opowiada Maria, kiedy pytam ją, czy Afryka jest bezpieczna.

eprasa.pl cfbace2a2b

TU NAJBEZPIECZNIEJ

Za najbezpieczniejszy afrykański kraj od lat uchodzi Botswana. Jej stolica Gaborone ze swymi szklano-aluminiowymi wieżowcami, oddzielonymi od siebie dobrze zaplanowaną siatką czystych ulic, przypomina sąsiednią Republikę Południowej Afryki lub Australię. Co rzadkie w Afryce, większość ulic ma po obu stronach chodniki, dzięki czemu piesi nie muszą korzystać z kanałów burzowych. Bogata w diamenty i mądrych przywódców Botswana uniknęła typowego dla Afryki „przekleństwa zasobów". Dzisiaj roczne wydobycie diamentów stanowi 30 proc. PKB i aż 70 proc. całego eksportu. Dzięki swemu bogactwu Botswana pierwsza na kontynencie wprowadziła darmowe leczenie AIDS, pobudowała szkoły i szpitale.

– Choć widać tu bogactwo, bieda nie zniknęła całkowicie. Mimo sporego zróżnicowania społecznego brutalne ataki na podróżnych tu się nie zdarzają. Ten kraj to prawdziwa perła. Ale przydarzyła mi się w stołecznej restauracji historia jak z filmu „Pulp Fiction". Piliśmy kawę w dość zatłoczonej kawiarni w biznesowej części miasta, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiło się kilku uzbrojonych młodych mężczyzn. Obeszli wszystkie stoliki, zebrali do plastikowego worka portfele i biżuterię i po minucie było po wszystkim, nawet mi kawa nie wystygła. Takie napady zdarzyły się kilka razy, teraz jest spokojnie – mówi Betty, którą poznałem w Maun, prawdziwej stolicy botswańskiej turystyki. To brama do delty Okawango, wyjątkowego miejsca, gdzie wody rzeki nikną w olbrzymim bagnistym rozlewisku, z dala od jezior, mórz i oceanów.

Na liście bezpiecznych afrykańskich państw zawsze też znajdują się dwie wyspy Oceanu Indyjskiego – Seszele i Mauritius, oferujące piękną pogodę i takież plaże. Ale zagrożeń i tu nie brakuje. Wyspy odwiedzane są chętnie i licznie przez zamożnych turystów, co tworzy olbrzymi rynek dla narkotyków, szacowany na Mauritiusie na ok. 2 mld zł.

Przed dekadą australijski Instytut Ekonomii i Pokoju zaczął prezentować tzw. Indeks Globalnego Pokoju, czyli listę państw uszeregowanych według poziomu bezpieczeństwa. Lista rzecz jasna jest bardzo subiektywna, mimo że o jej rzetelność dbają niezwykle charyzmatyczne osoby, wśród których był i Dalajlama, i Kofi Annan, i Jimmy Carter, i Mary Robinson. Wspomniana Botswana od lat znajduje się wśród 30 najbezpieczniejszych krajów świata. W zestawieniu za 2018 r. była o trzy pozycje wyżej niż Polska, która jest na 32. miejscu, a o dziewięć oczek niżej niż Mauritius – miejsce 20. Niemal tuż za Polską znaleźć można kilka innych afrykańskich krajów – Sierra Leone, Ghanę, Malawi, Zambię i na całkiem wysokim, bo 38. miejscu, Madagaskar.

Od dwóch, trzech lat ta wielka wyspa na Oceanie Indyjskim stała się ulubionym miejscem wypoczynku Polaków.

> Botswana od lat znajduje się wśród 30 najbezpieczniejszych krajów świata. W zestawieniu za 2018 r. była o trzy pozycje wyżej niż Polska

Choć nie brak tu przestępczości, tej drobnej i tej poważnej z napadami z bronią i zabójstwami włącznie, Madagaskar staje się, być może dzięki turystyce, krajem coraz bezpieczniejszym. Mimo to warto uważać na tzw. taxi-brousse, czyli wszechobecne w Afryce minibusy, których kierowcy nie tylko sprawiają poważne zagrożenie na drogach, lecz często uczestniczą w ograbianiu pasażerów. To bardzo tani sposób podróżowania, dający okazję do poznania wielu ludzi, ale trzeba zachować ostrożność, nie afiszując się z kamerami i drogimi gadżetami, a najlepiej podróżować w grupie.

Na Madagaskarze, jak wszędzie w Afryce, lepiej podróżować w dzień, bo jeśli dochodzi do napadów, to z reguły po zmierzchu. Ale i w dzień na rzadko uczęszczanych szlakach trzeba uważać na zasadzki urządzane przez lokalne bandy, które blokują drogę gałęziami czy kamieniami i czekają, aż podróżni opuszczą samochód. W najlepszym przypadku wystarczy wysupłanie kilku dolarów i odegranie scenki, że płaci się za uprzejmą pomoc w usuwaniu przeszkody, ale w kontynentalnej Afryce zdarza się, że turyści tracą samochody, a nawet życie. W Zambii przez kilka miesięcy na dość ruchliwej drodze z Kafue do leżącego przy granicy z Zimbabwe Chirundu grasowała banda atakująca przed świtem podróżnych zmierzających nad jezioro Kariba bądź do Zimbabwe. Usuwających przeszkody atakowali maczetami, zabierali, co im wpadło w ręce, i znikali w buszu. Do czasu, aż sami wpadli w policyjną zasadzkę, po której słuch o nich zaginął. Podobnych niespodzianek można się spodziewać w wielu przygranicznych miejscach w Demokratycznej Republice Konga, Rwandzie, Angoli czy Kenii.

KOMARY I CYKLONY

Jednak większe żniwo niż uzbrojeni bandyci zbierają w Afryce malaria, dżuma i zabójcze cyklony. Na malarię umiera rocznie na świecie około 400 tys. osób, z czego ponad 90 proc. w Afryce. Niemal wszystkie afrykańskie kraje dotknięte są malarią, ale w Nigerii, Ugandzie, Mozambiku i Demokratycznej Republice Konga jest ona najbardziej rozpowszechniona. Przed nią nie uchroni drogi hotel ani ekskluzywny kurort. Wkrótce ma się pojawić szczepionka na nią, na razie jednak nie ma żadnego profilaktycznego leku, sprawdziłem to na własnym organizmie. Najskuteczniejsza jest moskitiera i wszystko, co odstrasza komary. Gwarancji, że nie zostaniemy zarażeni, nie ma, dlatego niespodziewane gorączki lepiej konsultować z lekarzem, o którego w Afryce niestety nie zawsze jest łatwo, a jeśli się go znajdzie, trzeba przekonać, by zrobił nam badanie krwi, zamiast od razu aplikować antybiotyki. Nieleczona malaria bywa śmiertelna.

Dżuma i cyklony atakują wschodnie wybrzeże Afryki zwykle z początkiem każdego roku. Cyklony najczęściej swój impet wyładowują na Madagaskarze, ale w tym roku bardzo ucierpiał Mozambik, który również coraz częściej odwiedzany jest przez polskich turystów.

Głównym magnesem Mozambiku są plaże ciągnące się przez ponad

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Shutterstock

2,5 tys. km. Wiele z nich można przemierzać przez kilka dni, rzadko napotykając pojedynczych rybaków. Prawdziwą perłą jest wyspa Mozambik, przyćmiewająca wszystkie inne w promieniu tysiąca kilometrów. Nie dość, że ma żółte jak z pocztówki plaże, że otoczona jest rafą koralową chroniącą przed licznie występującymi tu rekinami, to jest tu też pozostawiona przez XVI-wiecznych Portugalczyków pamiątka w postaci wioski zbudowanej z koralowca. Plaże stołecznego Maputo lepiej omijać, chyba że nie przeszkadza nam świadomość, że przybrzeżne wody mieszane są ze ściekami.

Ale nie tylko turyści ciągną do Mozambiku. Przed kilkoma laty w głębokich wodach oceanu na wysokości północnej części kraju odkryto jedne z najbogatszych na świecie złóż gazu. Szacunki przyszłych zysków, biorące pod uwagę tylko wpływy z podatków płaconych przez siłą rzeczy zagraniczne konsorcja wydobywcze, już zawróciły w głowach politykom z jednej, a przestępcom z drugiej strony. Politycy zadłużyli kraj na miliardy dolarów, przestępcy za cel obrali sobie przybyłych z Włoch i Stanów Zjednoczonych pracowników, zasłaniając się koniecznością walki z niewiernymi. Od jesieni 2017 r. w tej części Mozambiku zginęło w wyniku terrorystycznych ataków ok. 150 osób. Lepiej omijać Cabo Delgado leżące na pograniczu Mozambiku i Tanzanii.

WYPADKI DROGOWE I… MINY

Wspomniany indeks pokoju pokazuje ciekawy przypadek Gambii, która w ciągu roku poprawiła swoją pozycję aż o 35 punktów i w 2018 r. znalazła się na 76. miejscu na 163 badane kraje. To najmniejszy afrykański kraj, z trzech stron otoczony przez Senegal, na zachodzie sięgający wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. Od trzech lat, po demokratycznym przemianach, szybko nadrabia stracony czas. Zaczęli od powrotu do Wspólnoty Brytyjskiej, którą opuścili w 2013 r. I choć wciąż wyjeżdża stąd do Europy mnóstwo młodych mężczyzn, to w drugą stronę przybywa coraz więcej turystów. Każdy chce zobaczyć wioskę Juffure, znaną głównie z tego, że pochodził z niej Kunta Kinte, zbuntowany niewolnik z powieści Alexa Haleya „Korzenie". Wioska wciąż otoczona jest gęstą dżunglą, w której łowcy niewolników schwytali Kunta Kinte, wciąż też żyją jego potomkowie, sam Haley utrzymywał, że jest jednym z nich.

Gdybym nie wiedział, że Gambia znajduje się na 76. miejscu na liście najbezpieczniejszych krajów świata, pomyślałbym, że jest bezpieczniejsza od Islandii. No, gdyby nie koszmarne warunki na drogach i mnogość wypadków, ale to przypadłość całej Afryki, gdzie znajduje się 2 proc. poruszających się po świecie samochodów i gdzie dochodzi do ponad 20 proc. wszystkich wypadków. Statystycznie najgorzej wygląda Namibia z najwyższym na świecie wskaźnikiem wypadków drogowych na jednego mieszkańca. Większość Namibii to dwie pustynie, gdzie drogi nie mają żadnej utwardzonej nawierzchni. Co kilka dni pustynne szlaki przemierzają ciężkie maszyny ubijające piasek. Ale turyści, przyzwyczajeni do europejskiego asfaltu, nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa i mkną wielkimi toyotami, jakby byli na zorganizowanym rajdzie. Wiele z tych samochodów tkwi latami na poboczu, wtapiając się w piekielny krajobraz pustyni.

Problemem jest też powszechny brak jakichkolwiek badań technicznych i potwierdzonych zdanym egzaminem praw jazdy, które w wielu afrykańskich krajach są kupowane na czarnym rynku. – To są włamania, a to wypadki drogowe – wyjaśnił mi problem policjant z komisariatu w Piton na Mauritiusie, wskazując na dwa stosy dokumentów. Pierwszy liczył może kilkanaście teczek, drugi nie mieścił się na sporym stole. – 200 tys. pojazdów nie ma jakichkolwiek dokumentów, przeglądu technicznego, ubezpieczenia, nie są nawet zarejestrowane – dodał. Dodam, że na Mauritiusie żyje nieco ponad 1,2 mln ludzi.

Jest w Afryce jeszcze jedno poważne zagrożenie, raczej niegroźne dla tych, którzy przebywają w turystycznych miejscach, ale na które uważać musi każdy, kto zbacza ze szlaku. To miny. O ile w Egipcie wciąż wykopuje się te pamiętające czasy II wojny światowej, o tyle w Angoli pod ziemią tkwią miliony, będące pozostałością całkiem niedawnych konfliktów z RPA i własnymi rebeliantami. Solidnie zaminowane są ziemie wciąż nieuznawanego przez świat Somalilandu, Burundi i Sudanu, choć nie są to kraje tłumnie odwiedzane przez turystów. Niemal wszystkie miny usunięto w ciągu kilku minionych lat w Mozambiku i Zambii. W Zimbabwe w ubiegłym roku lokalne media celebrowały usunięcie 50-tysięcznej miny, pozostałości po wojnie wyzwoleńczej z lat 70. Szacuje się, że od końca tej wojny miny zabiły ponad 1,5 tys. osób i niezliczone stada zwierząt, tych domowych i dzikich. Na oczyszczonych ziemiach powstaje teraz największy na świecie park, łączący słynny park Krugera w Południowej Afryce, park Limpopo w Mozambiku i oczyszczony z min Gonarezhou w Zimbabwe. Transgraniczne safari na obszarze 35 tys. km^2 już ściąga rzesze turystów.

eprasa.pl cfbace2a2b

Nie róbmy polityki, budujmy fabryki leków

Współcześnie nie tylko ropa naftowa, gaz, ruda uranu, złoto czy uzbrojenie to towary strategiczne, lecz również leki, gdyż są one niezwykle istotne dla bezpieczeństwa zdrowotnego społeczeństwa

JANUSZ SZEWCZAK

Fot. Shutterstock

Unia Wolności i jej polityczna następczyni Platforma Obywatelska są najbardziej odpowiedzialne za wyprzedaż polskich fabryk. W tym leków i firm farmaceutycznych (Cefarmy, Polfy). Tylko w latach 2007–2011 rząd PO-PSL sprzedał aż 14 spośród 17 firm sektora farmaceutycznego.

Oczywiście nie przeszkodziło to ostatnio politykom PO-KO bezczelnie i kłamliwie uczynić z chwilowego braku niektórych leków na polskim rynku wielkiego politycznego zarzutu dziś rządzącym. Politycy Platformy rozpoczęli w alarmistycznym tonie wielką kampanię o niedostępności leków w Polsce. Dość szybko okazało się jednak, że ten sam lek lub lek w innej dawce znajduje się w sąsiedniej aptece, zaledwie 250 m dalej. W tej histerii o politycznym podłożu udział wzięła nawet małżonka szefa kampanii wyborczej PO posła Krzysztofa Brejzy – montowany przez nią rzekomy dramat został szybko zdemaskowany przez internautów, a Ministerstwo Zdrowia podjęło skuteczne działania.

Nie była to tylko polska specyfika, gdyż podobny problem z dostępnością niektórych leków wystąpił w całej Europie i jego główne przyczyny leżały daleko poza naszym krajem. Wywołany jednak problem zaopatrzenia w leki, cen lekarstw w Polsce, nakładów na służbę zdrowia i tzw. dostępności do świadczeń medycznych jest jak najbardziej godny poważnej debaty. Oczywiście nie w stylu byłego ministra zdrowia rządu PO-PSL Bartosza Arłukowicza („zamknij parę szpitali, to będą pieniądze").

Do dziś ciąży na polskim rynku farmaceutycznym decyzja rządu PO-PSL z 2011 r. o drastycznej obniżce cen leków, co spowodowało masowy ich wywóz za granicę, bo te same medykamenty są tam co najmniej czterokrotnie droższe. Polska stała się w latach 2011–2015 prawdziwym eldorado dla różnych mafii lekowych, tworzenia fikcyjnych hurtowni farmaceutycznych, nielegalnego wywozu medykamentów i kompletnej nieudolności struktur państwa, w tym zwłaszcza Państwowej Inspekcji Farmaceutycznej, co kosztowało nas rokrocznie 3–3,5 mld zł strat. Często oznaczało to również brak leków nawet tych ratujących życie. Mafie lekowe okazały się równie groźne i skuteczne w okradaniu budżetu państwa i budżetu NFZ, jak mafie VAT-owskie, a ich bezkarność wręcz porażająca. Dopiero rząd PiS jak i nowe kierownictwo Państwowej Inspekcji Farmaceutycznej, w tym nowy

eprasa.pl cfbace2a2b

Generalny Inspektor Farmaceutyczny Paweł Piotrowski, rzucili wyzwanie tego typu przestępczości i usilnie próbują wzmocnić nadzór nad produkcją i dystrybucją leków w Polsce.

Kłopot z dostawami leków ma nie tylko Polska, lecz mają go również inne kraje Unii Europejskiej, a nawet całej Europy. Neoliberalna doktryna ekonomiczna w UE uznała bowiem, że czasochłonna, pracochłonna i wymagająca nakładów na ochronę środowiska produkcja leków może być wyprowadzona do Chin i Indii, a stamtąd sprowadzi się półprodukty, składniki bazowe – tzw. API, czyli substancje czynne do produkcji leków oraz intermediatów. Na skutki uzależnienia od dostawców z Chin czy Indii, zwłaszcza w sytuacji praktycznie wyprzedanego polskiego rynku farmaceutycznego na rzecz zagranicznych koncernów, nie trzeba było długo czekać. Żeby było jeszcze ciekawiej, 30–40 lat temu Polska była nie tylko w znacznej mierze samowystarczalna lekowo, lecz była też wielkim eksporterem leków właśnie do Chin, Indii, ZSRS, a nawet niektórych krajów europejskich.

Najwyraźniej przeszkadzało to na początku lat 90. ekipie neoliberałów z Trójmiasta. Podobnie jak w innych sektorach polskiej gospodarki środowiska polityczne związane z Leszkiem Balcerowiczem, Januszem Lewandowskim czy Janem Krzysztofem Bieleckim dokonały lub przyzwoliły na wyprzedaż znacznej części najwartościowszego majątku narodowego, w tym również sektora farmaceutycznego, co dla zmylenia opinii publicznej nazywano szumnie „prywatyzacją". Nic dziwnego też, że dziś udział krajowych producentów w naszym rynku leków jest nadal skandalicznie niski. A okazuje się, że współcześnie nie tylko ropa naftowa, gaz, ruda uranu, złoto czy uzbrojenie to towary strategiczne, lecz również leki i inne farmaceutyki, gdyż są one niezwykle istotne dla bezpieczeństwa zdrowotnego społeczeństwa. Producenci farmaceutyków zawsze priorytetowo traktują własny kraj, gdy idzie o dostawy niezbędnych leków, czyli w razie np. wielkiej epidemii, konfliktu zbrojnego, kryzysu gospodarczego najpierw dostarczają potrzebne leki na rynek krajowy. Stare polskie porzekadło mówi: umiesz liczyć, licz na siebie.

Polska powinna jak najszybciej przystąpić do odbudowy własnego przemysłu farmaceutycznego, bo nie bardzo jest co repolonizować. A jest to przemysł tzw. szybko rentujący, przynoszący duże dochody, idące w dziesiątki miliardów złotych. Mamy jeszcze starych fachowców, nie najgorsze procedury, technologie i doświadczenie. Trzeba też zdecydowanie bardziej wspierać tych nielicznych istniejących jeszcze i rozwijających się polskich producentów leków, by na starcie nie przegrywali walki z zagranicznymi koncernami, choćby w kwestii cen i list leków refundowanych. Dzisiaj praktycznie całkowicie jesteśmy zdani na import i sprzedaż leków przez wielkie koncerny zagraniczne, a to ogromny rynek gwarantujący krociowe zyski (12–14 mld zł rocznie).

> Polska stała się w latach 2011–2015 prawdziwym eldorado dla różnych mafii lekowych, tworzenia fikcyjnych hurtowni farmaceutycznych, nielegalnego wywozu medykamentów

Prawdziwy kryzys lekowy może się dopiero pojawić, gdy wojny handlowe będą eskalowane i karne cła będą nakładane na Chiny, również twardy brexit może pogorszyć sytuację, gdyż brytyjscy producenci będą musieli występować w krajach Unii o ponowną rejestrację, pozwolenia czy refundację leków. W Polsce sytuacja ta może dotyczyć od 350 do nawet 500 leków. Państwowa Inspekcja Farmaceutyczna musi wreszcie dostać ustawowe uprawnienia o policyjno-śledczym charakterze, a nieliczni inspektorzy, którzy rozbijają gangi handlujące i wywożące z Polski nielegalnie leki, fałszujące produkty lecznicze, muszą dostać znacząco wyższe wynagrodzenia, bo często ryzykują zdrowie i życie w naszym interesie. Tym bardziej że ludzie z tego typu doświadczeniem zawodowym są wręcz bezcenni i szybko przechwytywani przez rynek farmaceutyczny oraz zagraniczne korporacje.

Bajki z mchu i paproci opowiadane przez polityków PO i Leszka Balcerowicza o tym, że kapitał nie ma narodowości, w tym przypadku brzmią wyjątkowo śmiesznie i niebezpiecznie. Dobre rady przewodniczącego Platformy Grzegorza Schetyny, że gdy opozycja wygra wybory, to zagwarantuje dobrą i sprawną służbę zdrowia, dosypie kolejne dziesiątki miliardów złotych do budżetu służby zdrowia i NFZ, w sytuacji gdy obecnie już na ten cel polski rząd przeznacza blisko 98 mld zł (4,5 proc. PKB), w tym 733 mln zł na bezpłatne leki dla osób 75 plus, czego poprzednia ekipa rządowa nie chciała zrobić za żadne skarby, wydają się zbyt proste i zbyt demagogiczne. Żadne dodatkowe miliardy na służbę zdrowia w Polsce nie zmienią radykalnie sytuacji bez istotnej zmiany systemu, a przede wszystkim bez uszczelnienia systemu wydawania tych już prawie 100 mld zł. Podobnie jak w systemie podatku VAT musi nastąpić radykalne uszczelnienie i zwiększenie odpowiedzialności prawnej i karnej za oszustwa, przestępstwa, gigantyczną skalę marnotrawstwa środków i wysysania pieniędzy z publicznej kasy. Trzeba też ograniczyć ogromne wpływy i uprzywilejowanie lobby lekowego w Polsce. Potrzeba nam oczywiście więcej lekarzy i pielęgniarek, a wiadomo, że ich szkolenie sporo kosztuje, duża ich grupa wyjechała ostatnimi laty za granicę – trzeba spowodować, by wracali.

W latach 2018–2024 polski rząd i polski budżet mają przeznaczyć na zdrowie Polaków blisko 830 mld zł – jest to niewątpliwie znacząca kwota, którą trzeba znacznie lepiej wykorzystać, niż działo się to dotychczas. Jeśli mamy skutecznie gonić bogatsze kraje UE, to również w tej dziedzinie muszą nastąpić istotne i korzystne dla Polaków zmiany.

eprasa.pl cfbace2a2b

Orlen buduje własną potęgę na przyszłość

Skokowy wzrost nakładów inwestycyjnych Orlenu nie tylko oznacza zwiększenie liczby inwestycji, lecz prowadzi również do wykorzystania przez koncern najnowszych technologii

Ponad 13,5 mld zł wyniosły nakłady inwestycyjne PKN Orlen w latach 2016–2018. Suma robi wrażenie, podobnie jak to, że nakłady te wyraźnie wzrosły. W latach 2013–2015 było to 9,5 mld zł – wartość spora, jednak nie tak imponująca. Ten wzrost widać jeszcze lepiej, kiedy porówna się wartości wydatków na inwestycje z 2012 r., kiedy wynosiły one 2 mld zł.

ORLEN TWORZY BIORAFINERIĘ

Zmiana w wartości nakładów inwestycyjnych jest nie tylko ilościowa. Większe środki sprawiają, że polski koncern paliwowy jest także w stanie inwestować w najnowsze technologie, które pozwalają na lepszą ochronę środowiska. Przykładem może być Trzebinia. W maju tego roku PKN Orlen podpisał umowę na pierwszą w Polsce instalację do produkcji ekologicznego glikolu propylenowego. Glikol to produkt powszechnie wykorzystywany m.in. w kosmetyce – znajduje zastosowanie w paście do zębów, preparatach do higieny dłoni, środkach czystości czy jako składnik główny dezodorantu w sztyfcie. Nowa instalacja będzie produkować 30 tys. ton tego produktu rocznie, co pokryje aż w 75 proc. zapotrzebowanie na glikol propylenowy w Polsce.

– Zgodnie z zapowiedziami rozwijamy i poprzez inwestycje wzmacniamy spółki działające w Grupie Orlen. Budowa pierwszej w Polsce instalacji do produkcji ekologicznego glikolu to ważny krok w procesie przekształcania zakładu w Trzebini w nowoczesną biorafinerię. Stawiamy na ekologiczne, wysokomarżowe produkty – mówi Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen.

Warto zwrócić uwagę na słowa prezesa Obajtka o „przekształceniu zakładu w nowoczesną biorafinerię". Nakłady na instalacje, które poprawiają stan

Fot. Andrzej Skwarczyński | 26/0819/F

eprasa.pl cfbace2a2b

ochrony środowiska w tym zakładzie, są bowiem znacznie większe niż wynikające z bezpośrednich inwestycji w produkcję. Orlen zmodernizował tamtejszą elektrociepłownię. Za 80 mln zł koncern zbudował m.in. kotłownię gazową, stację uzdatniania wody, stację przygotowania gazu, a także rurociągi gazu wysokiego i niskiego ciśnienia. Dzięki modernizacji elektrociepłowni, której całkowita moc wynosi teraz 61 MW, spółka Orlen Południe dysponuje wielopaliwowym źródłem wytwarzania energii. Pozwoli to optymalizować koszty produkcji związane ze zmianami cen paliw, ale także ma spore znaczenie dla mieszkańców tamtego regionu, jako że elektrociepłownia jest także dostawcą energii i ciepła dla mieszkańców regionu.

ANWIL ROŚNIE W SIŁĘ

Dużo się dzieje także w Anwilu, jednej z najważniejszych firm w Grupie PKN Orlen. Pod koniec czerwca została podpisana umowa na budowę instalacji granulacji mechanicznej. Będzie ona miała średnią wydajność na poziomie około 1,5 tys. ton na dobę (w zależności od rodzaju nawozów) i pozwoli na równoczesną produkcję szerokiej gamy produktów różniących się głównie zawartością azotu i siarki. Anwil wybrał technologię granulacji mechanicznej, która umożliwi spółce poszerzenie asortymentu produktowego o saletrę grubą, saletrosiarczan amonu, saletrzak z siarką i saletrzak z magnezem o ulepszonych własnościach granuli.

Umowa na budowę tej instalacji jest drugą z trzech najważniejszych umów, jakie mają zostać zawarte w ramach rozbudowy zdolności produkcyjnych Anwilu w obszarze nawozów. Pierwsza z tej „wielkiej trójki umów" obejmuje budowę urządzeń do instalacji kwasu azotowego i neutralizacji. Ta inwestycja już ruszyła, w maju wmurowano bowiem już kamień węgielny pod tę budowę.

Została jeszcze trzecia umowa – obejmująca budowę instalacji pomocniczych. Łącznie to działanie Orlenu ma doprowadzić do zwiększenia zdolności produkcji nawozów przez Anwil o prawie 50 proc. – z 966 tys. ton do 1 461 tys. ton rocznie – oraz jednocześnie poszerzy portfel produktów tej firmy. Warto dodać, że u podstaw całej rozbudowy leżało to, że Anwil przy swoim dotychczasowym poziomie produkcji miał dużą, bo sięgającą aż 35 proc. nadwyżkę amoniaku. Trafiała ona do producentów nawozów, teraz będzie zaś wykorzystywana na miejscu, co także wpłynie pozytywnie na stan środowiska.

INWESTOWANIE UŁATWIA KONKUROWANIE

Nie tylko Włocławek i Trzebinia korzystają z inwestycji Orlenu. W Płocku również ruszyły prace związane z modernizacją tamtejszej elektrociepłowni. Realizacja inwestycji dotyczącej modernizacji turbozespołu TG1 w zakładowej elektrociepłowni umożliwi 10-proc. wzrost jej sprawności w zakresie wytwarzania energii elektrycznej w skojarzeniu z ciepłem. Przyczyni się ona także do optymalizacji kosztów dzięki wydłużeniu cykli pracy pomiędzy remontami. Podwyższy to również ciągłość i bezpieczeństwo dostaw energii elektrycznej i cieplnej dla zakładu w Płocku oraz działających na jego terenie firm. Odbiorcą wytwarzanego ciepła będzie również miasto.

– Konsekwentny rozwój obszaru energetyki, zakładający wykorzystanie efektywnego procesu Kogeneracji, tj. procesu o najwyższej sprawności energetycznej wytwarzania ciepła i energii elektrycznej, jest jednym z naszych kierunków strategicznych – mówi Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy ds. energetyki PKN Orlen.

Nakłady inwestycyjne mają spore znaczenie dla pozycji rynkowej Orlenu. Widać to doskonale na przykładzie inwestycji już zakończonej – koncern w kwietniu uruchomił Instalację Metatezy w Płocku, dzięki czemu potencjał Orlenu z zakresie produkcji propylenu zwiększył się o 100 tys. ton, do poziomu 550 tys. ton rocznie. Koncern jest jedynym producentem tego produktu w Polsce oraz kluczowym graczem na rynku europejskim, ma obecnie ponad 50 proc. zdolności produkcyjnych w regionie Europy Środkowej. Jak widać, dzięki inwestycji w instalacje propylenu PKN Orlen umocnił się na pozycji regionalnego lidera.

INNOWACJE NA SZEROKĄ SKALĘ

Jednak Orlen inwestuje nie tylko w budowę instalacji do już gotowych procesów technologicznych, ale coraz śmielej angażuje się w tworzenie nowych rozwiązań. Przykładem jest program prowadzony przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, którego celem jest stworzenie bezpiecznej i proekologicznej nawierzchni drogowej. W jego ramach powadzone są badania nad opracowaniem mieszanek poroelastycznych oraz właściwościami akustycznymi i przeciwpoślizgowymi tego typu nawierzchni. Liderem projektu jest Politechnika Gdańska, a partnerami m.in. Politechnika Białostocka. Orlen Asfalt – spółka z grupy koncernu paliwowego – współpracuje z pracownikami naukowymi Politechniki Gdańskiej w badaniach nad właściwościami i możliwym wykorzystaniem specjalnego typu lepiszcza asfaltowego do nawierzchni poroelastycznych.

Oczywiście czasy, kiedy firma petrochemiczna czy – bo tym obecnie PKN Orlen się staje – koncern chemiczno-paliwowy poprzestawały wyłącznie na produkcji, już dawno minęły. Orlen finansuje znalezienie nowych rozwiązań, ułatwiających sprzedaż swoich produktów. Na początku tego roku Orlen podpisał umowę, w której ramach wspólnie z wybranymi start-upami będzie wdrażał innowacyjne rozwiązania w takich obszarach jak np. sprzedaż detaliczna, produkcja, logistyka czy też ochrona środowiska. Obecnie przymierza się zaś do ogłoszenia konkursu – w ramach Programu GovTech Polska – którego celem jest uzyskanie rozwiązania umożliwiającego automatyczną identyfikację pojazdów firmowych przypisanych do kart flotowych dla kierowców realizujących płatności przy dystrybutorze przy użyciu aplikacji mobilnej mFlota.

Jak widać, Orlen dostosowuje się do przewidywanych zmian w popycie na paliwa i na produkty powstałe z przerobu ropy naftowej i nie zapomina o tym, że klienci coraz częściej kupują przez telefon i telefonem. To, podobnie jak zdolności produkcyjne z zakresu „twardej" chemii, może w przyszłości zdecydować o być albo nie być firmy.

eprasa.pl cfbace2a2b

Zagraniczna ofensywa Orlenu

Branża naftowa inwestuje na potęgę. Miliardy na supernowoczesne projekty wydają najważniejsi gracze paliwowi w naszym regionie Europy. Taką samą drogą idzie polski Orlen

Koncerny naftowe ruszyły ostro z inwestycjami po latach zastoju, kiedy notowania ropy znacząco spadały. Gdy jej cena wzrosła, a rynek stał się bardziej przewidywalny, firmy znowu zaczęły inwestować. Mocniej postawiły na petrochemię i na paliwa alternatywne, które powoli stają się czarnym koniem branży. To one zdominowały nowe strategie koncernów kładących coraz większy nacisk na dywersyfikację działalności.

MILIARDY AUSTRIAKÓW I WĘGRÓW

Austriacki OMV – mocny gracz w naszym regionie Europy – ma zamiar wydawać na inwestycje 2–2,5 mld euro rocznie do 2025 r. Austriacy osiągnęli już praktycznie wszystko na krajowym rynku, znaczny zastrzyk gotówki pójdzie więc na zagraniczne przedsięwzięcia, związane przede wszystkim z petrochemią, a także z wydobyciem i z rynkiem detalicznym. Przynajmniej w kilku segmentach dojdzie do starcia OMV z Orlenem – na przykład w Czechach, gdzie Polacy mają potężną sieć Benzina, a także w petrochemii, która staje się sztandarowym projektem większości koncernów europejskich. Konkurencyjne bitwy rozgrywają się obecnie na rynkach międzynarodowych i jeżeli Polacy chcą wyjść z nich zwycięsko, muszą – tak jak ich potężni rywale – inwestować w swoje zagraniczne aktywa.

OMV ma mocną pozycję na rynku wydobycia w Rumunii, posiada złoża na Morzu Północnym, na Bliskim Wschodzie i w Afryce oraz w Rosji, zarządza też ponad 2 tys. stacji benzynowych w 10 krajach. Kluczowym międzynarodowym projektem Austriaków jest uczestnictwo w niekorzystnym dla Polski rosyjsko-niemieckim gazociągu Nord Stream 2. OMV wydał na niego już kilkadziesiąt milionów euro.

Mocno na zagranicznych rynkach inwestuje również węgierski MOL – kolejny liczący się koncern na rynku paliwowym Europy Środkowo-Wschodniej. Firma kontroluje słowacki Slovnaft i włoską rafinerię IES, ma udziały w chorwackiej firmie naftowej INA. Działa w sumie w ponad

epraso.pl cfbace2a2b

30 krajach, a aktywa produkcyjne ma w ośmiu. Węgrzy wiele inwestują poza swoim krajem, i to w różnego rodzaju przedsięwzięcia: na przykład w 40 stacji ładowania pojazdów elektrycznych w Rumunii czy – wspólnie ze słowacką firmą InoBat – w projekt dotyczący energii wodorowej w Europie Środkowo-Wschodniej. Zależna od nich INA wybuduje dwie elektrownie słoneczne w Chorwacji. Do 2021 r. na same inwestycje w petrochemię MOL przeznaczy 1,9 mld dol. Znaczna ich część trafi na Słowację. Węgrzy mają też silną pozycję na regionalnym rynku sprzedaży detalicznej paliw: w Czechach są drudzy po Orlenie. MOL ma w sumie w Europie około 1,9 tys. stacji.

CORAZ WAŻNIEJSZA ZAGRANICA

W wyścigu o pozycję lidera w naszym regionie Europy polski koncern z Płocka uczestniczy już od dobrych kilku lat. W porównaniu z OMV i MOL ma liczniejszą sieć paliw, dysponuje też większą mocą przerobową rafinerii. Silną pozycję zawdzięcza w znacznym stopniu swoim zagranicznym aktywom, które konsekwentnie umacnia. Orlen przejął zagraniczne spółki, zainwestował w nie pokaźne kwoty, rozwinął i uczynił pełnoprawnymi członkami swojej grupy kapitałowej.

Do płockiego koncernu należą firmy w Niemczech, Czechach i na Litwie, a także w Kanadzie, w prowincji Alberta (spółka wydała tam w zeszłym roku 534 mln zł na rozwój wydobycia). W grupie działa sześć rafinerii: w Polsce, Czechach i na Litwie (w Płocku, Trzebini, Jedliczu, Możejkach, Kralupach i Litvinovie). Koncern posiada największą w regionie Europy Środkowo-Wschodniej sieć ponad 2,8 tys. stacji paliw. Już teraz przeszło połowa przychodów koncernu (54,5 proc.) pochodzi z rynków zagranicznych. Orlen to liczący się pracodawca w krajach, w których działa: na przykład w należącym do niego czeskim Unipetrolu pracuje ponad 4,8 tys. osób (o tysiąc więcej niż w 2015 r.), w Orlen Lietuva – 1,6 tys. (w ciągu ostatnich kilku lat załoga zwiększyła się o kilkadziesiąt osób).

REKORDOWE INWESTYCJE UNIPETROLU

Perłą w zagranicznej koronie Orlenu jest czeski Unipetrol, który płocki koncern w 2018 r. przejął w całości. W skład grupy wchodzą tak ważne podmioty jak rafinerie w Kralupach oraz Litvinovie – dostawca m.in. paliw samochodowych i olejów napędowych, Benzina – największy dystrybutor i sprzedawca paliw w Czechach. Orlen zainwestował w Unipetrol grube miliony – sam koszt największej w historii Czech inwestycji petrochemicznej w Litvinovie to 314 mln euro.

Wydatki płockiej spółki w Czechach zwróciły się już w dwójnasób. Jak twierdził w zeszłym roku cytowany przez WEI ówczesny wiceprezes Unipetrolu Tomasz Wiatrak, w 2005 r. PKN Orlen kupił 63 proc. Unipetrolu za 1,8 mld zł. – W latach 2006–2017 zaraportowany przez Unipetrol zysk EBITDA wyniósł ok. 10 mld zł. Jest to oczywiście pewne uproszczenie, niemniej jednak wyraźnie widać, że ta inwestycja zwróciła się PKN Orlen już kilkukrotnie – mówił Tomasz Wiatrak. Na inwestycji w Unipetrol zarobił nie tylko płocki koncern, lecz również jego udziałowcy: w grudniu 2004 r., tuż przed transakcją z polskim koncernem, jego akcje kosztowały na praskiej giełdzie 98 koron, w 2013 r. – ponad 170, a w zeszłym roku cena wykupu akcji Unipetrolu przez PKN Orlen wyniosła aż 380 koron.

OFENSYWA NA LITWIE I W NIEMCZECH

Pełną parą idą inwestycje w litewskich aktywach grupy. W Możejkach oddano w tym roku do użytku instalacje PPF Spliter, która produkuje propylen, używany m.in. do wytwarzania części samochodowych, w budownictwie i meblarstwie. Orlen rozważa również budowę w Możejkach instalacji tzw. hydrokrakingu pozostałości próżniowej, której celem jest ograniczenie produkcji ciężkich frakcji. Jest to odpowiedź na nowe, zaostrzone regulacje dotyczące jakości oleju używanego w silnikach okrętowych, wydane przez Międzynarodową Organizację Morską, które zaczną obowiązywać od początku 2020 r. Zakończone zostały projekty z zakresu ochrony środowiska ograniczające emisję związków siarki i azotu z zakładowej elektrociepłowni oraz z systemu ciągłego monitoringu emisji na instalacjach FCC, odzysku siarki i wytwórni wodoru. W zeszłym roku Orlen zainwestował na Litwie 300 mln zł, w tym roku będzie podobnie.

Rośnie sieć stacji Orlenu w Niemczech. Płocki koncern wszedł na ten rynek w 2003 r. i systematycznie powiększa stan swojego posiadania (w zeszłym roku przybyło dziewięć stacji). Sieć Orlenu działa w Niemczech pod marką Star i jest już na tyle duża, że jest w stanie konkurować z takimi potentatami jak Aral czy Shell (Orlen zwiększył w zeszłym roku udział w niemieckim rynku sprzedaży paliw do 6,4 proc.). Na koniec marca 2019 r. Orlen miał w Niemczech już 583 stacje.

O tym, że warto inwestować i rozwijać zagraniczne aktywa, można było się przekonać w 2018 r., kiedy czeska spółka polskiego koncernu dostarczała paliwo do Orlen Deutschland, co pomogło w zabezpieczeniu sprzedaży na własnych stacjach Star oraz pozwoliło na zachowanie ciągłości sprzedaży w hurcie (w zeszłym roku Niemcy mieli problemy logistyczne wynikające z poważnych utrudnień w ruchu barek po głównych szlakach wodnych, a także z przestojów wielu rafinerii).

W 2018 r. nakłady inwestycyjne Orlenu sięgnęły 4,3 mld zł, z czego najwięcej – 46 proc. – przejęła oczywiście Polska, ale reszta, czyli ponad połowa, trafiła do jej zagranicznych podmiotów – aż 32 proc. do Czech, 12 proc. do Kanady, 7 proc. na Litwę i 3 proc. do Niemiec.

Jak będzie w następnych latach? Tempo inwestycji pozostanie wysokie – w tym roku nakłady mają sięgnąć 5 mld zł. Koncern zwiększa inwestycje, buduje nowe stacje paliw (w tym roku w kwietniu pojawiła się pierwsza na Słowacji, do końca roku ma być już ich 10), zapowiada walkę o utrzymanie pozycji lidera nie tylko w Polsce, lecz i w Czechach, a także wzmocnienie pozycji rynkowej w Niemczech i na Litwie. Zapowiadają się kolejne ciekawe lata dla zagranicznych aktywów Orlenu.

sk

Fot. nitpicker/Shutterstock.com

eprasa.pl cfbace2a2b

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

eprasa.pl cfbace2a2b

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

eprasa.pl clbace2a2b

Odwróceni od natury

Jako gatunek potrafimy zapanować nad energią nuklearną, odkrywać kosmos, tworzyć sztuczną inteligencję. Jako jednostka jesteśmy wtórnie bezradni wobec przyrody. Kto dziś potrafiłby wyleczyć ranę pajęczyną?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jak bardzo oddaliliśmy się od natury i czym to skutkuje? Czy bezradność w sytuacjach, kiedy jesteśmy zdani sami na siebie, to stan odwracalny? Czy to konsekwencja doskonalenia się naszego gatunku i rosnącego podziału na to, co ludzkie, i na to, co należące do świata przyrody – a dla nas obce, coraz bardziej nieznane i budzące lęk?

Czy można określić status człowieka jako bytu poprzez odniesienie go do jego otoczenia? Czy to, jak człowiek otoczenie poznaje i wykorzystuje, może wpłynąć na to, kim jest? Prosty przykład: dwie istoty odrębnych gatunków z zamierzchłej przeszłości, sprzed miliona lat, kiedy na świecie żyło więcej różnych przedstawicieli hominidów niż obecnie, obie człowiekowate, dwunożne, jedna potrafi zapanować nad ogniem, druga nie. Którą z nich określilibyśmy jako człowieka? Czy pakiet typowych umiejętności człowiekowatego, aby nazwać go „człowiekiem", nie musi zawierać pewnych punktów obowiązkowych? Wspomnianego rozpalania ognia, umiejętności komunikowania się, abstrakcyjnego myślenia, ale także budowy schronienia, użycia narzędzi do polowania, zdolności przewidywania i zapobiegania zagrożeniom ze strony natury.

SILNI W GRUPIE

Warto powiedzieć: sprawdzam. Niech podniesie rękę ten, kto wyżywił się z tego, co dał las, kto stworzył dzidę, na którą upolował zwierzę, kto umie tak wsłuchać się w przyrodę, aby wykryć czyhające zagrożenie i pokonać drapieżnika? Kto rozpalił ogień, mając do dyspozycji krzemień lub dwa kawałki drewna? Nie posiadamy tych umiejętności, mało komu są one dzisiaj potrzebne. W zamian dysponujemy innym, wielokrotnie bardziej wysublimowanym pakietem: programujemy, projektujemy, wytwarzamy. Jako gatu-

31/0719/F

eprasa.pl cfbace2a2b

Fot. Shutterstock

nek potrafimy zapanować nad energią nuklearną, odkrywać kosmos, tworzyć sztuczną inteligencję. Jako jednostka jesteśmy wtórnie bezradni wobec przyrody. Mocni jesteśmy jako tryb w wysoko wyspecjalizowanym społeczeństwie, jako jednostka jesteśmy słabi jak noworodek. Zatraciliśmy naturalne dla człowieka cechy i umiejętności umożliwiające przetrwanie, zastąpiliśmy je aplikacjami. Czy porzuceni samotnie w lesie jesteśmy jak ten prymitywny człowiekowaty, nie człowiek, lecz na wpół zwierz, który nawet nie potrafi wykrzesać ognia? Raczej nie, dysponujemy przecież umiejętnością abstrakcyjnego myślenia i komunikowania się. Kim jest więc współczesny człowiek i na ile oddalił się od natury?

KIEDY NADCHODZI NOC

Obrośliśmy w gadżety i nawet nie próbujemy wyobrazić sobie świata bez nich. Stało się to na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Gadżeciarz sprzed stu lat lansował się nakręcanym zegarkiem na łańcuszku oraz wiecznym piórem, aby odróżnić się od tych, którzy wciąż pisali zaostrzonym piórem gęsim, a czas odmierzali klepsydrą, pianiem koguta, porami udoju ryczących krów, dopalającymi się sznurami i słońcem. Idę jednak o zakład, że modniś sprzed wieku nie straciłby głowy w zapadających po zmierzchu ciemnościach. Jego nocny świat, z rzadka oświetlony dopiero co wynalezionymi gazowymi latarniami (o ile mieszkał w centrum miasta), był takim samym światem nocnych ciemności, jaki towarzyszył człowiekowi, gdy sto tysięcy lat wcześniej opuszczał Afrykę, ruszając na podbój świata. Nieprzebrana czerń nocy. Doświadczenie nieosiągalne dla współczesnego człowieka uzależnionego od przebywania w granicach rzeczywistości wyznaczonej szosą i linią energetyczną. Czy potrafimy wyjść z kręgu jasności, zejść z szosy i wejść w całkowity mrok? Bez smartfonu, który jest zarówno latarką, jak i GPS-em? Czy potrafilibyśmy w tej ciemności spędzić noc: jedną, drugą i setną, jak zrobił to Kazimierz Nowak? Polski podróżnik w Afryce tak pisał w 1936 r. o Saharze oswojonej, którą sam odrzucił na rzecz dzikich bezdroży: „Jedna z takich dróg turystycznych biegnie z Fort Lamy nad jeziorem Czad aż do samego Algieru. Bez żadnego trudu czy ryzyka przebiegają nią dziś komfortowe autobusy turystyczne i auta prywatne tych, którzy chcą się pochwalić [...], że przebyli Saharę. Rozmieszczone są wzdłuż niej hotele, biura pocztowe, a nawet porty lotnicze. Zaginąć na tym szlaku nawet dziecko nie może [...]."

Czy umielibyśmy poradzić sobie bez osiągnięć cywilizacji, bez gadżetów i sprzętów ze smartfonem na czele?

Kim będziemy, gdy odrzucimy zupełnie przyrodę, odizolujemy się od niej coraz mocniejszym wi-fi? Szczątkowe potrzeby obcowania z naturą zaspokoimy świadomością zielonego dachu w naszym korpo, równo przystrzyżonym trawnikiem ze specjalnie wyhodowaną odmianą trawy przed domem i niedzielnym filmem o gazeli. Czy jednak prawdziwa więź z przyrodą nie jest konieczna do tego, aby pozostać człowiekiem?

INSTYNKT PRZETRWANIA

Obcując codziennie z dziką przyrodą, na której przestrzeniach osady i domostwa były co najwyżej wątłymi wysepkami, człowiek wiedział, na co uważać i czego nie robić. Unikał wszelkich zachowań, które mogłyby doprowadzić do choroby lub zranienia.

Ran bano się i unikano. Nie były, jak obecnie, czymś znanym głównie z filmów i gier, lecz tragicznym uszkodzeniem ciała odniesionym w gospodarstwie lub podczas polowania. Kiedy nie było pogotowia ratunkowego, szpitali i antybiotyków, nawet w pozornie lekkich przypadkach często kończyły się śmiercią lub kalectwem. Ranny nie mógł też zdobywać pożywienia.

Mając aż za dużo ryzyka w codziennym życiu, ludzie unikali zbędnego zagrożenia, podobnie jak robią to zwierzęta: lew jest silniejszy i lepiej uzbrojony od wielu roślinożerców, ale nieraz odstępuje od ataku, jeżeli ryzyko zranienia lub złamania, np. na skutek kopnięcia kopytem, jest zbyt duże. Ranny, niesprawny drapieżnik często nie przeżywa.

Sporty ekstremalne czy szybka jazda samochodem są więc wbrew naturze człowieka, który obecnie wyzbywa się instynktu przetrwania, ufając coraz bardziej mocy nowoczesności, która ma go wybawić ze wszystkich opresji.

DŁUGIE RAMIĘ CYWILIZACJI

Nie znamy roślin ani ich działania. Nie mamy pojęcia, które organizmy działają przeciwbakteryjnie jak antybiotyki i jak je rozpoznać. Mało kto wie, że porosty brodaczka *Usnea sp.* i chrobotek *Cladonia sp.* zawierają kwas usninowy mający silne właściwości antybakteryjne, zwalczający prątki,

eprasa.pl cfbace2a2b

paciorkowce i gronkowce, bakterie beztlenowe i pierwotniaki. Kto jednak poza lichenologami potrafi je rozpoznać? Kto wie, jak sprawić, aby stały się lekarstwem?

Jeżeli jeszcze z mądrości minionych pokoleń została w nas mglista świadomość leczniczej mocy roślin i grzybów, to o tym, co dziś określilibyśmy jako „zooterapia", nie mamy pojęcia. Przez wieki człowiek miał do dyspozycji oprócz przyrody nieożywionej oraz roślin także zwierzęta. W celach leczniczych wykorzystywał zarówno same zwierzęta, ale także ich wydzieliny oraz odzwierzęce produkty: woski, miody, jaja, gniazda, kokony – w zależności od miejsca na kuli ziemskiej. Czy ktokolwiek z nas potrafiłby wyleczyć ranę pajęczyną tak ugniecioną z chlebem, aby z zebranego na pajęczynie kurzu na pożywce chlebowej rozwinął się grzyb pędzlak *Penicillium* zawierający penicylinę? Czy prędzej nie doprowadzilibyśmy do zakażenia? A umiejętność ta była powszechna jeszcze kilkadziesiąt lat temu! Dziś możemy kupić nowoczesne, silne antybiotyki, ale kto z nas potrafiłby je wyprodukować? Jeżeli przenieślibyśmy się w czasie, czym zadziwilibyśmy naszych przodków?

Zatracamy dawną mądrość i rozsądek oparte na empirycznym zgłębianiu przyrody na rzecz fantastycznych wyobrażeń o przyrodzie zbudowanych w najlepszym razie na filmach. O zachowaniu się zwierząt nie wiemy nic. Ludzie mają skłonność do antropomorfizowania zwierząt, czego jednym z wielu przykładów jest „szopowa kawiarnia" w Seulu, gdzie w zgodzie z ludzkimi oczekiwaniami, lecz w zupełnej sprzeczności z dziką naturą, szopy są mieszkańcami lokalu gastronomicznego.

Przypisujemy zwierzętom ludzkie cechy, nie zauważając przyrodzonej i właściwej im dzikości, co doprowadza rokrocznie setki ludzi do śmierci w potężnych łapach niedźwiedzi, pod kopytami bydła i koni, w zębach psów.

> Sporty ekstremalne czy szybka jazda samochodem są więc wbrew naturze człowieka, który obecnie wyzbywa się instynktu przetrwania, ufając coraz bardziej mocy nowoczesności, która ma go wybawić ze wszystkich opresji

NAWIGACJA W GŁOWIE

Niebawem dojdzie do tego, że przeciętny mieszkaniec miasta nie będzie umiał dotrzeć z punktu A do punktu B za pomocą komunikacji miejskiej, jeżeli nie wspomoże się odpowiednią aplikacją. Nie będzie umiał zastosować najprostszych informacji z kartki na przystanku oraz podstawowych elementów orientacji w terenie, bo zawsze wyręcza go w tym komórka. Nie dojedzie własnym autem z jednego miejsca do innego bez włączonej nawigacji. Przeszkoda terenowa nie jest przeszkodą, jeżeli nie jest tak opisana w aplikacji. Dlatego właśnie kierowcy wbrew instynktowi, lecz zgodnie z sugestią miłego głosu, wjeżdżają do rwącej rzeki bez refleksji, że może to być błąd oprogramowania. Wierzymy temu, co na ekranie, a nie własnym zmysłom i zdrowemu rozsądkowi. Tracimy naturalny człowiekowi spryt na rzecz oddania się cyfrowym mocom. Umiemy napisać program, stworzyć animację lub grafikę, ale nie potrafimy zaostrzyć noża. Tracimy siły na siłowni, a zawsze wybieramy windę, nie chcąc się męczyć na schodach. Wpadamy w pułapkę nowoczesności, która nie byłaby taka straszna, gdyby nie to, że nie ma dla niej alternatywy. Bo owszem, możemy się nauczyć czytać mapę, naostrzyć nóż i wybierać schody, tylko że nie uwolni nas to od konieczności życia w cyfrowym świecie, może jedynie spowolnić zatapianie się w nim.

COŚ POZYTYWNEGO?

Tę pesymistyczną wizję, spisaną niestety nie gęsim piórem przy świetle samodzielnie skrzesanego ognia, przełamać może wiara w człowieka. Nadzieja tli się w niebywale silnych zdolnościach adaptacyjnych homo sapiens, który przyparty do ściany wykrzesze z siebie siły i umiejętności, o które nikt by go współcześnie nie podejrzewał. Może jest tak, miejmy nadzieję, że człowiek nie zna się na wielu ważnych, opisanych tu rzeczach tylko dlatego, że nie musi; że wcale nie stracił rozsądku, tylko chwilowo go wyłączył, ale gdyby zaszła taka potrzeba, to szybko powróci do bazowych umiejętności naszego gatunku.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cfbace2a2b

Hit tygodnia

Sony RX100 VII

Tak, to już siódma odsłona tego bez wątpienia jednego z najlepszych i najpopularniejszych kompaktów na świecie. Nic dziwnego, że Sony reklamuje go jako „zaawansowany aparat kompaktowy RX100 VII, łączący wydajność korpusu '9 z kieszonkowymi wymiarami". Z tym korpusem '9 to może lekka przesada, ale nie da się ukryć, że seria RX100 nie stoi w miejscu, a niejednokrotnie wyznacza nowe trendy w świecie (wymierających, co prawda) kompaktów. Czym może się pochwalić nowy model? Tradycyjnie 20,1-megapikselowy, jednocalowy sensor z własnym układem pamięci DRAM oraz najnowszy procesor obrazu BIONZ X, zdjęcia seryjne z szybkością 20 kl./s, system AF z 357 umieszczonymi w płaszczyźnie ogniskowej polami AF bazującymi na wykrywaniu fazy oraz 425 polami AF bazującymi na wykrywaniu kontrastu, największa na świecie szybkość ustawiania ostrości: 0,02 s (tak twierdzi producent), obiektyw typu zoom 24–200 mm i o dużej jasności F2,8–F4,5. Aparat umożliwia też wewnętrzny zapis filmów 4K w formacie XAVC S. Prawdę mówiąc, można by tak wyliczać prawie w nieskończoność. A fakty są proste: każda nowa odsłona RX100 to wyeliminowanie (ewentualnych) usterek i nowe funkcje fotografowania i filmowania. To naprawdę zgrabny aparacik do wszystkiego. **Premiera**

Plusy i minusy

+ nowoczesność i wszechstronność w małym korpusie
– seria nigdy do tanich nie należała

Pokrowiec MyScreenProtector – Revo Case

Każdy z nas używa smartfona (no, prawie każdy) i każdy z nas znalazł się w sytuacji, gdy nam to nowoczesne urządzenie wypadło z ręki, kieszeni czy też spadło z biurka bądź innego stołu. I jeśli telefon był solidnie wykonany, to w zasadzie nic się nie stało, ale jeśli nie był? Właśnie na takie sytuacje powstają produkty jak Revo Case firmy MyScreenProtector. Pokrowiec Revo skutecznie chroni krawędzie i narożniki przed zniszczeniem podczas niespodziewanego upadku. Dodatkową ochronę samych krawędzi zapewniają poduszki powietrzne umieszczone w narożnikach pokrowca, które absorbują siłę uderzenia. Przezroczyste plecki pokrowca zostały wykonane z poliwęglanu. Gwarantują ochronę przed zarysowaniem, ale nadal pozwalają na zaprezentowanie oryginalnego wyglądu smartfona. Model Revo zapewnia także ochronę tylnym kamerom smartfona. Specjalnie wyprofilowany otwór z podwyższoną krawędzią powoduje, że kamera chowa się w nim i nie styka się bezpośrednio z podłożem podczas odkładania telefonu oraz jest dodatkowo chroniona podczas upadku. **Premiera**

Fot. Mat. prasowe

Słuchawki Aeropex

Słuchawki zostały zaprojektowane tak, by sprawdzać się nawet na ciężkich treningach. Aeropex mają klasę wodoszczelności na poziomie IP67, co czyni je całkowicie odpornymi na wodę i pot, dzięki temu można trenować w każdych warunkach. Zmieniony o 30 stopni kąt nachylenia przetworników ogranicza drgania, a technologia PremiumPitch 2+ zapewnia optymalne doznania dźwiękowe. Łączność Bluetooth pozwala na swobodne, bezprzewodowe użytkowanie, w zasięgu do 10 m od urządzenia mobilnego. Co ciekawe, słuchawki należy umieścić na kościach policzkowych, tuż przed uszami. Dzięki temu kanały uszne są wolne, co pozwala odbierać dźwięki z zewnątrz i być świadomym tego, co dzieje się wokół – słyszeć otoczenie, współpracowników, kolegów, trenerów, rodzinę, podczas równoczesnego prowadzenia rozmowy telefonicznej czy słuchania muzyki lub podcastów. **Cena: 729 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl cfbace2a2b

MAŁGORZATA OLIWIA SOBCZAK
kulturoznawczyni, dziennikarka, autorka kryminału „Czerwień"

Słońce i mrok Sopotu

Urodziłam się w Gdańsku. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy zawitałam do Sopotu, ale mam takie zdjęcie – siedzę w miniaturowym samochodziku na molo, w eleganckiej sukience i podkolanówkach. Na głowie przyduża czapka marynarska. Obok stoi siostra i babcia Jadźka. Na fladze powiewa data – 1983, miałam wtedy rok. Może to było wtedy? Gdy wybraliśmy się na wycieczkę do pobliskiego kurortu z gdańskiego Wrzeszcza, zdarzenie to uwiecznił lokalny fotografik – jeden z artystów od zawsze błądzących po sopockich uliczkach. Pewnie jedliśmy lody, a może nawet watę cukrową. Może właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłam morze...

I tak już zostało. Sopot na stałe wpisał się w moją mentalną mapę, znacząc ją zupełnie naturalnie, niewymuszenie i beztrosko.

W liceum, a potem na studiach imprezowy szlak zawsze wiódł do SPATiF-u. Wcześniej, siedząc na plaży, prosto z butelki spijaliśmy białe wino, rozmawiając o filozofii i innych egzystencjalnych tematach, które w tym wieku wydają się takie odkrywcze. To po Sopocie szwendałam się wieczorami z moją pierwszą w życiu i nigdy niespełnioną zresztą miłością. To on pokazał mi kładkę w ciągu ulicy Obrońców Westerplatte, pod którą przebiega rozłożysty wąwóz. Przesiadywaliśmy tam godzinami, jakbyśmy znaleźli się w jakimś magicznym, oderwanym od rzeczywistości miejscu. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że za 20 lat będę mieszkała tuż obok.

Przystawaliśmy też często obok nawiedzonej, jak mawiają, willi Bergera, która stała się kluczową przestrzenią kultowego wówczas dla nas filmu Jacka Koprowicza z 1985 r. „Medium". Ten mroczny XIX-wieczny budynek nadal robi wrażenie, za każdym razem wywołując ciarki na mojej skórze, i myślę, że warto zejść z turystycznej ścieżki, by go zobaczyć. Albo wdrapywaliśmy się lesistymi pagórkami na punkt widokowy Wzniesienie Strzeleckie, z którego widać przepiękną panoramę miasta. Stamtąd wędrowaliśmy na Łysą Górę – jedyny w Polsce stok z wyciągiem narciarskim, z którego widać morze. Jest też w Sopocie takie specjalnej miejsce, o którym wiedzą tylko mieszkańcy. Gdy pójdzie się w górę lasu, mijając Stadion Leśny przy Wybickiego, dojdzie się na wzgórze, które w dziwny sposób zakrzywia perspektywę. Ma się tam wrażenie, że statki stoją nieruchomo na falach niemal na wyciągnięcie ręki. Przeżycie prawdziwie surrealistyczne.

Zawsze poszukiwałam w Sopocie tajemniczych i nieoczywistych miejsc. Mój Sopot to nie tylko wakacyjny kurort ze stołeczną plażą i Monciakiem. To też wzburzone morze, nad którym najlepiej spaceruje się jesienią i zimą, gdy mroźny wiatr szczypie w policzki i doskonale oczyszcza głowę. To mroczne uliczki, zadymione (jeszcze do niedawna) kluby, w których znani artyści na nikim nie robią wrażenia, to mekka biznesmenów, którzy od lat 90. robią mniej lub bardziej brudne interesy, to miejsce, w którym po przeobrażeniach ustrojowych najszybciej i najprężniej rozwinęła się przestępczość zorganizowana. To w końcu imprezowe centrum, po którym można się przetargać do rana, kończąc z twarzą umazaną plażowym piachem.

Sopot to doskonała przestrzeń dla kryminału. Niewielkie piękne miasto, kryjące w sobie wiele tajemnic. Jest wielowymiarowy – piękny i brzydki, dobry i zły, powierzchowny i głęboki, przepełniony latem, wyludniony zimą... Niezwykle plastyczny. Po prostu doskonały.

Tak właśnie go widzę. Tak właśnie przedstawiam go na kartach powieści, która już za chwilę trafi do księgarń.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl cfbace2a2b

SŁODKO-SŁONY

Dyniowa fiesta

ANNA MONICKA

Dynia ma albo zaciekłych wrogów, albo dozgonnych fanów. Wszystko zależy od tego, jak podano nam ją w dzieciństwie. Ja miałam pecha – w moim przedszkolu modna była obrzydliwa papka na mleku o słodko-słonym smaku. Pływały w niej paskudne rozgotowane kluski. Nie należałam do specjalnie wybrednych dzieci, ale to coś nie chciało mi przejść przez gardło. Kiwałam się więc nad talerzem, buczałam, a łzy mieszały się z dyniową breją. Takie wspomnienie towarzyszyło mi przez wiele lat, a dynia w moim domu służyła wyłącznie do wycinania w październiku. Była jesiennym lampionem lub wazonem, zależnie od fantazji.

Wszystko odmienił wyjazd do Słowenii, gdzie pierwszy raz posmakowałam oleju tłoczonego z pestek. Wyglądał nietęgo – brązowozielony smar. Ale pachniał wspaniale orzechami i słońcem. Okazał się lepszy do polewania sałat niż oliwa. Wtedy też pierwszy raz jadłam pieczoną w plastrach hokkaido, oprószoną orzechami piniowymi. Od tamtej pory czekam niecierpliwie na rozpoczęcie sezonu dyniowego. W tym roku właśnie się zaczął – co obwieszczam wszem wobec z wielką radością.

Na sobotnie zakupy od jakiegoś czasu jadę na Żerań do państwa Majlertów. Dwie rodziny stworzyły tam istny raj dla ludzi, którzy lubią dobre jedzenie. Zapraszają też zaprzyjaźnionych wytwórców. Jest więc prawdziwe mleko, które się zsiada i smakuje jak to zapamiętane z dzieciństwa. Są ręcznie robione sery, masło, chleby, ciasta, jajka, owoce, ogórki, kwiaty, sadzonki. Nie ma mięsa, ale mnie to akurat nie przeszkadza.

Ostatnim razem piękno dyń wsypanych do olbrzymich drewnianych skrzyń poraziło mnie do tego stopnia, że kupiłam kilka główek. Trzy słodkie pomarańczowe amoro z jadalną skórką, dwie białe acorn o lekko orzechowym smaku i trzy pyszne, delikatne makaronowe angel hair. Każda wielkości średniego melona. Robi się je błyskawicznie, nie trzeba piły tarczowej do krojenia. Wkładamy kulki w całości na pół godziny do piekarnika, a potem kroimy w plastry, polewamy miodowym sosem z masalą (albo z curry i czosnkiem), skrapiamy oliwą, posypujemy grubą solą i odrobiną cukru i pieczemy jeszcze kilkanaście minut. Dla dekoracji dodałam świeżo ścięte kwiaty karczochów (50 gr za sztukę). Jedzenia na nich niewiele, ale nie mogłam sobie odmówić, takie były ładne. Serce tego pięknego ostu skropione sosem cytrynowo-czosnkowym jest przysmakiem, ja jednak potraktowałam kwiaty jak dekorację, nie one były gwoździem programu, tylko dynie.

Polecam taki obiad. Kilogram kosztuje 7 zł, można piec ze skórką. Jeśli nie dajemy już rady – bo dyniami można się nieźle najeść – mrozimy albo miksujemy na zupę.

WILCZYM OKIEM

Czerwiec polski

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Koszenilę, znany wszystkim czerwony barwnik, używany m.in. do barwienia różnych produktów spożywczych, otrzymuje się z owadów – czerwców kaktusowych występujących w Ameryce Łacińskiej. Zanim jednak koszenila stała się popularna na świecie, przez całe wieki to Polska była największym producentem i eksporterem czerwonego barwnika, otrzymywanego również z owadów, lecz innego gatunku.

Czerwony barwnik pochodzący z suszonych i sproszkowanych czerwców polskich *Porphyrophora polonica* był jednym z najważniejszych źródeł bogactwa Polski – obok zboża, dziegciu, potażu, soli i drewna. Istnieją nawet teorie, że kształtowanie się granic dawnej Polski miało związek z zasięgiem występowania czerwców, centrum ich zasięgu obejmowało bowiem dzisiejszą Polskę, Litwę, Białoruś i Ukrainę. Od XV w. (a zapewne już wcześniej) eksportowaliśmy krwiście czerwony barwnik doskonałej jakości na rynki całej Europy, a także do Turcji i Armenii.

Trzeba wziąć pod uwagę, że jeżeli w tamtych czasach coś było głównym produktem eksportowym Polski, automatycznie stawało się jednym z głównych produktów rynków Europy i części Azji. Zyski przynoszone przez takie dobro były olbrzymie. Nasz kraj był bowiem nie tylko gigantem militarnym i terytorialnym, lecz i ekonomicznym: jeżeli spojrzeć na polski eksport z perspektywy Wisły, to w szczytowym okresie polskie towary spławiane Wisłą stanowiły jedną czwartą wszystkiego, co sprzedawano na giełdzie amsterdamskiej, największej wówczas na świecie.

Czerwiec polski jest obecnie gatunkiem rzadkim. Nie znamy dokładnie stanu jego populacji, wiemy jednak, że od lat 60. XX w. zaczął zanikać, zapewne na skutek zmian w użytkowaniu terenów (mniejsza liczba nieużytków pozostawianych odłogiem) i zmian w rolnictwie. Nawet cykl życiowy tego kluczowego niegdyś dla naszego kraju bezkręgowca jest poznany dość słabo. Szkoda, bo powinniśmy chronić owada ważnego dla historii Polski.

Pożywieniem czerwca owada jest roślina czerwiec trwały *Scleranthus perennis*. Czerwce do produkcji barwnika zbierano w czerwcu, od czego pochodzi nazwa miesiąca. Być może od czerwca i jego larw – czerwi pochodzi także nazwa koloru czerwonego. Kto wie, być może doboru narodowych biało-czerwonych barw także należy się doszukiwać w historii wyjątkowego owada?

Fot. Shutterstock, Anna Monicka

eprasa.pl cfbace2a2b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przeciw dwóm wrogom

www.wojciechreszczynski.pl

Polityka bezwzględnego tępienia żołnierzy spod znaku NSZ nie skończyła się po 1945 r.

W niedzielę 11 sierpnia br. przypadła 75. rocznica utworzenia Brygady Świętokrzyskiej. Wydarzenie to uczczono piękną mszą świętą w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie. Zaledwie kilku żyjących żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych mogło z satysfakcją usłyszeć słowa szacunku i podziękowania za trud zmagań o wolną ojczyznę. Ale nie było już nikogo z tych, którzy 11 sierpnia 1944 r. stawili się na miejscu koncentracji leśnych oddziałów NZS w okolicy majątku Lasocin, na północny wschód od Włoszczowy. Tam właśnie odczytano rozkaz o powołaniu Brygady Świętokrzyskiej, której dowódcą mianowano kapitana, wkrótce pułkownika, Antoniego Szackiego vel Skarbek, vel Dąbrowski ps. Bohun, Ludwik, a szefem Sztabu Brygady został cichociemny, major Leonard Szczęsny Zub-Zdanowicz ps. Ząb, o którym w 1994 r. powstała niezmiernie ciekawa książka Marka Chodakiewicza. Brygada wkrótce rozrosła się do 1,2 tys. osób. I tak rozpoczęła się niezwykle dramatyczna, epicka wręcz historia największej polskiej jednostki partyzanckiej, która walcząc z dwoma wrogami Rzeczypospolitej, Niemcami i Sowietami, przedarła się do amerykańskich żołnierzy generała George'a Pattona w Sudetach, wyzwoliła na terenie Czech niemiecki obóz koncentracyjny w Holiszowie, przygotowany już do spalenia wraz z tysiącem kobiet, ratując im życie, m.in. 280 Żydówek. Brygada Świętokrzyska podjęła też próbę połączenia się z II Korpusem gen. Władysława Andersa. Ostatecznie udało się to tylko niektórym, np. mjr. Leonardowi Zub-Zdanowiczowi.

NSZ liczyły do 100 tys. żołnierzy i były po Armii Krajowej drugą co do wielkości wojskową formacją polskiego podziemia niepodległościowego. Zdecydowana większość oddziałów NSZ została wcielona do Armii Krajowej i działała wspólnie. Część oddziałów NSZ zachowała jednak organizacyjną i wojskową samodzielność, w tym BŚ.

Dwa lata temu Sejm RP przez aklamację upamiętnił 75-lecie utworzenia NSZ, uznając, że „formacja ta dobrze zasłużyła się Ojczyźnie". W uchwale wspomniano też o Brygadzie Świętokrzyskiej, która przedostała się na Zachód, podkreślając to, że za wierność idei niepodległościowej żołnierze NSZ płacili najwyższą cenę. Byli po wojnie męczeni, mordowani przez komunistycznych oprawców, a miejsca pochówku wielu z nich nadal nie są znane. Polityka bezwzględnego tępienia żołnierzy spod znaku NSZ za ich patriotyzm, antykomunizm, zbrojną walkę z komunistycznymi oddziałami polskimi, sowieckimi, ukraińskimi i żydowskimi, zniewalającymi Polaków na okupowanych terytoriach niemieckich nie skończyła się po 1945 r. Oskarżono ich o zdradę i kolaborację z Niemcami, co nie miało miejsca, a oskarżali ci, którzy nie uznawali polskiego rządu w Londynie i wiernie służyli Stalinowi w podporządkowaniu sobie i Sowietom Polski. Z jednej strony taktyczne jednorazowe kontakty BŚ z Niemcami, bez których wiedzy nie było możliwe przejście na Zachód, z drugiej internacjonalistyczny obowiązek ścisłego współdziałania polskich komunistycznych oddziałów GL, AL, niektórych z BCh ze Związkiem Sowieckim w zniewolenia „pańskiej Polski". Czym, jak nie zdradą, był udział radzieckich dowódców, dywersantów, komisarzy, radiotelegrafistów w komunistycznych oddziałach partyzanckich. Bez militarnej pomocy Armii Czerwonej polscy komuniści nie byliby w stanie podporządkować sobie Polski. Na wiele, wiele lat.

BŚ jednoznacznie odmawiała Niemcom wspólnej walki z Sowietami, a kiedy połączyła się z oddziałami amerykańskiej 2 Dywizji Piechoty, zaatakowała sztab XIII Armii niemieckiej, biorąc do niewoli oficerów sztabu i ponad 500 jeńców.

Formacje NSZ nazywano bandytami, reakcjonistami, klerykałami, faszystami. Zresztą podobnie nazywano członków AK, ale odium największej zdrady, w obliczu własnej zdrady polskich interesów, najlepiej było komunistom zrzucić na żołnierzy NSZ.

Nienawidzono ich dlatego, że od początku głosili program walki z dwoma wrogami. Najpierw z Niemcami, a po klęsce stalingradzkiej, kiedy wydawali się już pobici, uznali, że groźniejszym wrogiem jest Armia Czerwona – „czerwona zaraza", prąca na Zachód przez polskie ziemie, a za nią wojska NKWD, czekiści i polscy komuniści organizujący okupację Polski.

Wzruszającym momentem podczas wspomnianej mszy świętej była „Modlitwa Żołnierzy NSZ". Raptem wypełnił kościół wspólny, mocny głos modlitwy, najwyraźniej znanej wszystkim zebranym: „Panie Boże Wszechmocny, daj nam siłę i moc wytrwania w walce o Polskę, której poświęcamy nasze życie". To początek modlitwy. Równie wzruszająca jest modlitwa żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ z 1945 r.: „Królowo Korony Polskiej z twarzą pociętą szablami. Do Ciebie wznosimy czoła schylone bólu ciężarem [...] Latami idziemy nocą, żołnierze tragicznej sprawy, [...] Krzyże, krzyże za nami – żałobne żołnierskie ślady".

eprasa.pl cfbace2a2b

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Marsz

Witold Gadowski

„W końcu nie będziemy pamiętać słów naszych wrogów, zapamiętamy milczenie naszych przyjaciół" – taki napis zdobi jedną z kamienic tuż przy oświęcimskim rynku.

Siedzę w kawiarnianym ogródku i spoglądam na senne miasteczko. Za chwilę zjadą tu tysiące Polaków z całego świata, pójdą do Auschwitz, aby modlić się w intencji ofiar niemieckich zbrodni, ofiar ze wszystkich narodów, religii i pokoleń. Gdy będziecie czytać te słowa, Oświęcim już ucichnie. Niezwykłe spotkanie się skończy, media opowiedzą o nim to, co będą chciały. Wiedzcie jednak, że ci, którzy tu byli, poniosą to spotkanie dalej. Oni będą „Marszem Życia Polaków i Polonii". W ich serca zapadną słowa abp. Marka Jędraszewskiego, wypowiedziane podczas mszy w Auschwitz, pieśni i przesłania, jakie popłyną ze sceny koncertu. Spotkacie ich w swoich krajach i miasteczkach i ich właśnie pytajcie o to, co naprawdę się wydarzyło w Oświęcimiu 14 i 15 sierpnia. Oni będą mieli na piersiach koszulki z podobizną wielkiego, cichego bohatera – św. Maksymiliana Kolbego.

W pieśni, którą przygotowuję na następny marsz, napisałem: „Ten człowiek był jak czerstwy chleb/ co syto trzeszczy pod zębami [...] On był jak zupa żwirem doprawiona/ od której życie powracało kruche". I dalej coś jakby przesłanie naszych dni: „Ciężko się żyje za samego siebie/ łatwiej rozpaczać wciąż nad własnym losem/ Lecz kiedy inny znajdzie się w potrzebie/ trzeba przemówić ponadludzkim głosem...".

Nie dbam o to, co o marszu opowiedzą politycy i złojęzyczne media. Mam świadomość tego, co tu robię, a właściwie własnej pozycji – szarego kronikarza trudnego czasu. Nic nie przeoczę, od żadnej odpowiedzialności nie ucieknę. Jestem tu po to, aby prostymi słowy zdać relację ze zdarzeń.

Teraz siedzę jeszcze spokojnie w miasteczku, za chwilę wszystko się zacznie, a wy – czytając te urywane zdania – będziecie już bogatsi o kontekst, który wokół tego dopiszą „oczy", którymi oglądacie świat. Jeśli jednak chcecie wiedzieć, jak rzeczywiście tu było, zapytajcie ludzi, którzy marsz ponieśli w sobie, oni opowiedzą wam o wszystkim. W tym wszystkim kronikarz jest tylko marnym elementem. Czekamy na wielki wiatr i wiemy, że on powstaje tam, gdzie miecie Wielka Prawda.

Wybaczcie zupełnie niepublicystyczną emfazę, ale tak to jest, kiedy człowiekowi przypada rola kronikarza zdarzeń. Swoją drogą ciekawe, jak po marszu zostanę usadzony, jakimi razami upstrzy mnie kornik władzy i niewładny. Wy – czytając – będziecie już to wiedzieli.

Nie przenoście nam stolicy do Krakowa...

Lech Makowiecki

Refren tej znanej piosenki nie wystawia stolicy najlepszej opinii. Podobnie „Konduktorze łaskawy, byle nie do Warszawy..." – śpiewane przy aplauzie publiczności przez Ryśka Rynkowskiego. Nazywanie stołecznego salonu „warszawką" też ma charakter pejoratywny. Co zostało z tego dumnego i heroicznego miasta, o którym śpiewano niegdyś: „Pierwszy sierpnia, dzień krwawy – powstał naród Warszawy, by uwolnić stolicę od zła"? Czy jeszcze kiedykolwiek „Warszawa da się lubić"?

Wybory w największych polskich miastach wygrywają ostatnio tzw. ugrupowania proeuropejskie, lewicowo-genderowe, zupełnie obce (wręcz wrogie) polskiej tradycji. Jak do tego doszło? Po wojennej hekatombie pozbawioną elit Warszawę i wyludnione miasta Ziem Odzyskanych (Gdańsk, Szczecin, Wrocław itp.) masowo zasiedlała ludność napływowa, a zwłaszcza zróżnicowani etnicznie mieszkańcy Kresów (Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Łemkowie, Żydzi, Rosjanie itp.). Wśród nich trafiali się także szabrownicy, wojenne szumowiny i prosowieccy kolaboranci itp. Ten tygiel narodów, zmieszany z tubylcami i formatowany przez „władzę ludową", nie miał żadnego wspólnego zakorzenienia. Ani w tradycyjnej wierze, ani w patriotycznej polskości. I właśnie dlatego metropolie – „postępowe" centra skupiające urzędy umożliwiające kariery – uległy szybszej degeneracji i wynarodowieniu niż bogobojna i patriotyczna prowincja.

Czy naprawdę powstańcy warszawscy walczyli o genderowe parady i edukację LGBT w szkołach? Czy obrońcy Poczty Polskiej i żołnierze z Westerplatte polegli za Freie Stadt Danzig? Dlaczego niemieckie fabryki zagłady – rozsiane po całej Europie – mają być dziś nazywane „polskimi obozami śmierci"? Czemu tysiącom Polaków zamordowanych przez Niemców za ratowanie Żydów pluje się w oczy antysemityzmem? Nieznajomość historii najnowszej sprzyja kłamliwej narracji naszych wrogów. Tak to „cogito ergo sum" przegrywa z bezmyślnym dryfowaniem w mainstreamie.

eprasa.pl cfbace2a2b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Lisy farbowane wielokrotnie

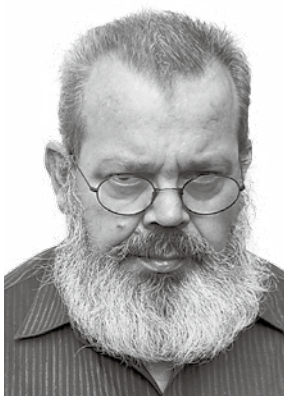

Aleksander Nalaskowski

Tak sobie myślę, że jedynym prawdziwym ludowcem z krwi, kości i przekonań, jedynym, który zasługuje na to, by określić go mianem prawdziwego dziedzica tradycji witosowych, jest minister Ardanowski. Sensowny, pragmatyczny, szczery i bez wątpienia uczciwy. Taki nadchłop z piątką dzieci i poważnym areałem uprawnym pod Toruniem, a do tego fan historii. Mam jednak niemal pewność, że na ministrowaniu wychodzi finansowo gorzej niż na gospodarzeniu. I za to go też podziwiam. Mówi prosto (ale nie prostacko!), mówi jak jest. Oponentów, tych, co się wymądrzają na temat rolnictwa, zdmuchuje po lekkim wdechu. Tak, najbardziej znaczący polski ludowiec jest z PiS. Oj, żeby jeszcze się dobrze minister przyjrzał hodowli polskich arabów, bo poprzednik trochę narozrabiał. Panie Ministrze, jakiemuś Nalaskowskiemu bardzo leży na sercu los polskich koni. Naprawdę bardzo.

No i kto z Ardanowskim dyskutuje, kto chce być dla niego alternatywą? Ano pan Sawicki, który pragnie zaistnieć, ale opanowała go zaskakująca amnezja i zapomniał o milionach spółki Elewator, o nagrodzie rządowej przyznanej firmie własnej córki, o wstawianiu się za sławetnym posłem Burym? Teraz mówi o rozpasaniu ekipy rządzącej?! Panie doktorze rolnictwa, może lepiej wrócić na uczelnię i chociaż tam próbować mówić i istnieć z sensem. To jeden z tych zuchów, który wstąpił do komunistycznej przyczepki o nazwie Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, aby zrobić hokus-pokus i stać się członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego. Obecne PSL, jak i jego ideowa matka ZSL, mają tyle z chłopami wspólnego, co Scheuring-Wielgus z rozumem. No, może trochę więcej...

I na ludowym niebie pojawiła się, o czym donosiłem tu już kiedyś, nowa gwiazdeczka. Lady Pasławska. Empirycznie można u niej wykryć ślady logiki, ale tylko przy użyciu detektorów o wielkiej mocy. Tutaj ambitna Urszula zeszła do podziemia. Dlatego jest dla mnie nader zrozumiałe, że PSL (nazwa tego fałszu z trudem przechodzi mi przez gardło) wystawiło jej kandydaturę na marszałka Sejmu. Wystarczająco ambitna, pozbawiona samokrytyki i pasująca do tego ugrupowania. Na tyle intelektualnie niesamodzielna, że Kosiniakowi nie zagrozi. Posłanka ta onegdaj zabłysnęła blogowym stwierdzeniem, że PiS, a szczególnie Kaczyński, to fenomeny antypolskie. No i że upominanie się u Niemców o polskie sprawy i nasze (jakże przecież niesłuszne!) pretensje do nich o II wojnę to niewdzięczność, bo za nasze reformy zapłacił niemiecki podatnik. Mój Boże, żałosne. Zdaje się, że kolejność była taka – najpierw Niemcy zrujnowali nam kraj, wymordowali inteligencję i wespół z Sowietami byli okupantami, a potem nam rzucili parę groszy w formie pożyczek czy zabawnych rent dla inwalidów wojennych. Moja mała blondyneczko, do książek i jeszcze raz do książek! A dopiero później do polityki.

Z PSL wiąże się „sprawa Kukiza". Ten zdolny rockandrollowiec i bez wątpienia odważny jegomość niestety zawiódł. Poszedł do wyborów z absolutnymi rekordzistami świata w dyscyplinie koniunkturalizm i kameleonizm. Tym samym jako polityk zredukował własne ambicje i ugrupowanie do poziomu miejsca przy mównicy. W tym komitecie wyborczym wciąż mają zgagę po (pośrednim) wsparciu komunistów i zwolenników LGBT do Parlamentu Europejskiego. I co panie Pawle, „bo tutaj jest, jak jest, po prostu"? Gdzie pan był prawdziwy? Wtedy w piosence z Borysewiczem czy teraz w mydlanej operze z Kosiniakiem-Kamyszem. Dałby Bóg, aby ten polityczny pokurcz mógł zapomnieć o przekroczeniu progu wyborczego, bo inne progi i granice już dawno przekroczył.

Myślałem, że fatalnie śnię, dowiadując się o wolcie Pawła Kowala

Myślałem, że fatalnie śnię, dowiadując się o wolcie Pawła Kowala. Ten uzdolniony historyk (od niedawna doktor habilitowany – gratuluję!), ojciec czwórki dzieci, zdecydowanie „praworęczny", gość z dobrą przeszłością polityczną (Parlament Europejski) i społeczną (m.in. Klub Jagielloński) wykonał ruch, który większości tych, którzy go poznali (także ja), wydaje się nadal żartem czy symulacją, jakimś Monty Pythonem albo sztuką Mrożka, jeśli nie Ionesco. Do tego ogromnego placka (skojarzenia z łąką naturalne) dołożył wisienkę, to znaczy pochwałę chamstwa i prostactwa Nitrasa. Świata mi tym nie zburzył, ale znów jedynym kowalem, którego chcę znać, jest pan Janek podkuwający niegdyś moje konie.

Jednak urodziłem się w czepku. Opatrzność pozbawiła mnie ambicji i pokus politycznych, do dzisiejszej zblazowanej Warszawy nie tęsknię, bo jej nie znoszę. Facebooka nie mam, innych społecznościowych portali też nie. Zatem jestem wolny od wiedzy, czy ktoś mnie hejtuje, czy nie. Szczerze mówiąc, mam to nawet w nosie. Mogę pisać to, co myślę, a myśleć, co mi się podoba. Dlatego uważam, że wielokrotnie farbowane lisy rychło powinny się stać tylko wspomnieniem. Czego czytelnikom i sobie życzę.

eprasa.pl cfbace2a2b

PRZEZ ŚWIETLIK

Jak głosuje koń

Wiktor Świetlik

W Janowie Podlaskim odbyła się kolejna aukcja koni arabskich, naszej specjalności, pomimo że uchodzimy za naród rasistów najgorszych w Europie. Zwierzaków sprzedano całkiem sporo. Za duże pieniądze. Do tego koszykarz Marcin Gortat stwierdził, że ma tam swoje konie i są pod świetną opieką. To dowód na to, że ani koszykarze, ani konie do polityki pchać się nie powinni. O ile nie zrozumieją mądrości etapu.

A mądrość etapu jest taka, że to źle, iż Janów sprzedał araby za wielkie miliony. I to wina PiS. Kiedyś było tak, że raz na wsi obrodziły zboża ozime, a raz jare. Tak to bywało od wieków i nikt się nie dziwił. Teraz jak jedne obrodzą, a drugie nie, to wina polityków. Albo PiS zepsuło, albo opozycja wytruła. Nie inaczej jest z końmi. Nowa władza wyrzuciła dwóch dyrektorów ze stadniny w Janowie Podlaskim. Do tego zdechła klacz. Przykre, ale czasem się klaczom, tak jak ludziom, zdarza odchodzić. Nie ma nic bardziej pewnego, że wszystkich nas to czeka.

W tym przypadku jednak okazało się to zbrodnią. Zwolnieni dyrektorzy – wydawałoby się – z czysto politycznego poprzedniego nadania okazali się specjalistami na miarę historyczną, a ich następcy właściwie chyba celowymi mordercami koni. Zapewne jako pisowcy mordercami zarówno arabów, jak i Arabów. Szczególnie tych z Albanii.

Wracając jednak do koni z Janowa Podlaskiego. Po zmianie światłej dyrekcji na pisowskich siepaczy ogłoszono śmierć stadniny. I faktycznie po fali tekstów na temat tejże śmierci aukcje nie były imponujące. Czołowa ekspertka PO od koni, a także od pracy, edukacji, praw kobiet, polityki zagranicznej i wszystkiego innego, Joanna Kluzik-Rostkowska promowała tezę o tym, że Janów „zaorany". Nic tu już nie będzie, a te araby, które zostaną, zagłosują zapewne ze strachu na PiS.

Tyle że tym razem aukcja okazała się wielkim sukcesem. 15 koni sprzedano za prawie 1,5 mln dol. I co? Okazuje się, że wyprzedajmy srebra rodowe. Zdrada. PiS – w postaci menedżerów zarządzających Janowem – wyprzedaje, co Polska ma najlepszego, by sfinansować 500+ i rozbudować lochy, w których będą trzymani działacze LGBT od Schetyny, Kosiniaka i Kukiza. Jak nie wierzycie, zapytajcie panią Kluzik lub jej koleżanki.

Jak Maklakiewicz z angielskim pozostaje w tym wszystkim Marcin Gortat ze swoimi końmi i żenującymi retorycznymi pytaniami w stylu: „Dlaczego mieszacie politykę do koni?". Kto polityki nie miesza, ten największy wróg. Nawet dzielny, górski konik huculski, na którym chcę w ciągu kilku najbliższych dni przemierzać Beskid Niski, spode łba na mnie patrzy. Chyba czuje, że jak nie zrzuci pisowca, może się okazać nie dość rasowy albo wręcz rasistowski.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Z g... cukierek

Piotr Cywiński

Dziwny jest ten świat... Aleksandra Dulkiewicz wystąpiła pod szyldem: „Skwer Czesława Niemena" w nagraniu, które upubliczniła poprzez Twitter z dopiskiem: „»Ludzi dobrej woli jest więcej i mocno wierzę w to, że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim«. Dziękuję za wszelkie wyrazy wsparcia, solidarności i serdeczne myśli, których fala dociera do mnie w ostatnich dniach!". Znaczy, że do prezydent Gdańska dotarła wcześniej inna fala, dotycząca nie tylko jej propozycji „świętowania" rocznicy wybuchu II wojny światowej „radosnym pochodem, koncertem i tańcami" wespół z Niemcami... Oto Czesław, który był tak polski, że bardziej polskim być już się nie da, ma służyć pani Dulkiewicz za support w jej koszmarnym, politycznym „koncercie"...

Dziwny jest ten świat. Kochający inaczej Robert Biedroń, intelektualny łachmyta, któremu matka wytoczyła proces za „spowodowanie uszczerbku na zdrowiu", znęcanie się nad nią i młodszym bratem, obecnie europoseł z wyboru, który zapowiadał oddanie mandatu, ale zmienił zdanie, któremu dziś marzy się prezydentura w Rzeczypospolitej, publikuje na Facebooku list do papieża Franciszka ze wskazówką, by „zmienił oblicze polskiego Kościoła", rzekomo „pełne pogardy i nienawiści"...

Dziwny jest ten świat. Paweł Kukiz, lider ruchu swego imienia, od którego zwiewają ludzie, poucza pozostałych: „Wy, k..., w ogóle nie myślicie, nawet gdybym miał hasło »zielona gruszka dla każdego Polaka« i gdyby to złapało, to trzeba z tym hasłem iść i trzeba je wspierać", czym uzasadnia zamiar pójścia do wyborów do Sejmu pod szyldem PSL, jak sam wcześniej określał, „zorganizowanej grupy przestępczej"...

Dziwny jest ten świat. Stanisław Tyszka od Kukiza '15 błysnął w internecie rymowanką: „Za Gierka chodził taki oto wierszyk: Nie cieszta się osły, że wam pensje podrosły, ja ceny podwoję i tak wyjdę na swoje". Tyle że w chwili odstawienia przez towarzyszy kacyka Edwarda Gierka na boczny tor, Stasinek zanieczyszczał był pieluchy i jedyne, co do tego wtedy pięciomiesięcznego bobasa docierało, to matczyne: „gizi-gizi, a bubu-bubu". Nie pamiętam, by wówczas ludziom rosły pensje ani żeby można było coś za nie kupić, co zaś dotyczy wierszyków, chodził taki: I Gierek z gówna nie zrobi cukierek. Więc tera dopasujta go sobie, jak chceta, wszelkie skojarzenia do zdarzeń i postaci są nieprzypadkowe.

eprasa.pl cfbace2a2b

JAN POSPIESZALSKI

Czas na program ratunkowy

Musimy wszelkimi dostępnymi środkami mieć odwagę realizować pozytywny i odważny program promocji dzietności w Polsce

W ubiegłym tygodniu nie znałem jeszcze odezwy wygłoszonej przez Darka Walusiaka podczas wiecu w obronie abp. Marka Jędraszewskiego. Wtedy zapowiedziałem, że postaram się nakreślić, jak powinniśmy reagować na agresywną polityczną operację LGBT. Okazało się, że ta „Deklaracja krakowska" zawiera postulaty, o których m.in. chciałem napisać.

Czyli apel do biskupów, by zajęli się tymi katolikami (np. Wiarą i Tęczą oraz poszczególnymi kapłanami – J.P.), którzy rozmywają grzech i wprowadzają zamęt, promując homoherezję. Apel do polskich księży, by odważnie głosili katolickie nauczanie Kościoła. Apel do rządzących o natychmiastowe wypowiedzenia genderowej konwencji stambulskiej, żądanie przyjęcia ustawy o zakazie szkodliwej edukacji seksualnej, uchwalenia prawa zakazującego promowania dewiacji na polskich ulicach oraz bezwzględnego ścigania i karania tych, którzy bezczeszczą polskie świętości!

Mam nadzieję, że te wezwania zostały usłyszane przez naszych biskupów i władze. Przyznam, że gdy w marcu zaatakowano krakowską kurator Barbarę Nowak, oczekiwałem lawiny oświadczeń pozostałych kuratorów, że otrzyma ona wsparcie swojego ministerstwa. Niestety, nie tylko nie otrzymała wsparcia, lecz próbowano ją uciszyć. Podobnie władza chowała głowę w piasek, gdy pojawiały się apele, by wypowiedzieć genderową konwencję. Ta strategia prowadzi donikąd. Zuchwałość aktywistów radykalnej homoideologii bierze się z braku reakcji obronnych. „Deklaracja krakowska" to dzwon na trwogę.

Szanując tę inicjatywę, uważam jednak, że to za mało. To program defensywny. Prawdziwą katastrofą, której subkultura wynaturzonego seksu jest tylko częścią, jest katastrofa demograficzna. Nie wystarczy bronić chrześcijaństwa, rodziny, cywilizacji, trzeba afirmować i sprzyjać rozwojowi rodzin, zatrzymując depopulację. Przypomnę, że definicja ludobójstwa (genocide) Lemkina do działań ludobójczych zalicza m.in. „stosowanie środków, które mają na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy". Konwencja stambulska i programy polityczne homolewicy wyczerpują znamiona tej definicji. Doceniam inicjatywy rządu, które mają na celu wsparcie rodzin. Niestety program 500 + nie przyniósł skokowej poprawy wskaźnika urodzeń. Sytuacja jest tak dramatyczna, że wymaga zdecydowanych działań.

Nie tylko genderowe ideologie i homopropaganda są zagrożeniem. Potężnym zagrożeniem jest nasza postawa wygodnictwa, hedonizmu, braku odpowiedzialności za przyszłość Polski i cywilizacji. Jesteśmy w sytuacji, w której konieczna jest zmiana paradygmatu kulturowego. Musimy wszelkimi dostępnymi środkami mieć odwagę realizować pozytywny i odważny program promocji dzietności w Polsce. Zarówno w nauczaniu Kościoła, jak i w programach rządu. Nie wystarczy straszenie, że zawali się system emerytalny. Nie sądzę, żeby ktoś chciał się poświęcić za system ubezpieczeń emerytalnych czy rynek pracy. Potrzebna uskrzydlająca idea. Obecna w programie rządu myśl dalszego wzrostu zamożności to za mało. Polska i Europa zmierzają do samowyniszczenia. Potrzebna jest odbudowa instynktu samozachowawczego społeczeństwa.

Czy komuś się to udało? Tak. W Polsce przykładem są rodziny neokatechumenatu. Biskupi muszą przeanalizować ten fenomen i przekuć go w powszechny program duszpasterstwa parafialnego. By zatrzymać statystyczną krzywą śmierci, wystarczy, gdy każda katolicka rodzina w okresie rozwojowym zdecyduje się tylko na jeszcze jedno dziecko. W sferze działań władzy przykładem udanej polityki, która zatrzymała wymieranie, jest Iran. Już słyszę ten wrzask liberałów, że to przykład kraju, gdzie jest deficyt wolności i praw człowieka. A jak dziś wygląda wasza wolność słowa, przekonań i pluralizm opinii? Jak wyglądają prawa człowieka w krajach, gdzie aborcja i eutanazja zbierają śmiertelne żniwo?

Potrzebne są też odważne działania w sferze kultury. I tu znów pewnie szydercy krzykną o ideologizacji. A jak wygląda to teraz? Dzisiejsza kultura masowa jest skrajnie zideologizowana – jest przeładowana homopropagandą i politycznie poprawnym przekazem. Jeżeli chcemy przetrwać, nie mamy ani wyboru, ani czasu. Musimy to zmienić. Przynajmniej w tych instytucjach kultury i mediach, gdzie rząd ma wpływ na program i politykę personalną.

eprasa.pl cfbace2a2b

Ohydna manipulacja

„Kłamliwa informacja prawdopodobnie została spreparowana w kręgach politycznych PiS, pozostających w ścisłej współpracy z tajnymi służbami specjalnymi pod nadzorem Mariusza Kamińskiego. Ta brudna zagrywka nie powiedzie się jej autorom, intrygantom i fałszerzom" – to fragment „Sprostowania", jakie trafiło do nas z warszawskiego ratusza z prośbą o jego publikację jako „Ogłoszenie płatne".

Jerzy Jachowicz

Sprostowanie

Redakcja tygodnika „Wprost" w zeszłym tygodniu na swoich łamach przemyciła doniesienie, w którym zawarła jednocześnie dwie fałszywe wiadomości. Pierwszą – jakoby Adam Bodnar, obecny rzecznik praw obywatelskich, miał być jednym z kandydatów Koalicji Obywatelskiej na urząd prezydenta RP. Druga informacja była jeszcze bardziej kuriozalna. Podano w niej, że Adam Bodnar może się okazać czarnym koniem wewnątrzpartyjnych przymiarek.

Publikacja sugeruje, że Adam Bodnar brany jest pod uwagę jako jeden z kandydatów na tak ważny urząd, a po wtóre, co brzmi doprawdy groteskowo, może mi zagrozić już na szczeblu wewnątrzpartyjnej rywalizacji. Osoba obecnego RPO nigdy nie pojawiła się w negocjacjach poświęconych wyborowi kandydata na prezydenta RP. Być może ktoś w kuluarach po cichu wymienił nazwisko rzecznika, ale – o ile pamiętam – pojawiło się ono w bardzo krytycznym kontekście, o czym nie wypada nawet publicznie mówić.

W tej niedawnej próbie sabotażu (nietrudno zgadnąć, komu ma ona służyć) dopuszczono się jeszcze jednego przekłamania. Podając wyniki sondażu jednego z paneli badawczych, przypisano mi wprawdzie najwyższy wskaźnik pośród kandydatów KO (16,2 proc.), podczas gdy taka Aleksandra Dulkiewicz czy np. Bartosz Arłukowicz, albo prezydent Łodzi Hanna Zdanowska zanotowali wielokrotnie niższe poparcie. Niemniej jednak i w wynikach tego sondażu domagam się sprostowania, ponieważ uzyskałem – wiadomość potwierdzona w samej pracowni – 16,4 proc. Domagam się sprostowania i przeproszenia w najbliższym numerze „Wprost" oraz wpłaty 30 tys. zł na rzecz Fundacji „Otwarty Dialog".

Rafał Trzaskowski
prezydent Warszawy

CO MNIE SMUCI

Nasz Kazio

Piszę tu o naszym księdzu i aktorze Kazimierzu Orzechowskim. Piszę „nasz", bo był kolegą braci aktorskiej, przyjacielem w sutannie, spowiednikiem i pocieszycielem. Każdy z nas obecnych na jego pogrzebie 8 sierpnia miał swoje wspomnienia.

Katarzyna Łaniewska

Moje zaczynają się w Teatrze Polskim. Mieliśmy próby sztuki, która była jego ostatnią jako tylko aktora. Przedtem zaliczył kilka pięknych ról u boku Andrycz czy Gogolewskiego. W tej sztuce nie graliśmy głównych ról, mieliśmy więc dużo czasu i Kazio zapraszał mnie na dużą kawę i mały kieliszeczek wiśnióweczki. I zniknął nam potem. Objawił się po kilku latach – został kapłanem.

Los związał mnie dużo bliżej z księdzem Kazikiem. Był moim spowiednikiem, chrzcił mojego wnuka i uczestniczył w smutnych, ale i wspaniałych uroczystościach, które utkwiły mi w pamięci. Na łożu śmierci Tadeusz Janczar i Małgorzata Lorentowicz chcieli się połączyć ślubem kościelnym po wielu wspólnie przeżytych latach. Ten ślub się odbył dzięki Kaziowi. Byłam jedynym świadkiem. Leżeli obok siebie na łożu małżeńskim, a Kazimierz udzielał im ślubu. Inny dramatyczny ślub, to ślub Mariusza i Oli Dmochowskich, którzy nie mogli się doczekać rozwodu kościelnego. Trwało to latami. On wziął na siebie tę sprawę i udzielił im ślubu. To były wielkie uroczystości – nie bał się, choć brał wielką odpowiedzialność.

Mam też cudowne wspomnienia z Kazikiem z pielgrzymek. Jak choćby do Ziemi Świętej, gdzie byłam jedyną aktorką. Czytałam modlitwy wiernych podczas mszy odprawianych przez niego w najróżniejszych miejscach, np. na skalnym występie w górach Masada. Potem, gdy słuchałam w kościele Ewangelii, to znałam te miejsca dzięki Kaziowi.

Wiele lat pracowaliśmy wspólnie w Skolimowie, gdzie był kapelanem Domu Aktora Weterana. Tam zacieśniła się nasza przyjaźń. Nie przywiązywał wagi do wygód. Grał wtedy w serialu „Złotopolscy". Na komodzie leżał tekst, a on pytał: „Ty się szybko uczysz do tej »Plebanii«?". Radziłam mu w żartach, by chował tekst pod poduszkę, to się szybciej nauczy.

Taki smutek, że odszedł. Kazio, który kochał Édith Piaf i ciągle o niej opowiadał – napisał nawet o niej monodram. Każde jego kazanie to był wiedza. Takich księży nam trzeba, duchownych skupiających wokół siebie młodych ludzi. Żegnam Cię, Kaziu – mój Kaziu.

eprasa.pl cfbace2a2b

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Pralnie mózgów w natarciu

Ostatnio obserwowaliśmy dziwny lot marszałka Sejmu nad kukułczym gniazdem

Ryszard Makowski

Okazało się, że nie przekraczając prawa, można być zmuszonym do abdykacji z funkcji drugiej osoby w państwie i jeszcze do tego solidnie dopłacić. Wystarczył zmasowany atak mediów III RP i kierownictwo PiS ustąpiło z pola walki, by wstrzymać bezwzględny ostrzał powodujący straty wizerunkowe w okresie przedwyborczym.

Tę sprawę obrabiano z niezwykłą wściekłością i napastliwością. W „Faktach" TVN w materiał podjudzający wpleciono nawet „tupolewizm" i widzieliśmy migawkę z katastrofy smoleńskiej. Dziennikarze zwyrodnialcy się nie krępowali.

Czy rzeczywiście marszałek Kuchciński dopuścił się nadużyć, pociągających najsroższe konsekwencje? Oczywiście, że nie. Z przysługujących im przywilejów samolotowych korzystało i korzysta wielu polityków. Ale to okazało się bez znaczenia. Zagrano na społecznych emocjach, podobnie jak w przypadku nagród przyznanych przez premier Beatę Szydło swoim ministrom. Ze zwyczajowego gestu, jakim są nagrody, zrobiono niesamowite nadużycie. Kradną twoje pieniądze!!! Obławiają się!!! Pod presją ministrowie nagrody oddali.

W czasach wojny hybrydowej media pilnujące obcych interesów, wspierane cenzurą internetową, są tak samo groźne, jakby stacjonowały u nas wrogie wojska. Wicepremier Piotr Gliński oświadczył, że ustawa regulująca rynek medialny jest gotowa. Potrzeba tylko woli politycznej. PiS ma wybór. Wprowadzić ustawę albo czekać, że kolejne podrzucone kukułcze jajo okaże się od nich mocniejsze.

eprasa.pl cfbace2a2b

Zawistowski prezentuje: Ubukiz

Wycinki z przeszłości

Co by tu na obiad? A może, gdzie by zjeść? Oto jak sobie radzili z tym nasi przodkowie. Podajemy podpowiedzi obiadowe „Kobiety w Świecie i Domu" z 15 sierpnia 1938 r.
„Wtorek, 16 VIII (Dzień bezmięsny) Barszcz czysty, kasza gryczana. Kalafiory pod beszamelem. Pierogi z wiśniami i ze śmietaną.
Środa, 17 VIII Zupa z zielonego groszku, ptysie. Pieczeń z młodego baranka, kartofle, cebula duszona w całości. Kompot z gruszek.
Czwartek, 18 VIII Kapuśniak z pomidorami. Kurczęta z beszamelem, mizeria. Jabłka z waniliowym sosem.
Piątek, 19 VIII (Dzień postny) Kluski francuskie na mleku. Kabaczki faszerowane z ryżem, sos pomidorowy. Kruchy placek ze śliwkami.
Sobota, 20 VIII Zupa cytrynowa, muszelki, wermiszel z szynką. Kotlety cielęce, fasolka po angielsku, sałata pomidorowa. Kompot z wiśni.
Niedziela, 21 VIII Zupa rakowa. Rostbeef, kartofle bomby, chrzan strugany, ogórki świeżo solone. Krem ryżowy, sok wiśniowy.
Poniedziałek, 22 VIII Zupa pomidorowa czysta, kluseczki lane. Kotlety wieprzowe, młoda kapusta na przaśno [świeża, nie kwaszona – red. „Sieci"]. Śliwki duszone w winie".
Smacznego!
Na ilustracji okładka pisma.

(mk)

To ja pokrzywa...

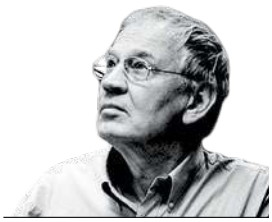

Leszek Długosz

Rozpełzłam po ogrodzie
Wydusić twe plantacje
Zniszczyć urodę niebożątek
– Tej „zielonej drżączki"...
Ja, nieskazana na ćwierć grządki
O której wiem – to podstęp
Getto, skąd wprost na stół transporty
Ja podszeptuję: bądźcie nieużyteczne
– Niepohamowana w żądzy posiadania
W kosztowaniu gruntów zakazanych
Przestrzeni – w której jeszcze nie tańczyłam
Pierwsza odważyłam się p a n o s z y ć

Wydzierana, pieszczotami butów
Obdarowywana co najwyżej
Nauczyłam się parzyć i kąsać
Bez obłudy, bez tej pozornej niewinności
Wydzierających sobie wzajem światło
Ogrodowych faryzeuszów

Mogłabym być piękniejsza i słodsza
Bardziej ujmująca spojrzeniami kwiatów
Niż oczy samych magnolii
– Bez wdzięku dla twego wazonu
Zrezygnowana kwitnę
Bez cienia nawet zalotności...

To ja pokrzywa
Pierwsza podążam na rumowiska siedzib
Osłaniać nagość w opuszczeniu
– Wierna do końca
Trędowatym płotom, odpadom, resztkom
Przykrywam hańbę ich nieprzydatności
– I w czas, gdy zbrakło płodów wybranych
Napełniać miskę twą zdołałam...
Nie zbliżaj się bez narzędzia
Mój dotyk drażni pamięć
– To ja pokrzywa
U twego progu przystanęłam tłumnie

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl cfbace2a2b

OD A DO ZYBERTOWICZA

Niepokój ojców wolności?

W Sądzie Okręgowym w Warszawie leży pozew, jaki grupa 36 osób złożyła w związku z moim komentarzem do dyskusji licealistów na temat „okrągłego stołu". Trwają działania proceduralne i pozew nie został jeszcze formalnie przyjęty do rozpoznania, ale odwiedziłem sąd i pozew przeczytałem.

Zdaniem autorów pozwu „nikczemne" (zwrot użyty w pozwie) są moje następujące słowa: „Dzisiaj wielu obserwatorów i komentatorów »okrągłego stołu« nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy, po rozmowach »okrągłego stołu«, gdy powiedział: »Podczas „okrągłego stołu" władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami«".

Pozew jest o tyle niezrozumiały, że przedstawiłem opinię Andrzeja Gwiazdy, a nie stwierdziłem, iż wszyscy uczestnicy „okrągłego stołu" byli „agentami". Co więcej – nikogo konkretnego w tych słowach nie wskazałem, sygnalizując (co wynika jasno z pełnego kontekstu wypowiedzi) pewien mechanizm, z naukowego punktu widzenia typowy dla państw totalitarnych, który w dyskusji licealistów nie został wystarczająco uwzględniony. Słowem, można rzec, że to „nic osobistego". Niezależnie od rozstrzygnięcia sądu pozew ten jest dokumentem, świadectwem pewnej mentalności – i politycznej, i środowiskowej, a także pokoleniowej. (Kiedyś napiszę o tym więcej).

DLACZEGO TO ZROBILI?

Znajomi, którzy o sprawie słyszeli z mediów, dziwią się, jakie mogą być motywacje grupy osób – niewymienionych przeze mnie z nazwiska – by formułować zarzuty „obrazy całej III RP" (to z retoryki ich przedstawiciela, mec. Michała Wawrykiewicza) i mobilizować poparcie medialne w sprawie, która dla każdego poważnego badacza komunizmu oraz mechanizmów wychodzenia z tego systemu winna być jasna.

Wśród osób, które mnie pozwały, są i te, które można nazwać „budowniczymi wolnej Polski". Dlaczego odwołują się do sądu jako sposobu rozstrzygania sporu o historię?

Skoro PRL była państwem policyjnym, na co dzień wykorzystującym wielotysięczne sieci tajnych współpracowników, zaś proces wychodzenia z tego systemu był – jak zauważył kiedyś Ryszard Kapuściński – odgórną rewolucją, to można przyjąć, iż przygotowując transformację, z natury rzeczy z owej sieci agenturalnej korzystano.

Taki charakter procesu wychodzenia z komunizmu – częściowo spontaniczny, częściowo kontrolowany, w tym agenturalnie – nie powinien budzić wątpliwości. Można się oczywiście spierać, jak głęboka była agenturyzacja, kto i w jakim zakresie z tajnymi służbami PRL współpracował, a kto nie. Tym bardziej że historycy nadal nie przebadali wielu ważnych wątków.

Wśród osób, które mnie pozwały, są i te, które można nazwać „budowniczymi wolnej Polski". Dlaczego odwołują się do sądu jako sposobu rozstrzygania sporu o historię? Podpowiedź niedawno znalazłem w dwóch tygodnikach.

BEZKRYTYCZNA OBRONA?

W „Polityce" (6–12 marca 2019) o problemie sprawiedliwej oceny III RP Adam „Łona" Zieliński, raper i producent muzyczny, pisze tak: „Zarzuty o symetryzm to pół biedy. Cała bieda zaczyna się, gdy przychodzi do reakcji budowniczych wolnej Polski na zastrzeżenia, nawet te wyważone i konstruktywne. Zbyt często odpowiedzią jest kompletne odrzucenie i bezkrytyczna obrona swego dorobku, tak jakby uwierzyli oni, że III RP została wyposażona w ustrój idealny".

Ma „Łona" rację?

POCZUCIE STRATY?

Z wywiadu, jakiego dr Karolina Wigura z „Kultury Liberalnej" udzieliła „Tygodnikowi Powszechnemu" (9 czerwca 2019), wynika, że ma. Mówi ona: „boli mnie, gdy widzę, jak wieloma moimi dawnymi mentorami kieruje dziś strach [...] Strach o to, że przestali być słuchani".

Dalej Wigura mówi o „specyficznym autorytaryzmie polskich liberałów". „[...] W tej chwili dostrzegam [...] po stronie starszych pokoleń liberałów olbrzymie poczucie utraty. Statusu, wygodnego miejsca w hierarchii. Widzę też narastającą niechęć wobec wszelkich form sprzeciwu we własnym obozie. To prowadzi do kształtowania się w środowiskach liberalnych różnego typu konformizmu. Właśnie przez to opozycja nie jest w stanie wydać z siebie niczego nowego. Są w stanie tylko wciąż żonglować tymi samymi koncepcjami politycznym czy ekonomicznymi. W tym sensie antypisizm nie jest ich wyborem. To pułapka, z której nie mogą się wydostać".

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl cfbace2a2b

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo pierwszą w Polsce aplikację mobilną, dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji z ulubionym dziennikarzem w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl cfbace2a2b

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł

2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500

18 X VESPA PRIMAVERA

27 X SAMSUNG GALAXY S10+

36 X THERMOMIX

45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI

270 X TABLET GALAXY TAB A

100 X GALAXY WATCH ACTIVE

100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ

200 X SŁUCHAWKI

200 X GŁOŚNIK

Lotto | EURO JACKPOT | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | Super Szansa | Keno | LOTTO

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada).
Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl/cbace2a2b